

DOROTA KANIA

CIEŃ TAJNYCH SŁUŻB

POLITYCZNE ZABÓJSTWA
NIEWYJAŚNIONE SAMOBÓJSTWA
NIEPUBLIKOWANE DOKUMENTY
NIEZNANE ARCHIWA



WYDAWNICTWO 

CIEN
TAJNYCH
SŁUŻB

DOROTA KANIA

CIEŃ TAJNYCH SŁUŻB

POLITYCZNE ZABÓJSTWA
NIEWYJAŚNIONE SAMOBÓJSTWA
NIEPUBLIKOWANE DOKUMENTY
NIEZNANE ARCHIWA

WYDAWNICTWO 

Kraków 2013

Redaktor prowadzący

Piotr Ślabeł

Korekta

Tomasz Ponikło

Projekt typograficzny

Anita Ponikło

Projekt okładki

Radosław Krawczyk

ISBN 978-83-7595-640-5

© 2013 Copyright by Wydawnictwo M, Kraków 2013

Wydawnictwo M

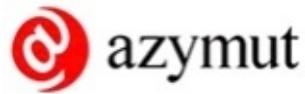
tel. 12-431-25-50, fax 12-431-25-75

e-mail: mwydawnictwo@mwydawnictwo.pl

www.mwydawnictwo.pl

www.ksiegarniakatolicka.pl

Publikację elektroniczną przygotował:



Wstęp

W książce, którą właśnie trzymacie Państwo w rękach, znalazły się wyniki śledztw w sprawach najgłośniejszych zabójstw i samobójstw, które miały miejsce w minionych dwudziestu trzech latach.

Książka bazuje na dokumentach, które w większości do tej pory nie były znane. Wcześniej wgląd w nie miała tylko wąska grupa badaczy i śledczych. Czytając materiały poszczególnych postępowań prokuratorskich i sądowych, dokumenty archiwalne i historyczne, zobaczyłam, że niemal w każdym opisanym w niniejszej książce śledztwie pojawiają się funkcjonariusze służb specjalnych PRL. Służby, które miały pozostać reliktem minionej epoki, w rzeczywistości stały się głównym rozgrywającym w polskim biznesie i polityce po roku 1989. Czy był to czysty przypadek, że powiązani z nimi ludzie ginęli często w tajemniczych okolicznościach?

Mam nadzieję, że ta książka da Państwu odpowiedź na to pytanie.

Dorota Kania

Dziękuję pracownikom Prokuratury Okręgowej w Warszawie, Sądu Okręgowego w Warszawie i Sądu Rejonowego w Białej Podlaskiej oraz Instytutu Pamięci Narodowej za udostępnienie archiwalnych materiałów.

1

Andrzej Stuglik

– Długie ręce KGB

Zabójstwo Andrzeja Stuglika było pierwszą po 1989 roku sprawą, gdzie ofiarą zbrodni padł były funkcjonariusz służb specjalnych PRL. Zginął 19 lutego 1991 roku. Nieznani sprawcy zastrzelili go pod jego własnym domem. Stuglik w tym dniu był po rozmowach z rezydentem KGB w Polsce, a przed zrealizowaniem dużego kontraktu dotyczącego dostaw broni, w tym tzw. „czerwonej rtęci” używanej do produkcji broni jądrowej. Wiadomo, że tuż przed śmiercią chciał kupić na czarnym rynku broń.

Jedyny świadek, który znał kulisy działalności Andrzeja Stuglika — jego ochroniarz i kierowca, Mieczysław Zapiór, ps. Pancernik — nie żyje. Utonął w 2001 roku podczas nurkowania w Egipcie. Na kilka tygodni przed przesłuchaniem w sprawie dotyczącej zabójstwa generała Marka Papały, Komendanta Głównego Policji.

Śledztwo dotyczące śmierci Stuglika zostało umorzone w momencie, gdy na światło dzienne zaczęły wychodzić jego związki ze służbami specjalnymi oraz z firmami zajmującymi się obrotem bronią. Postępowanie prowadził — i umorzył — prokurator Maciej Białek, który w latach 80. oskarżał działaczy „Solidarności”. Domagał się dla nich surowych wyroków, a w przypadku gdy zapadały one w zawieszeniu — wnosił rewizje nadzwyczajne na niekorzyść osądzonych. Prokurator Białek wchodził w skład grupy prokurator Wiesławy Bradonowej. Zespół ten został rozwiązany w 1990 r. Do tamtego czasu jego członkowie zajmowali się procesami politycznymi. Byli całkowicie dyspozycyjni wobec Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a w szczególności — wobec Służby Bezpieczeństwa.

Czy ta zależność była powodem umorzenia śledztwa w sprawie zabójstwa Andrzeja Stuglika z powodu niewykrycia sprawców, którzy najprawdopodobniej byli związani ze służbami specjalnymi PRL? Wiele wskazuje na odpowiedź pozytywną. Trzeba przecież

wziąć pod uwagę kontekst tego, co działo się na początku lat 90. I pamiętać, gdzie znaleźli zatrudnienie funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa oraz II Zarządu Sztabu Generalnego. Jak grzyby po deszczu powstawały wówczas zakładane przez nich firmy. Były to głównie agencje ochrony i szemrane spółki, które w swoją działalność wpisane miały niemal wszystko. Mało precyzyjne prawo, dziurawe granice (zwłaszcza wschodnie) i likwidacja policyjnych wydziałów ds. zwalczania przestępczości gospodarczej — wszystko to pozwalało na „wolną amerykankę” w tzw. prywatnej inicjatywie. Gwarantem powodzenia była agentura wśród biznesmenów. To do zwerbowanych przez siebie agentów kierowali pierwsze kroki negatywnie zweryfikowani funkcjonariusze tajnych służb PRL. I ci, którzy nawet nie chcieli się poddać weryfikacji, bo wiedzieli, że jej nie przejdą.

Dziś, po otwarciu zgromadzonych w Instytucie Pamięci Narodowej archiwów, wiadomo, że biznesmeni, którzy zajmują czołowe miejsca na listach najbogatszych Polaków, zostali zarejestrowani jako tajni współpracownicy bezpieki. Ich pieniądze, w połączeniu z kontaktami funkcjonariuszy MSW, dawały szansę na sukces.

Mieczysław Zapiór, ps. Pancernik — kick bokser, ochroniarz i kierowca Andrzeja Stuglika — w latach 80. pracował w grupie bojowej wydziału zabezpieczenia Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej, którym kierował Edward Misztal. Wydział, który miał się zajmować operacjami antyterrorystycznymi, w rzeczywistości służył do bandyckich rajdów na opozycję. Między innymi takich, jak pacyfikacja Komitetu Prymasowskiego i rozbijanie niepodległościowych demonstracji.

Po roku 1989 Mieczysław Zapiór został wiceprezesem spółki detektywistycznej „Kontrakt”. Szefem firmy był Roman Kaczmarowski, wieloletni funkcjonariusz MSW. Kaczmarowski w 1976 r. pracował w I Departamencie (wywiad), a później, do 1990 r., w kontrwywiadzie, czyli II Departamencie. Mężczyzna zajmował się m.in. prowadzeniem pracy kontrwywiadowczej w polskich

przedsiębiorstwach i instytucjach utrzymujących kontakty z zagranicą. Kaczmarek poznał Andrzeja Stuglika podczas wspólnej pracy w kontrwywiadzie PRL, gdzie ten ostatni służył do 1980 r., gdyż następnie przeszedł do biznesu.

Ważną postacią w całej sprawie jest ojciec Stuglika. Pułkownik Marian Stuglik miał bliskie kontakty z II Zarządem Sztabu Generalnego (wojskowy wywiad komunistyczny), który był pod jurysdykcją generała Czesława Kiszczaka. W IPN zachowała się korespondencja skierowana przez Stuglika seniora do Kiszczaka, u którego wojskowy interweniował w sprawie syna. Jedną z hipotez zakładała, że Andrzej Stuglik został zastrzelony z powodu zemsty na ojcu. Jednak ta wersja nie została zbadana przez śledczych.

19 lutego 1991 r. Andrzej Stuglik wyszedł późnym wieczorem z domu na Ursynowie na spacer z psem, dogiem niemieckim. Ostatni raz widziano go żywego w towarzystwie nieznanego mężczyzny. Około godziny 23.00 lokator wchodzący do bloku przy ul. Warchałowskiego zauważył leżącego przed samym wejściem Andrzeja Stuglika z raną w głowie. Mężczyzna jeszcze żył. Sąsiad natychmiast zawiadomił policję, pogotowie i żonę Stuglika, która zadzwoniła po teścia, pułkownika Mariana Stuglika, wtedy szefa Departamentu Kadr Ministerstwa Obrony Narodowej.

Karetka nie przyjechała natychmiast. Sąsiad podjął próbę reanimacji ranego. A nie było to proste także z tego powodu, że nie działało światło przy drzwiach wejściowych. Pięć dni wcześniej lampa została uszkodzona. Pogotowie zjawilo się dopiero po 40 minutach od wezwania. Lekarz, po zbadaniu w świetle latarki leżącego mężczyzny, stwierdził zgon. Z powodu braku światła część pozostawianych na miejscu zbrodni śladów uległa całkowitemu zniszczeniu.

Pies, z którym Andrzej Stuglik wyszedł na spacer, biegał przestraszony w okolicach bloku. Nie wiadomo, dlaczego pies obronny nie zaatakował zabójcy. Policjanci zakładali, że mógł znać napastnika i dlatego nie zareagował. Na znajomość ofiary i

sprawcy wskazywał także fakt, że przed śmiercią Andrzej Stuglik nie bronił się i nie wzywał pomocy. Przesłuchiwani sąsiedzi stwierdzili, że między 20.40 a 22.00 słyszeli dobiegające z zewnątrz bloku szczekanie psa i głośny trzask, co wskazywało na to, że broń nie miała tłumika. Jeden z sąsiadów po tych hałasach wyrzwał przez okno. Zobaczył wysokiego, postawnego, samotnego mężczyznę, który szedł w kierunku pobliskiej ulicy.

Kilkaset metrów od bloku, gdzie dokonano zabójstwa, znaleziono podarte wizytówki z napisem: „Andrzej Stuglik — Doradca Dyrektora Naczelnego ds. finansowych DAL Towarzystwo Handlu Międzynarodowego S.A.”. W trakcie przeszukania mieszkania zamordowanego natrafiono na poufne dokumenty, m.in. dotyczące firmy Proxy International, podpisane przez Włodzimierza Jermanowskiego. Jermanowski to związany z lewicą biznesmen. Jego nazwisko pojawia się w kontekście kontaktów biznesowych w śledztwie dotyczącym zabójstwa Marka Papały.

Od samego początku było wiadomo, że motywem zbrodni dokonanej na Stugliku nie był rabunek. W ubraniu ofiary znaleziono pieniądze, na szyi miał złoty łańcuszek. Sekcja zwłok wykazała, że zginął od strzału w głowę, który oddano z bardzo małej odległości. Na podstawie badań pocisku, który spowodował zgon ofiary, stwierdzono, że broń o takim właśnie kalibrze znajdowała się wówczas na wyposażeniu Wydziału Antyterrorystycznego Komendy Stołecznej Policji.

[1]„W dniu 19 lutego 1991 r. żaden tego typu egzemplarz broni nie został wydany z magazynu uzbrojenia. Sprawdzenie poprzez Komendy Wojewódzkie Policji w kraju wykazów ewidencji broni oraz przypadków zgłoszonej utraty broni ewidencjonowanej nie przyniosło informacji mogących mieć znaczenie w niniejszym postępowaniu. Z tych względów należy stwierdzić, że w sprawie brak jest takich śladów, które w sposób istotny mogłyby same przez się doprowadzić do identyfikacji sprawcy zabójstwa” — napisał prokurator Maciej Białek w uzasadnieniu umorzenia śledztwa w sprawie zabójstwa Stuglika.

Prowadząca śledztwo prokuratura za motyw zbrodni przyjęła zemstę lub porachunki. Przesłuchiwani członkowie rodziny zeznali, że nie byli wprowadzeni w szczegóły działalności zawodowej Andrzeja Stuglika. Wiedzieli jedynie, że spodziewał się on przyływu większej gotówki, a po rozmowach, które odbywał w związku z prowadzonymi interesami, okazywał duże zdenerwowanie. Jedną z pierwszych informacji, jakie uzyskała policja, był fakt dawnej pracy ofiary w służbach specjalnych PRL.

Andrzej Stuglik, absolwent Wydziału Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, do służby w Departamencie I MSW (wywiad) został przyjęty w 1974 r. i od razu został skierowany do Ośrodka Kształcenia Kadr Wywiadu w Kiejkutach. Po ukończeniu kursu uzyskał opinię negatywną. Czytamy w niej, że „nie spełnia wymogów stawianych pracownikom Departamentu I MSW”. W związku z tym został przyjęty do Departamentu II (kontrwywiad) na stanowisko inspektora. Zwolnił się na własną prośbę w 1980 r. Opinie przełożonych z MSW na jego temat były negatywne. Często pojawia się motyw powoływania się na wpływy i koneksje ojca, pułkownika Mariana Stuglika.

„Po zwolnieniu ze służby podjął pracę w CHZ [Centrala Handlu Zagranicznego — red.] Polimex Cekop, gdzie nawiązał szereg bliskich kontaktów z przedstawicielami firm zagranicznych m.in. angażując się w pośredniczeniu w zawieraniu transakcji handlowych w zamian za osiągnięcie korzyści materialnych, lecz ze szkodą dla interesów gospodarki narodowej, wykorzystywał przy tym wiedzę nabytą podczas pracy w resorcie spraw wewnętrznych oraz nawiązane kontakty służbowe. [...] Ustalono, że wobec jednego z figurantów Dep. II MSW ujawnił wiadomości dotyczące form i metod pracy SB w zakresie zainteresowań poszczególnych służb resortu w tym działalności wywiadu, obserwacji, techniki” — napisał 17 czerwca 1988 r. w opinii służbowej major Reginald Pallasek, starszy inspektor Wydziału VI Departamentu II MSW.

Jednym z bardzo bliskich znajomych Andrzeja Stuglika ze służby

w MSW był major Czesław Oks, sekretarz generała Władysława Pożogi. Po odejściu z pracy w Polimex Cekop, Andrzej Stuglik został przyjęty do pracy w Komitecie Warszawskim PZPR na stanowisko starszego inspektora ds. propagandy. Z tego okresu pochodzą jego zażyłe znajomości z ludźmi aparatu władzy, m.in. z Edwardem Kuczerą (późniejszym wieloletnim skarbnikiem SLD).

Po odejściu Andrzeja Stuglika z MSW jego przełożeni zastrzeegli mu paszport, od czego złożył odwołanie. W tej sprawie interweniował także u Czesława Kiszczaka, ówczesnego szefa MSW, pułkownik Marian Stuglik (ojciec), co przyniosło efekt pozytywny: zakaz wyjazdu za granicę został uchylony.

Pod koniec lat 80. Andrzej Stuglik kilkakrotnie starał się o przyjęcie do pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, do czego ostatecznie nie doszło. Jak wynika z dokumentów, decydujący wpływ na to miała negatywna opinia z MSW, co spotkało się z ostrą reakcją pułkownika Mariana Stuglika.

„Jako członek PZPR pozwalam sobie zwrócić się ponownie do tow. Generała jako członka BP KC PZPR w sytuacji dla mnie szczególnej, dotyczącej mojego syna Andrzeja (czł. PZPR l. 36). [...] W związku z tym, że pracę dyplomową na UW opracował w dziedzinie stosunków międzynarodowych nt. »Doktryna USA w Indochinach« a także opracowanie pracy doktorskiej pod kierunkiem L. Pastusiaka n.t »Znaczenie Zatoki Perskiej dla USA«, pragnął, zgodnie ze swoimi marzeniami dostać się do pracy w MSZ i tutaj spotkał się z odmową z powodu braku miejsc a faktycznie z uwagi na zajęte stanowisko MSW »Przyjęcie do MSW uważa się za niewskazane«. [...] Dla mnie jako ojca, długoletniego członka PZPR, oficera LWP zajmującego kierownicze stanowisko ta sytuacja jest wysoce niepokojąca. Dyskredytuje ona bowiem bez podania jakiegokolwiek przyczyny młodego człowieka i przekreśla mu wszelkie szanse życiowe. Można by to uznać za przejaw zemsty i niewłaściwego postępowania osób kompetentnych w tych sprawach przy zastosowaniu dziś nie do przyjęcia metod” — tak do generała Kiszczaka pisał w czerwcu 1988 r. pułkownik Marian Stuglik, który

był wówczas jednym z najbliższych współpracowników generała Floriana Siwickiego, szefa Ministerstwa Obrony Narodowej.

Interwencja nie pomogła. Andrzej Stuglik nie został przyjęty do MSZ. Trafił natomiast do ministerstwa finansów, a następnie do Pewexu — Przedsiębiorstwa Eksportu Wewnętrznego, które w PRL miało sieć sklepów i kiosków walutowych, a które w rzeczywistości było przykrywką komunistycznego wywiadu. W Pewexie Stuglik poznał dyrektora Marka Pietkiewicza. W roku 1989 został jego doradcą w czasie prezesury Pietkiewicza w DAL'u. Andrzej Stuglik w Towarzystwie Handlu Międzynarodowego DAL S.A. (była to centrala handlu zagranicznego, która zawierała kontrakty z krajami niemal całego świata) pracował do października 1990 r. Miał już wówczas szerokie kontakty w biznesie, np. był doradcą Janusza Stajszczaka w Przedsiębiorstwie Handlu Zagranicznego Weltinex z Bydgoszczy, które m.in. handlowało ze Wschodem. Prowadził też rozmowy ze szwedzkim biznesmenem polskiego pochodzenia Wiktorem Kubiakiem, szefem firmy „Batax”. Stuglik uczestniczył w posiedzeniach rady nadzorczej Dorchemu — aferzysty Lecha Grobelnego, właściciela Bezpiecznej Kasy Oszczędności, która oferowała lokaty na wysoki procent, co zakończyło się totalnym krachem. Do dziś nie wiadomo, skąd Grobelny miał gigantyczne pieniądze, którymi obracał na początku istnienia Dorchemu. Nie wiadomo też, co się z nimi stało. Lech Grobelny został zamordowany przez nieznanych sprawców w niewyjaśnionych okolicznościach w roku 2007.

Pod koniec 1990 r. Andrzej Stuglik nawiązał kontakty z firmą Polmarck Andrzeja Kuny i Aleksandra Żagla, w której był zatrudniony Władimir Ałganow, sowiecki szpieg. W tym samym czasie Stuglik prowadził intensywne rozmowy dotyczące dostaw broni, m.in. z właścicielem Agencji Consulta Export-Import, biznesmenem Robertem Poczmanem, który zajmował się handlem sprzętem wojskowym pochodzącym z terenów dawnego Związku Radzieckiego. Miał on tak rozległe znajomości, że proponował

nawet kupno łodzi podwodnej z napędem atomowym, na którą jednak w Polsce nie znalazł chętnych.

Andrzej Stuglik prowadził też rozmowy z przedstawicielami wojska, z którymi negocjował zakup gąsienic czołgowych. Kontrahentem miał być Dubi Piekielny, przedstawiciel firmy Dolan Arms z Izraela. Ostatecznie kontrakt przejął zajmujący się handlem bronią biznesmen, o co Andrzej Stuglik, który załatwiał zakup gąsienic czołgowych poprzez swoje znajomości w wojsku, miał do niego olbrzymie pretensje.

Przed śmiercią Stuglik spotykał się z szefami Cenzinu. Spółka prowadziła działalność eksportową i importową w zakresie obrotu uzbrojeniem i sprzętem specjalnym. Jej większościowym udziałowcem był Skarb Państwa; mniejsze udziały posiadały polskie firmy obronne.

Andrzej Stuglik rozmawiał z szefami Cenzinu o dostawach, m.in. transporterów opancerzonych BTR, Topazów PT-76, samolotów MIG 29 i czołgów, które miały trafić do Izraela. Partnerem do rozmów ze Stuglikiem z ramienia Cenzinu był m.in. Tadeusz Koperwas, oficer Zarządu II Sztabu Generalnego, czyli wywiadu wojskowego PRL. Jak ujawnił Sławomir Cenckiewicz w książce „Długie ramię Moskwy”: w latach 80. Koperwas, ps. Derwisz, został ulokowany — jako oficer pod przykryciem — w wiedeńskiej firmie handlującej bronią i elektroniką Alkastronic Handelsgesellschaft, której właścicielami byli oficerowie Zarządu II Sztabu Generalnego oraz syryjscy handlarze bronią Haissam Al. Kassar i Monzer Al. Kassar, którzy byli powiązani z organizacjami terrorystycznymi. Jego kontakty z wywiadem wojskowym PRL były kontynuowane po 1989 r.: wspólnie sprzedali broń do objętych międzynarodowym embargiem Chorwacji oraz Somalii. W transakcji uczestniczyli również przedstawiciele KGB. Co ciekawe, działania Koperwasa autoryzował szef MON generał Florian Siwicki, przyjaciel pułkownika Mariana Stuglika.

W trakcie rozmów z przedstawicielami Cenzinu Andrzej Stuglik podkreślał, że jest zainteresowany kupnem każdej ilości

„czerwonej rtęci” czy amalgamatu rtęci, niezwykle drogiego, poszukiwanego materiału, który wykorzystywany był w przemyśle energetycznym i jądrowym, by uszczelniać reaktory jądrowe. Na początku lat 90. Urząd Ochrony Państwa prowadził kilka operacji, których celem było przechwycenie nielegalnych transportów „czerwonej rtęci”. Była ona wówczas szmuglowana z państw byłego ZSRR, przez Polskę, do krajów Trzeciego Świata.

W tym kontekście szczególnego znaczenia nabiera spotkanie Andrzeja Stuglika z rezydentem KGB w Polsce, do którego doszło pod koniec grudnia 1990 r. Stuglik po wyjściu od rezydenta pojechał do siedziby Urzędu Ochrony Państwa. Do UOP wchodził bez przepustki.

O spotkaniach z rezydentem KGB i wizytach w UOP mówił podczas przesłuchań w prokuraturze Mieczysław Zapiór, który wskazywał te miejsca funkcjonariuszom podczas policyjnego rekonesansu. Informacja o kontaktach z KGB nie znalazła się w uzasadnieniu umorzenia śledztwa w sprawie zabójstwa Andrzeja Stuglika. Jest tam natomiast mowa o ostatniej transakcji, w którą był on zaangażowany. Był to zakup znacznej ilości złota, które pochodziło ze Związku Radzieckiego, dla zagranicznego kontrahenta.

Pośrednikiem w tej operacji był szef firmy Intermar Marek Szelażek. Szelażek podczas przesłuchania stwierdził, że szukał osób, które mogłyby mu załatwić taką transakcję, ale nigdy nie poznał osobiście Andrzeja Stuglika.

„Jest prawdopodobne, że A. Stuglik liczył na duży zysk z pośrednictwa w zakupie złota. Żadnemu z ustalonych i przesłuchanych świadków nie zwierzał się, aby odczuwał w związku z tą lub innymi transakcjami obawy o własne bezpieczeństwo. W lutym 1991 r. jednakże zwrócił się do Mieczysława Zapióra o zorientowanie się w możliwości nabycia za kwotę do 500 dolarów nierejestrowanego pistoletu produkcji zachodniej” — czytamy w uzasadnieniu umorzenia sprawy, które kończy się stwierdzeniem, że „brak jest dowodów na wykrycie

sprawcy lub sprawców zabójstwa A. Stuglika”.

POSTANOWIENIE O UMORZENIU ŚLEDZTWA W SPRAWIE ZABÓJSTWA ANDRZEJA STUGLIKA Z 30 SIERPNIA 1991 R. Z POWODU NIEWYKRYCIA SPRAWCÓW.

W 1991 / 9 / 91

PROKURATURA WOJEWÓDZKA
w Warszawie
WYDZIAŁ ŚLEDZCZY
1 Krakowskie Przedmieście 36
00-850 Warszawa

POSTANOWIENIE
o umorzeniu śledztwa ~~dochodzenia~~

Data 30 sierpnia 1991 r.

Maciej Bialek - prokurator
(osob. zastępczo i stanowiąco) Prokuratury Wojewódzkiej

w Warszawie w sprawie ~~przebiegu~~ dokonania w dniu 19 lutego 1991 r. w Warszawie przy użyciu broni palnej zabójstwa Andrzeja Stuglika

~~przebiegu~~ tj. o czyn z art. 148 § 1 kk

de art. 11 pkt. 1, 260 § 1 oraz art. 213, 261 § 1, 262 § 1*) kpk

postanowił:

uc śledztwo - ~~dochodzenie~~ w sprawie dokonania w dniu 19 lutego 1991 r. w Warszawie przy użyciu broni palnej zabójstwa Andrzeja Stuglika - tj. o przestępstwo z art. 148 § 1 kk - z powodu niewykrycia sprawcy czynu - tj. na podstawie art. 260 § 1 kpk

środek zapobiegawczy zastosowany

em podejrzanego(ej)

postanowieniem z dnia 19 r.)*

g rzeczowe w postaci*)

postępowanie z dnia 19 r. w przedmiocie zabezpieczenia majątkowego*)

ć do Sądu w z wnioskiem o*)

NOTATKA SŁUŻBOWA MSW WS. ANDRZEJA STUGLIKA Z 17 CZERWCA 1988 R. DEKRETOWANA DO TOW. GEN. ZDZISŁAWA SAREWICZA, ÓWCZEŚNEGO SZEFA WYWIADU PRL ORAZ TOW. MJR. GROMOSŁAWA CZEMPIŃSKIEGO, FUNKCJONARIUSZA WYWIADU PRL.

*Gm. Gen. Szwedzi
Kłk. MSZ racjonalna
Przejdź do pracy to
a nie do polityki*

Warszawa, 1988 - 06 - 17

Jawne

Egz.Nr 1
31.08.88

NOTATKA SŁUŻBOWA

dot. byłego pracownika Departamentu II MSW

ob. Andrzej STUGLIK s. Marianna,
ur. _____, zam. _____
ul. _____.

*Tow. Mjr. Czempiński
88.06.22. 7*

W/wym. we wrześniu 1974 r. został przyjęty do służby w Departamencie I MSW i skierowany na kurs OOKW po którego ukończeniu został zaopiniowany, "że nie spełnia" wymogów stawianych pracownikom Departamentu I MSW. Z tych względów od 1975 r. pracował w Departamencie II MSW na stanowisku inspektora, skąd w 1980 r. zwolnił się na własną prośbę uzasadniając to niespełnieniem swych aspiracji. Z wystawionych opinii za okres pracy wynika, że był funkcjonariuszem niedyscyplinowanym, nielubianym przez kolektyw, preferujący interesy osobiste a lekceważący obowiązki służbowe, często powołujący się na zajmowane przez ojca stanowisko /płk WP/, prezentujący konsumpcyjną postawę, zarozumiałstwo i wyraźną chęć zrobienia kariery - związanej z wyjazdami za granicę.

Na podkreślenie zasługuje, że w/wym. zwolnił się z resortu na własną prośbę z dniem 31.08.1980 r., a więc w czasie trudnej i skomplikowanej sytuacji w kraju i kierował się względami materialnymi, co sam potwierdził w raporcie o zwolnienie.

Po zwolnieniu ze służby podjął pracę w CHZ "Polimex-Cekor", gdzie nawiązał szereg bliskich kontaktów z przedstawicielami firm zagranicznych, m.in. angażując się w pośredniczeniu w zawieraniu transakcji handlowych w zamian za osiągnięcie korzyści materialnych lecz ze szkodą dla interesów gospodarki narodowej, wykorzystywał przy tym wiedzę nabytą podczas pracy w resorcie spraw wewnętrznych oraz nawiązane kontakty służbowe.

PISMO INTERWENCYJNE W SPRAWIE ANDRZEJA STUGLIKA PISANE PRZEZ JEGO OJCA PŁK. DR. MARIANA STUGLIKA DO GEN. CZESŁAWA KISZCZAKA Z 25 MAJA 1988 R.

Płk dr Marian Stuglik
Warszawa
ul. Wspólna Droga 8 m. 16

AZ 2505 Jmt. 188
25.05.88

*Gen. Kiszczak
Pierwszy zastępca
Przewodniczącego Komitetu Rady Ministrów
Przedstawia Prawa, Ład i Porządek Publiczny
Członek Biura Politycznego KC PZPR
tow. gen. broni Czesław Kiszczak
Warszawa*

Jako członek PZPR pozwalam sobie zwrócić się ponownie do tow. Generata jako członka BP KC PZPR w sytuacji ośmiamej szczególnej, dotyczącej mojego syna, Andrzeja (ul. PZPR - lat 36), w związku z tym, że w załatwieniu sprawy, którą poniżej przedstawiam, nie znalazłem zrozumienia. Jestem tym głęboko zaniepokojony i wzruszony. Dopatruję się wyraźnego lekceważenia spraw osobistych członka Partii, naruszenia prawa, braku szczerości i uczciwości, a zarazem braku korelacji między teorią a praktyką lansowaną w tym przedmiocie.

Syn mój, Andrzej, po ukończeniu studiów na UW o kierunku nauk politycznych, na jego prośbę został przyjęty na funkcjonariusza MSW, gdzie po ukończeniu rocznego studium poddyplomowego pracował przez 6 lat w Departamencie II. W pracy był nadzwyczajny, pełnił funkcję przewodniczącego SZMP, otrzymywał również awans do stopnia porucznika. Ponieważ przez kilka lat nie uzyskał zgody na przeniesienie do innej komórki (zgodnej z kierunkiem ukończenia studium poddypl.), na własną prośbę, złożoną wiosną 1980 r., odszedł poza resort i pracował krótko w „Polimer-Lekop”.

2

Alicja i Piotr Jaroszewiczowie – Zabójstwo premiera PRL

W nocy z 31 sierpnia na 1 września 1992 r., w domu jednorodzinnym w Aninie, luksusowej dzielnicy Warszawy, nieznani sprawcy zamordowali byłego premiera Piotra Jaroszewicza i jego żonę Alicję Solską. O politycznym motywie tej zbrodni był przekonany Piotr Kostikow, Rosjanin, w latach 1964-1980 szef sektora Polskiego Wydziału Łączności z Bratnimi Partiami Krajów Socjalistycznych KC KPZR. Napisał on w swojej książce „Widziane z Kremla”: sprawców brutalnego mordu nieodnaleziono do dziś.

Zdaniem najbliższych współpracowników Piotra Jaroszewicza motywu zbrodni należy szukać w przeszłości premiera. To jednak, jak się okazuje, nie jest takie proste. W Instytucie Pamięci Narodowej na temat Jaroszewicza zachowało się niewiele dokumentów. Niewykluczone, że te najważniejsze, które mogłyby rzucić światło na rzeczywistą działalność byłego premiera w czasie II wojny światowej i w okresie PRL — zostały zniszczone. Możliwe jest również i to, że trafiły do czyjegoś nielegalnego archiwum — tak, jak niektóre dokumenty wykradzione z MSW pod koniec lat 80.

Do dziś nieodnaleziono dokumentów dotyczących działalności Piotra Jaroszewicza w ZSRR. W aktach IPN zachowała się jedynie notatka z życiorysem polityka. Wynika z niej, że urodził się 8 października 1909 r. w Nieświeżu. Otrzymał wyższe wykształcenie pedagogiczne. W latach 1929-1933 był nauczycielem szkoły powszechnej w powiecie garwolińskim. Należał do ZMW, Legionów Młodych i PPR. W 1939 r. był dyrektorem szkoły średniej w Bereźnie. Po wybuchu II wojny światowej znalazł się w sowieckiej strefie okupacyjnej: był robotnikiem leśnym, pracował w Stalingradzie, był kołchoźnikiem w Kazachstanie. W 1943 r. trafił do armii Berlinga i błyskawicznie awansował — był zastępcą dowódcy ds. polityczno-wychowawczych. Od sierpnia do grudnia 1945 r. pełnił obowiązki szefa Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego — formacji będącej pod szczególną kuratelą najpierw NKWD, a następnie Głównego Zarządu Informacji

Wojskowej, który był odpowiedzialny (obok Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego) za masowe represje, tortury i zbrodnie sądowe wśród żołnierzy Wojska Polskiego, Armii Krajowej (AK), Wolności i Niezawisłości (WiN), Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ) oraz ludności cywilnej.

Pod koniec 1945 r. Piotr Jaroszewicz został mianowany generałem brygady i jednocześnie powołany na stanowisko głównego kwatermistrza Ludowego Wojska Polskiego. W latach 1945-1950 był wiceministrem obrony narodowej. Ze skąpych archiwów można wywnioskować, że od lat 40. przedstawiciele władz PRL, a także ich przełożeni w Moskwie, otaczali Jaroszewicza szczególną kuratelą.

W sprawie Mariana Spychalskiego (został on oskarżony o odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne i odsunięty od stanowisk państwowych, wykluczony z KC PZPR i aresztowany) nazwisko Piotra Jaroszewicza, przyszłego premiera, pojawia się w kilku miejscach. Sprawa Spychalskiego zaczęła się w 1947 r., gdy funkcjonariusze Głównego Zarządu Informacji znaleźli w Gdańsku przedwojenne dokumenty Ministerstwa Spraw Wojskowych. Opracowywała je współpracownica Spychalskiego, Stanisława Sowińska, ps. Barbara. Natrafiono na pokwitowania kasowe i życiorysy różnych ludzi, którzy w 1947 r. zajmowali wysokie stanowiska w administracji państwowej Polski Ludowej.

Z dokumentów wynikało, że byli oni współpracownikami przedwojennego kontrwywiadu, „dwójki”, czyli komórki m.in. zwalczającej komunistów. Najważniejsze nazwiska to Włodzimierz Lechowicz i Alfred Jaroszewicz — przyrodni brat Piotra Jaroszewicza. Jaroszewicz i Lechowicz byli w tym czasie posłami Stronnictwa Demokratycznego, współpracownikami Gomułki i od czasu wojny mieli powiązania ze Spychalskim. Gomułka, gdy dowiedział się o znalezionych archiwach, zbagatelizował te informacje. Berman i Bierut o całej sprawie dowiedzieli się w połowie 1948 r. Zapadła decyzja o rozpracowaniu operacyjnym Lechowicza, Jaroszewicza i reszty. Ale Lechowicz i Jaroszewicz,

mimo że byli pracownikami sanacyjnego kontrwywiadu, to w rzeczywistości infiltrowali „dwójkę” na rzecz wywiadu sowieckiego. Podczas wojny, i po niej, zaliczali się do jednych z najwyższej uplasowanych agentów komunistycznych — najpierw w Delegaturze Rządu RP, a potem w Stronnictwie Demokratycznym. Podjęcie działań operacyjnych przez bezpiekę, aresztowanie ponad setki osób powiązanych z Lechowiczem, Jaroszewiczem, a także ze Spychalskim, miało na celu pozbycie się przeciwników politycznych, a kilkuletnia praca na rzecz ruchu komunistycznego miała być zamieniona w zdradę.

Właśnie w dokumentach ze sprawy Spychalskiego można odnaleźć informacje na temat Piotra Jaroszewicza. W trakcie zeznań jeden ze świadków stwierdził, że Piotr Jaroszewicz, przyrodni brat Alfreda, pracuje w Informacji Wojskowej. (Informacja Wojskowa powstała na terenie Związku Radzieckiego. Ten organ kontrwywiadu wojskowego działał w Polsce w latach 1944-1957 i był odpowiedzialny, obok Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, za masowe represje wśród żołnierzy Wojska Polskiego, Armii Krajowej oraz ludności cywilnej). W sprawie Spychalskiego zachowało się także oświadczenie dotyczące Piotra Jaroszewicza, w którym czytamy: „Stawiając generała na świadka w procesie, należy się zastanowić, czy gen. nie zgadzał się z jego [Spychalskiego — red.] polityką personalną, co może doprowadzić do skompromitowania Generała”. Ostatecznie do przesłuchania i kompromitacji nie doszło a Piotr Jaroszewicz piął się po szczeblach partyjnej i wojskowej kariery. Sprawa Spychalskiego, Lechowicza i Alfreda Jaroszewicza zakończyła się dopiero w 1956 r. Zostali wypuszczeni z więzienia, zrehabilitowani i przywrócenii do partii.

Kolejny trop dotyczący politycznego motywu zabójstwa Piotra Jaroszewicza pojawia się w kontekście niemieckich archiwów. Według tygodnika „Wprost” były premier mógł zostać zamordowany z powodu tajemnic, jakie poznał w 1945 r.

przeglądając niemieckie archiwum zdeponowane w pałacu w Radomierzycach. Dwaj inni wojskowi, którzy również wtedy do archiwum weszli — także zostali zamordowani w latach 90. (Do dziś nie wykryto motywów, ani zabójców). Tadeusz Steć zginął w styczniu 1993 r. (po wojnie był przewodnikiem w Sudetach), a Jerzy Fonkowicz w 1997 r. w swojej willi w podwarszawskim Konstancinie (w czasach II wojny światowej był agentem NKWD. Z powodu pochodzenia żydowskiego, po wydarzeniach marcowych, wydano go z wojska). Wszystkich przed śmiercią torturowano. Wszyscy byli wysoko postawionymi funkcjonariuszami służb specjalnych PRL, które kontrolowali Rosjanie.

Cofnijmy się znów do 1945 r. Jaroszewicz, Fonkowicz (wówczas był szefem Oddziału III Głównego Zarządu Informacji WP) i Steć znaleźli w Radomierzycach tysiące teczek zawierających tajne dokumenty Głównego Urzędu Bezpieczeństwa III Rzeszy. Miały tam być akta personalne, listy, plany — głównie archiwa wywiadu francuskiego, belgijskiego i holenderskiego. Miało się tam także znajdować archiwum paryskiego gestapo, a w nim listy konfidentów. Były to dane o ludziach, ich ciemnych interesach i kolaboracji z Niemcami. Także o wydarzeniach prowokowanych przez niemieckie tajne służby, w których uczestniczyły znane osobistości. Tymi sprawami zajmowała się jedna z grup VI Departamentu RSHA, którym kierował Walter Schellenberg. Paczki z wybranymi dokumentami pozostały w samochodzie Piotra Jaroszewicza. Innymi archiwaliami w pałacu zajął się sowiecki wywiad. Pod koniec lipca 1945 r. radomierzyckie archiwum wyeksponowano do ZSRR, ale wcześniej miało zostać zmikrofilmowane.

W 2007 r. Biuro Wywiadu Kryminalnego Komendy Głównej Policji przychyliło się do hipotezy, że zabójstwo Jaroszewiczów miało związek z hitlerowskim archiwum. Według analityków policji dokumenty, które trafiły później do prywatnego archiwum Jaroszewicza, zawierały informacje kompromitujące polityków z różnych krajów.

Znajdujące się w IPN akta dotyczą m.in. internowania Piotra Jaroszewicza w grudniu 1981 r. Był on w grupie 36 byłych PZPR-owców, których przewieziono helikopterem do ośrodka Głębokie k. Drawska, a później do Tromnik w byłym województwie siedleckim.

Internowanie Jaroszewicza zostało poprzedzone pismem z 10 grudnia 1981 r. od pułkownika Kazimierza Paskudzkiego do generała Władysława Ciastonia, wiceministra MSW. W piśmie znalazło się nazwisko Jaroszewicza. „Wymienione osoby korzystały z finansowania przez niektóre instytucje i przedsiębiorstwa w spłacaniu budowanych dla nich domów mieszkalnych oraz przyjmowały kosztowne prezenty” — pisał Paskudzki. Korupcyjne zarzuty kierowane pod adresem Jaroszewicza nie zostały potwierdzone przez prokuraturę. Z powodu stanu zdrowia zwolniono go z internowania w końcu grudnia 1982 r. Oddano mu także prywatny arsenał broni zarekwirowany podczas zatrzymania.

Według nieoficjalnych informacji wpływ na zwolnienie Jaroszewicza i niepostawienie mu zarzutów miała Moskwa. O jego bardzo bliskich kontaktach z sowieckimi politykami i wojskowymi z GRU (wywiad wojskowy ZSRR) mówili podczas przesłuchań urzędnicy z otoczenia byłego premiera. „Piotr Jaroszewicz znał doskonale język rosyjski i miał bardzo duże notowania w ZSRR. Gdy był chory i nie mógł z Edwardem Gierkiem pojechać do Moskwy, to zaproponowano zmianę terminu wizyty” — zeznała Teresa Rymsza, wieloletnia sekretarka Jaroszewicza.

Z kolei Aleksander Kopeć, minister przemysłu maszynowego w rządzie Jaroszewicza zeznał, że były premier pisał (liczący już 1800 stron) pamiętnik, który planował przeznaczyć do publikacji w trzech częściach. Jaroszewicz miał pisać m.in. o kulisach Katynia i o kulisach puczu moskiewskiego w sierpniu 1991 r., gdy doszło do nieudanej próby obalenia sekretarza KPZR, Michaiła Gorbaczowa, przez kilku czołowych działaczy KPZR i generałów radzieckich, w celu powstrzymania zmian społeczno-gospodarczych i rozpadu ZSRR.

Zdaniem Kopcia życzeniem Piotra Jaroszewicza było, by pamiętniki opublikować dopiero po jego śmierci. Być może decyzja ta wynikała z jego przeszłości oraz faktu, że Jaroszewicz jako premier sprawował nadzór nad służbami specjalnymi. Treść pamiętników miała doskonale znać Alicja Solska. Kopec pomagał Jaroszewiczowi w kompletowaniu materiałów pamiętnikarskich. Przynosił mu m.in. dane statystyczne i kserokopie dokumentów.

Piotr Jaroszewicz przygotowywał także drugie wydanie książki „Przerwane milczenie”. Pierwsze spotkało się z dużym zainteresowaniem, zwłaszcza wśród byłych aparaczyków PZPR. Józef Świeciński zeznał, że przed wydaniem tej pozycji skontaktował się z nim Włodzimierz Łoziński, rzecznik prasowy ówczesnego prezydenta generała Wojciecha Jaruzelskiego. „Zakomunikował mi, że urząd prezydenta byłby zainteresowany zapoznaniem się z treścią książki” — zeznał Świeciński. Jego zdaniem Jaruzelski nie poznał treści książki przed oficjalnym wydaniem.

Inny świadek zeznał, że Piotr Jaroszewicz w drugim wydaniu „Przerwanego milczenia” miał wykorzystać dokumenty, które stawiałyby w złym świetle ekipę generała Jaruzelskiego.

Bohdan Roliński, dziennikarz „Trybuny Ludu”, przeprowadził rozmowy z Jaroszewiczem, które stanowiły część książki. Kolejne wywiady miały się znaleźć w drugim wydaniu. Dziennikarz zeznał, że wiele wątków nie trafiło do druku, wśród nich m.in. sprawy z pogranicza polsko-radzieckiego, w tym opis rozgrywek między obozem „krajowym” a Moskwą.

Piotr Jaroszewicz chciał też ponoć opisać kulisy śmierci generała Karola Świerczewskiego, która miała zostać zaaranżowana przez generała Jurija Żukowa (z ramienia NKWD „opiekował” się on Polską). Świerczewski zginął, ponieważ Żukow powiedział mu o sposobie wprowadzenia agentów radzieckich na teren Polski. Sposób ten polegał na przysyłaniu do Polski ludzi podstawionych za Polaków, którzy faktycznie zginęli na terenie ZSRR. Jaroszewicz miał opisać „matrioszki” (tak nazywano Rosjan

wychowanych jako Polaków i noszących nazwiska obywateli RP, których zamordowano na terenie ZSRR). Miał także podać nazwiska wysoko postawionych działaczy KC i wojska, którzy w rzeczywistości byli „matrioszkami”.

Były premier chciał też opisać wypadek generała Sylwestra Kaliskiego. Zdaniem Jaroszewicza był on upozorowany, a faktycznie doszło do zabójstwa. Generał Kaliski był specjalistą w zakresie fizyki. Podał teorię ciągłego wzmacniania ultradźwięków i hiperdźwięków w kryształach półprzewodnikowych. Był inicjatorem polskich badań nad mikrosyntezą termojądrową za pomocą lasera, posłem na Sejm, ministrem nauki, szkolnictwa wyższego i techniki. Zginął tragicznie w 1978 r. w wypadku samochodowym. Według niepotwierdzonych informacji, otrzymanych od jednego z oficerów WP, Sylwester Kaliski został zamordowany przez KGB, ponieważ pracując nad całkowicie polską bombą wodorową, nie zgodził się na podzielenie się wiedzą ze Związkiem Radzieckim.

Piotr Jaroszewicz nosił się też z zamiarem opisania szczegółów zniknięcia złota z FON (Funduszu Obrony Narodowej). W 1989 r. złotem FON-u zajął się Sejm i Senat, a 12 grudnia 1989 r. także minister sprawiedliwości.

„Prokurator generalny Aleksander Bentkowski zlecił śledztwo Prokuraturze Wojewódzkiej w Warszawie, przy współpracy Najwyższej Izby Kontroli, która działała na polecenie Sejmu. Sprawę powierzono Zespołowi Obrony Narodowej i Spraw Wewnętrznych, do którego kompetencji należy m.in. kontrola działalności gospodarczo-finansowej resortu obrony narodowej, spraw wewnętrznych i sprawiedliwości. Kierownikiem ekipy badającej sprawę FON-u był płk Stanisław Nowak. W I.1990 powstała Komisja Obywatelska pod przewodnictwem prof. Aleksandra Giejsztora, chcąc swoim działaniem wesprzeć śledztwo podjęte z urzędu. Obie komisje działając ponad rok dokonały ogromnej pracy przeszukując dziesiątki tysięcy stron dokumentów, badając archiwa w kraju i w Londynie. Odkryto wiele dalszych nieprawidłowości w zarządzaniu majątkiem FON-u, jak

np. fakt, że gdzieś z NBP »zniknęło« 26 kg złotych monet (3981 monet). Nie było jednak możliwe sformułowanie aktu oskarżenia przeciwko sprawcom sprzeniewierzenia złotego FON-u, gdyż nie pozwalały na to luki w dokumentacji celowo zniszczonej. Śledztwo zostało umorzone” — pisał historyk dr Leszek Szczęśniak.

Z dokumentów wynika, że Piotr Jaroszewicz mógł wiedzieć, co stało się ze złotem FON-u i kto jest odpowiedzialny za defraudację.

Piotr Jaroszewicz przed śmiercią miał poczucie, że jest inwigilowany. Zeznał o tym Stanisław Kociołek (były ambasador w Moskwie). Inni świadkowie mówili, że o ważnych sprawach nie rozmawiano u Jaroszewiczów w domu, lecz w ogrodzie. Teresa Rymsza zeznała, że „szef obawiał się podsłuchu w swoim domu. Był bardzo ostrożny podczas prowadzenia rozmowy. Po wypiciu kawy w bibliotece wychodziliśmy na rozmowę do ogrodu. Przypominam sobie, że w szafie znaleziono podsłuch”.

Były premier miał stałą porę wieczornych spacerów z psem, ale kilka tygodni przed śmiercią zaczął wychodzić później niż zwykle. Żonie ogłędnie powiedział, że z kimś się spotyka. Zaczął też zabierać ze sobą pistolet, który zawsze leżał przy nim, gdy był w domu. Do dziś nie wiadomo, z kim się wówczas widywał były premier.

Do podwójnego zabójstwa doszło w nocy z 31 sierpnia na 1 września 1992 r. Zabójcy doskonale widzieli, że starsi małżonkowie są w domu sami — zjawili się tuż po wyjeździe do USA córki Alicji Solskiej, Hanny, która przyjechała do domu matki i ojczyma na wakacje z dziećmi. Specjalnie szkolony pies obronny, sznaucer olbrzymi, został ogłuszony paralizatorem w domu. Zabójcy albo byli znajomymi byłego premiera, albo dostali się w momencie, gdy zdjął on aparat słuchowy. Ta druga hipoteza jest jednak mało wiarygodna ze względu na psa, który zawsze atakował intruzów. Nie zrobił tego owej nocy. A pistolet, który leżał na stoliku, nie został użyty. Jaroszewicz był przed śmiercią torturowany. Sprawcy zmienili mu koszulę. Dlaczego to zrobili? Nie wiadomo. Nie wiadomo też, jakie dokumenty podpisywał przed

śmiercią. A wskazywał na to fakt, że oprawcy przywiązali go do fotela, lecz zostawili wolną prawą rękę.

Żona Jaroszewicza była w tym czasie w sypialni na piętrze i najprawdopodobniej spała. Sekcja zwłok wykazała w jej organizmie pochodną benzodiazepiny — silnego środka psychotropowego o działaniu uspokajająco-nasennym. Napastnicy położyli ją na kołdrze w łazience, a pod głowę dali jej małą poduszkę. Zginęła od strzału w głowę z myśliwskiego sztucera.

Policję o zbrodni powiadomił Jan Jaroszewicz, który zaniepokojony faktem, że rodzice nie odbierają telefonu, pojechał do Anina.

Już na początku śledztwa policja jako główny motyw zbrodni przyjęła rabunek. Chociaż w domu Jaroszewiczów było wiele cennych przedmiotów, to sprawcy ich nie zabrali. Mało tego, w aktach śledztwa znalazł się zapis, że sprawcy pozostawili pieniądze. Stwierdzono „brak śladów tzw. ślepego plądrowania, a dom nie nosił widocznych śladów włamania”.

Zabójcy skupili się na gabinecie Jaroszewicza. Widoczne było, że ktoś dokładnie przeglądał zgromadzone tam dokumenty. Było to jedyne pomieszczenie w całym domu, które zostało przez oprawców przeszukane. „Nowe Państwo” ujawniło, że stojąca tam metalowa szafa pancerna była niemal pusta. Znalezione puste koperty, kartonowe pudełka i niewypełniony, wydrukowany w języku rosyjskim formularz, którego mordercy nie zabrali najprawdopodobniej dlatego, że niezauważenie wpadł pod szafę. Czego dotyczył ów dokument? Nie wiadomo, bo nikt nie pokusił się o jego przetłumaczenie i nie ma go w aktach śledztwa. Co ciekawe, metalowa szafa pancerna, stanowiąca swoisty sejf, była dla byłego premiera miejscem, którego strzegł jak skarbu. Rodzina i znajomi w trakcie śledztwa zeznali, że polityk nigdy nie zostawiał szafy pancernej otwartej, a klucz nosił przy sobie.

Bandytów interesowały także książki. Otwarte drzwi regału bibliotecznego wskazują, że czegoś w nich szukali. Śledczy nie zainteresowali się faktem, że wszystkie gałki od szafek były

pourywane — ktoś zadał sobie niemało trudu, by wyrwać i zbadać każdy uchwyt. Czego szukano? Być może mikrofilmów. Wśród znajomych Jaroszewicza krążyły informacje, że ma on w domu pokaźne archiwum, które może położyć kres karierze kilku znanych polityków.

Akta sprawy zabójstwa Piotra Jaroszewicza i jego żony trafiły w kwietniu 2005 r. do policjantów z tzw. Archiwum X. Specjalna grupa zajmuje się wyjaśnianiem zawiłych zagadek kryminalnych. Do zabójców mogłyby prowadzić odciski palców, które zabezpieczono na miejscu zbrodni: odciski z ciupagi, za pomocą której uduszono Piotra Jaroszewicza, odciski palców z przeciwsłonecznych okularów na jego biurku, odciski pobrane z szafy w gabinecie, fragmentaryczny odcisk kciuka pozostawiony na sztucerze, z którego zastrzelono Alicję Solską. Okazało się jednak, że folie daktyloskopijne z odciskami zabezpieczonymi w domu byłego premiera zaginęły w niewyjaśnionych okolicznościach. Nie było ich w aktach, które policja dostała z warszawskiego sądu okręgowego. Po interwencji policji i inwentaryzacji magazynu dowodów rzeczowych w sądzie odnalazły się jedynie kasety video z nagraniem wizji lokalnej.

Z akt śledztwa w sprawie zabójstwa byłego premiera i jego żony wyłania się obraz koszmarnych błędów popełnionych przez policję i prokuraturę podczas oględzin miejsca zbrodni. Niedopałki papierosów rzucone przez funkcjonariuszy, roznoszenie na butach krwi, dotykane sprzętów przed badaniami daktyloskopijnymi — to zaledwie kilka z długiej listy zaniedbań urzędników państwowych, którzy powinni zadbać o jak najdokładniejsze zabezpieczanie śladów. Synowi zamordowanego premiera i jego żony, Janowi, oddano kasetkę bez spisania zawartości i bez dokładnego sprawdzenia, co się w niej znajdowało. W aktach sprawy widnieje lakoniczny komunikat, że były to kosztowności.

Policja szybko złapała domniemanych zabójców. Byli to recydywiści z Mińska Mazowieckiego: Krzysztof R., ps. Faszysta, Wacław K., ps. Nianiek, Henryk S., ps. Sztywny, i Jan K., ps.

Krzaczek, którzy zostali oskarżeniu o zamordowanie Alicji i Piotra Jaroszewiczów. Ostatecznie wszyscy zostali uniewinnieni, a Skarb Państwa wypłacił im wysokie odszkodowania za niesłuszne aresztowanie. Policjanci i prokuratorzy, którzy prowadzili śledztwo — awansowali. Zabójców premiera i jego żony nie odnaleziono do dziś.

3

Marek Papala

– W pętli hipotez

Śledztwo w sprawie zabójstwa byłego komendanta policji Marka Papały można zaliczyć do najdłużej trwającego postępowania w całej historii polskiego wymiaru sprawiedliwości. Przesłuchano w nim setki osób, sprawdzono dziesiątki hipotez, a w wyjaśnienie sprawy zaangażowano niespotykane wcześniej środki. Jednak do tej pory nie skazano prawomocnie zabójcy komendanta. Nie stwierdzono także motywu, jakim się kierował.

Marek Papała 25 czerwca 1998 r. miał napięty program dnia. Najpierw przez kilka godzin szlifował angielski przed wyjazdem do Brukseli, gdzie miał objąć stanowisko oficera łącznikowego. Spotkał się też z ludźmi, którym wiele zawdzięczał w swojej karierze. Przerwał jednak wizytę, ponieważ spieszył się odebrać z Dworca Centralnego mamę, która przyjeżdżała do niego w odwiedziny z Pruchnika, niewielkiej miejscowości pod Jarosławiem. Tymczasem pociąg się spóźniał. Marek Papała postanowił więc pojechać do domu i wrócić na dworzec, gdy pociąg będzie się już zbliżał do Warszawy. Auto zaparkował pod blokiem. W tym samym momencie podszedł do niego mężczyzna w wieku ok. 20-22 lat, który przez chwilę rozmawiał z byłym szefem policji. Gdy Papała odwrócił głowę, z bliskiej odległości padł strzał.

Zdeformowany pocisk utkwiał w oparciu fotela. Znalazła go policja podczas oględzin samochodu. Podobnie jak zdeformowany odcisk palca znajdujący się na szybie auta. Po latach okazało się, że odcisk należy do Igora M., ps. Patyk — złodzieja samochodów, który na zlecenie gangu pruszkowskiego kradł luksusowe pojazdy. Po rozbiciu tej grupy przestępczej przez policję „Patyk” został świadkiem koronnym. W kwietniu 2012 r. postawiono mu zarzut zabójstwa generała Marka Papały.

Informacja o śmierci byłego szefa policji została natychmiast podana przez media. Do dziś można znaleźć w Internecie zdjęcia z

miejsca zbrodni, na których widać rozświetlony mocnymi reflektorami, ogrodzony policyjną taśmą teren pilnowany przez policyjnych funkcjonariuszy. I bordowe daewoo espero.

Policja szybko ustaliła, że Marek Papała tuż przed śmiercią był na przyjęciu imieninowym u Janiny i Józefa Sasinów, na którym znajdowali się także Hipolit Starszak z żoną oraz polonijny biznesmen Edward Mazur.

Gospodarze to byli funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, a następnie MSW PRL. Janina i Józef Sasinowie swoje kariery zaczynali w Szczecinie. Józef Sasin, absolwent Kursu Oficerów Śledczych Szkoły Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Czerwińsku, trafił do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Szczecinie, gdzie został oficerem operacyjnym. W WUBP w Szczecinie jako pielęgniarzka pracowała Janina Sasin. Po kilku latach została funkcjonariuszem wydziału C (zajmował się on prowadzeniem ewidencji operacyjnej — w jego zasobach były m.in. szczegółowe dane tajnych współpracowników Służby Bezpieczeństwa) Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Szczecinie, a w 1970 r. razem z mężem trafiła do MSW. Józef Sasin został inspektorem Departamentu III MSW, w którym zajmował się tzw. ochroną gospodarki, co w rzeczywistości sprowadzało się do inwigilacji, m.in. w zakładach przemysłowych. Od 1981 do 1989 r. pełnił funkcję szefa tego departamentu.

Hipolit Starszak, który przybył na imieniny Janiny Sasin wraz z żoną, to także były funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, jeden z najbardziej zaufanych funkcjonariuszy generała Czesława Kiszczaka. Nazwisko Starszaka pojawia się w najgłośniejszych sprawach politycznych lat 70. i 80., które dotyczą opozycji demokratycznej.

„Podejmowane przedsięwzięcia nacechowane były rzeczowością i poczuciem odpowiedzialności, a w miarę potrzeby dużym osobistym zaangażowaniem w realizację podjętych czynności” — pisał w opinii służbowej w kwietniu 1984 r. generał Kiszczak, minister spraw wewnętrznych. Było to tuż przed objęciem przez

Starszaka stanowiska zastępcy prokuratora generalnego. Powierzenie mu takiej funkcji było wyrazem najwyższego zaufania. Nadzorował najważniejsze prokuratorskie śledztwa prowadzone m.in. wspólnie z Biurem Śledczym MSW, którego do niedawna był przecież szefem. To pod jego nadzorem toczyło się śledztwo w sprawie zamordowanego przez funkcjonariuszy SB księdza Jerzego Popiełuszki. Mocodawcy esbeków nigdy nie znaleźli się na ławie oskarżonych. To za kadencji zastępcy prokuratora generalnego Hipolita Starszaka nie wyjaśniono, kto przyczynił się do śmierci walczących o wolność i wiarę księży: Stefana Niedzielaka, Sylwestra Zycha, Stanisława Suchowolca. Ich zabójców nigdy nie znaleziono, a śledztwa — jak głosi powszechna opinia — były tuszowane.

Hipolit Starszak ze stanowiska zastępcy prokuratora generalnego został odwołany w końcu 1990 r. Kilka miesięcy później, w lutym 1991 r. Starszak został dyrektorem w spółce URMA — wydawcy pierwszego polskiego „brukowca”, tygodnika „Nie”, którego redaktorem naczelnym był Jerzy Urban, rzecznik rządu stworzonego w latach 80. przez juntę Wojciecha Jaruzelskiego.

Edward Mazur, który także znalazł się na tamtym przyjęciu imieninowym, był ojcem chrzestnym syna Sasinów, Jacka, oraz ich sąsiadem z czasów PRL. Wynajmował wówczas od firmy Dipservice apartament w „zatoce czerwonych świni” przy ulicy Wiktorii Wiedeńskiej w Wilanowie. Obok niego miał apartament Władimir Ałganow, sowiecki dyplomata, a w rzeczywistości szpieg, absolwent sowieckiej Szkoły Oficerów Wywiadu, funkcjonariusz KGB. W latach 70. mieszkającym w USA Mazurem interesował się Zarząd II Sztabu Generalnego, ale ostatecznie nie doszło do zwerbowania polonijnego biznesmena na agenta wojskowego wywiadu. Z dokumentów Zarządu II wynika, że wywiad wojskowy nie był zainteresowany przejęciem od MSW (cywilnych służb specjalnych PRL) kontaktu z Edwardem Mazurem.

Dokumenty, do których dotarł Sławomir Cenckiewicz (cytuje je

w „Długim ramieniu Moskwy”) są jedyną poszlaką, która wskazuje na ewentualną współpracę Edwarda Mazura ze służbami specjalnymi PRL. W zachowanych w IPN dokumentach, które zostały odnalezione po zamówionej przeze mnie kwerendzie — nie ma żadnego, który potwierdzałby współpracę Edwarda Mazura z SB, MSW, zarządem II Sztabu Generalnego lub WSW. Są natomiast dokumenty jednoznacznie wskazujące na to, że bezpieczeństwa interesowała się przedsięwzięciami gospodarczymi Mazura w Polsce.

W latach 70. i 80. Mazur prowadził w Polsce działalność handlową. Nazwisko polonijnego biznesmena wielokrotnie pojawia się w kontekście afery Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego (FOZZ) — przez jego firmy przepływały pieniądze Funduszu, które nigdy nie zostały odzyskane. Wspólnikami Mazura w interesach z FOZZ byli m.in. Andrzej Kuna i Aleksander Żagiel oraz Jeremiasz Barański — polonijni biznesmeni, mieszkający w Wiedniu, którzy byli związani z służbami specjalnymi PRL i sowieckimi służbami specjalnymi.

Edward Mazur był wspólnikiem Zbigniewa Komorowskiego, byłego posła Polskiego Stronnictwa Ludowego, w spółce Bakoma. Łączyły ich także inne przedsięwzięcia. W 1991 r. razem z rosyjską firmą Avtoexport założyli spółkę Abexim, która mieściła się na eksterytorialnych terenach rosyjskich w Warszawie. Firma zajmowała się m.in. serwisowaniem samochodów należących do WSI. Gdy Mazur wyjeżdżał z Polski, nad jego interesami w kraju czuwał Józef Sasin.

Grupa policjantów i prokuratorów szukająca zabójców Marka Papały skupiła się na kręgu najbliższych znajomych byłego szefa policji. Sprawdzali jego związki z Romanem Kurnikiem — ostatnim szefem Departamentu Kadr Służby Bezpieczeństwa, w latach 90. zastępcą komendanta głównego, Marka Papały. Według nieoficjalnych informacji, zaprzyjaźniony z najważniejszymi politykami SLD i z funkcjonariuszami służb specjalnych PRL, Roman Kurnik stał za nominacją Papały na stanowisko komendanta

głównego policji. Był z Papałą bardzo zaprzyjaźniony. Namówił go na inwestycję w Chotomowie w gminie Jabłonna. Powstawało tam zamknięte osiedle domów jednorodzinnych, których właścicielami byli wysocy rangą policjanci, funkcjonariusze MSW i służb specjalnych PRL oraz prokuratorzy. Na tym samym osiedlu mieli wykupione działki bossowie gangu wołomińskiego, bracia Niewiadomscy: Henryk, ps. Dziad, oraz Wiesław, ps. Wariat. Według ustaleń policji byli oni inicjatorami całego przedsięwzięcia. Możliwość jego realizacji zaistniała dzięki decyzjom podjętym przez zaprzyjaźnionego z braćmi Niewiadomskimi ówczesnego burmistrza gminy Jabłonna, Jerzego Łubę.

Roman Kurnik był jedną z pierwszych osób, które przyjechały na miejsce zabójstwa Papały.

W trakcie śledztwa policjanci zdobyli informacje, które odsłoniły uwikłanie służb specjalnych PRL w związku z mafią.

Okazało się, że byli funkcjonariusze prowadzili interesy m.in. z Nikodemem Skotarczakiem, ps. Nikoś, trójmiejskim gangsterem (został zastrzelony w Gdyni dwa miesiące przed zabójstwem Marka Papały). Według ustaleń policji to właśnie „Nikoś” miał pomagać Edwardowi Mazurowi w znalezieniu płatnych zabójców, którzy wykonaliby wyrok na byłym szefie policji. W tym celu w kwietniu 1998 r. doszło do spotkania w gdańskim hotelu Marina Edwarda Mazura, Nikodema Skotarczaka i Andrzeja Z., ps. Słowik, jednego z szefów gangu pruszkowskiego, i Artura Zirajewskiego, ps. Iwan.

Kilka tygodni później „Słowik” podczas spotkania w Hotelu Gołębiowskich w Mikołajkach mówił swojemu wspólnikowi z pruszkowskiego gangu Zygmuntowi R., ps. Bolo, że Edward Mazur zlecił mu zabójstwo Papały.

Policjanci ustalili, że informacje na temat śmierci byłego szefa policji może mieć Mieczysław Zapiór, ps. Pancernik. Nie doszło jednak do jego przesłuchania — utonął podczas nurkowania w Egipcie, a jego ciała nie odnaleziono. (Zob. więcej nt. Mieczysława

Zapióra w rozdziale 1).

Przełomowym momentem okazały się zeznania Artura Zirajewskiego. „Iwan” potwierdził, że to Edward Mazur był zleceniodawcą zabójstwa generała.

27 lutego 2002 r. Edward Mazur został zatrzymany na wniosek warszawskiej prokuratury, która prowadziła śledztwo. Niemal natychmiast złożył zażalenie, w którym prosił o poinformowanie o tym zdarzeniu Hipolita Starszaka. Nieoczekiwanie przed upływem 48 godzin okresu aresztowania Edward Mazur został zwolniony. Bez przesłuchania i bez postawienia zarzutów. Trzy godziny po opuszczeniu prokuratury biznesmen pojawił się na przyjęciu w restauracji Belvedere w Łazienkach Królewskich w Warszawie. Organizatorami przyjęcia byli m.in. Roman Kurnik i ówczesny wiceszef UOP Zdzisław Skorża. Wśród gości znajdowała się czołówka polityków SLD, m.in. szef MSWiA Krzysztof Janik, wiceminister MSWiA Zbigniew Sobotka, wysocy funkcjonariusze policji i wymiaru sprawiedliwości. Kilkanaście godzin później Edward Mazur wyjechał z kraju.

W styczniu 2005 r. prokuratura wydała postanowienie o przedstawieniu zarzutów Mazurowi. Ujawnił to w jednej z audycji radiowych ówczesny zastępca prokuratora generalnego Kazimierz Olejnik. Informacja rozeszła się błyskawicznie. Poszukiwany wyjechał wówczas z Kanady do Stanów Zjednoczonych.

21 października 2006 r. FBI — pod zarzutem podżegania do zabójstwa komendanta polskiej policji Marka Papały — zatrzymało Edwarda Mazura w jego domu w Glenview, na zamożnym przedmieściu Chicago. 15 listopada 2006 r. chicagowski sąd orzekł, że Mazur nie może wyjść z więzienia za wpłaceniem kaucji. 20 lipca 2007 r. sędzia Arlander Keys odrzucił wniosek o ekstradycję Edwarda Mazura. Uznał zeznania złożone przed polską prokuraturą za niewiarygodne. Jednym ze świadków obrony na procesie ekstradycyjnym Mazura był pułkownik Ryszard Bieszyński, były funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, a po 1990 r. UOP i ABW. Bieszyński w 2012 r. został skazany za bezprawne

zatrzymanie prezesa PKN Orlen Andrzeja Modrzejewskiego w lutym 2002 r., tuż po objęciu rządów przez SLD.

W trakcie śledztwa okazało się, że zainteresowany śmiercią generała Papały był także Jeremiasz Barański, ps. Baranina — współdziałał w organizowaniu zamachu na byłego szefa policji i miał zapewnić jego stałą obserwację. To zadanie przypadło podwładnemu „Baraniny” Rafałowi Kanigowskiemu, który przez wiele miesięcy nie spuszczał Papały z oka. Jaka była rola Kanigowskiego w egzekucji generała? Nie wiadomo, ponieważ został zastrzelony we wrześniu 1998 r., trzy miesiące po zabójstwie byłego szefa policji. Co ciekawe, informacja o jego roli w zbrodni była znana policji zaraz po śmierci Papały, ale do prokuratury dotarła sześć lat później. Ujawnił to Rafał Pasztelański na portalu tvp.info:

„Niespełna trzy tygodnie po zabójstwie gen. Marka Papały do oficera dyżurnego mokotowskiej policji zadzwonił anonimowy mężczyzna. Informator powiedział, że w zabójstwo generała Papały zamieszani są Rafał Kanigowski, ps. Gruby vel Pułkownik, oraz Marcin P. Policjant sporządził notatkę i przekazał do Komendy Głównej Policji. Te niezmiernie ważne informacje jednak w tajemniczy sposób zaginęły na długie sześć lat. Dopiero w 2004 r. austriacki policjant, zdziwiony, zapytał prokuratorów, dlaczego nie wykorzystują wiedzy Marcina P., który był kierowcą Kanigowskiego. P. zeznawał w Wiedniu w sprawie działalności Jeremiasza Barańskiego, ps. Baranina vel Tato, wiedeńskiego bossa prowadzącego mroczne interesy w Europie i Ameryce. Kanigowski był jego warszawskim rezydentem. Prokuratorzy zaczęli szukać P. i tak natrafili na »zagubioną« notatkę” — napisał Rafał Pasztelański.

Nietrudno się domyślić, że „zagubienie” notatki przez policję spowodowało niepowetowane straty w śledztwie.

W 2009 r. prokuratura oskarżyła Andrzeja Z., ps. Słowik, o

nakłanianie Artura Zirajewskiego do zabójstwa Marka Papały za 40 tysięcy dolarów. Z kolei Ryszard Bogucki został oskarżony o nakłanianie za 30 tysięcy dolarów Zbigniewa G. do zabójstwa generała. W 2007 r. Bogucki został skazany prawomocnym wyrokiem sądu na 25 lat więzienia za zabójstwo szefa gangu pruszkowskiego Andrzeja Kolikowskiego, ps. Pershing.

Na początku stycznia 2010 r., miesiąc przed rozpoczęciem procesu obydwu gangsterów i miesiąc przed złożeniem zeznań przed sądem w więziennym szpitalu w Gdańsku, zmarł Artur Zirajewski. Z ustaleń policji wynikało, że w dzień przed Bożym Narodzeniem „Iwan” dostał gryps, po którym spalił notatki, napisał list do żony i 28 grudnia zatrął się lekami nasennymi. Według opinii biegłych z zakresu medycyny sądowej przyczyną śmierci był zator płucny. Lekarze stwierdzili także zapalenie płuc. Badania toksykologiczne wykazały, że Zirajewski, oprócz przepisanych mu leków, przyjął też leki przeznaczone dla siedzącego z nim w celi współwięźnia, które zawierały substancję zmniejszającą krzepliwość krwi. Zdaniem śledczych Zirajewski przedawkował leki nasenne i usypiające po to, by uciec z aresztu śledczego. Miało to nastąpić po przeniesieniu go do szpitala zewnętrznego.

W taką hipotezę nie uwierzyli policjanci i prokuratorzy zajmujący się sprawą zabójstwa Marka Papały. Ci, którzy byli u niego w więzieniu kilkanaście dni przed śmiercią, mówili, że był w doskonałym nastroju, snuł plany na przyszłość i chciał złożyć wniosek o przedterminowe zwolnienie.

15 lutego 2010 r. na procesie Andrzeja Z. i Ryszarda Boguckiego odczytano zeznania nieżyjącego świadka — Artura Zirajewskiego.

Wynika z nich, że marcu lub kwietniu 1998 r. spotkał się w hotelu Marina w Gdańsku m.in. z Nikodemem Tomaszem Nowosadem, Jackiem Haronem i Kazimierzem Hedbergiem (poszukiwanym w Niemczech i Szwecji za handel narkotykami). Podczas tego spotkania mówili oni o morderstwie wysokiego rangą oficera policji z Warszawy. Ofiara nie była podawana z imienia.

Zirajewski spotkał się później z Ukraińcem Siergiejem Senkiwem, byłym żołnierzem Specnazu w Afganistanie, członkiem gangu płatnych zabójców. Powiedział on „Iwanowi”, że Nowosad zaproponował mu morderstwo policjanta o randze generała, co później potwierdził sam Nowosad. Za zabójstwo generała Papały Senkiw miał dostać 40 tysięcy dolarów.

Kolejne spotkanie Zirajewskiego i Skotarczaka miało miejsce w kwietniu 1998 r. w apartamencie hotelowym „Nikosia” w jednym z gdańskich hoteli. Był tam również Ryszard Bogucki, który — jak to określili Skotarczak — „znał sprawę”. Potem Skotarczak i Zirajewski pojechali do hotelu Marina. Po drodze „Nikoś” powiedział „Iwanowi”, że na spotkaniu będzie obecny „Słowik” z Warszawy i biznesmen o nazwisku Mazur. Rozmowa w hotelu trwała około godziny. Przez większość czasu — według zeznań Zirajewskiego — miał mówić Mazur. Zapytał „Iwana”, „czy zabije dużego psa z Warszawy” i powiedział, że „tego psa trzeba pozbyć się jak najszybciej, bo się wycofał” i „trzeba to załatwić jak najszybciej, bo ma wyjechać za granicę”.

Rozmówcy mieli czekać na sygnał od „człowieka z MSW” i mówili, że chodzi o jakiś „układ interesów”. Zirajewski wynioskował, że „układ” dotyczy przemytu narkotyków, ponieważ podczas rozmowy Mazur, Skotarczak i „Słowik” rozmawiali właśnie o przemyśle narkotyków.

Kilka dni po tej rozmowie Zirajewski i Skotarczak pojechali do Warszawy. Na parkingu przed hotelem Marriott „Iwan” zobaczył trzech mężczyzn. Jednym z nich był Mazur. Zirajewski nie brał udziału w spotkaniu, ale przywitał się z mężczyznami, którzy przedstawili się jako Józef i Jacek. Skotarczak opisał ich później Zirajewskiemu jako partnerów Mazura, obydwaj o nazwisku „Susin albo jakimś podobnym”. Zirajewski usłyszał tylko część rozmowy, która miała związek z przemytem narkotyków przez wschodnią granicę.

29 kwietnia 1998 r. Artur Zirajewski został aresztowany. Prokuratura zarzuciła mu porwanie i zamordowanie gdańskiego

biznesmena Piotra S. Zirajewski był zleceniodawcą i organizatorem tej zbrodni, w której brał udział także Siergiej Sienkiw.

Pierwsze zeznania w sprawie śmierci generała Marka Papały Artur Zirajewski złożył 6 kwietnia 1999 r. Potwierdził wówczas identyfikację Edwarda Mazura i Andrzeja Z., ps. Słowik (śledczy pokazali mu zdjęcia). Po zatrzymaniu Józefa i Jacka Sasinów przez gdański oddział Centralnego Biura Śledczego Zirajewski rozpoznał ich podczas okazania bezbłędnie jako uczestników spotkania z „Nikosiem” i Mazurem na parkingu przed warszawskim hotelem Marriott. Z odczytanych zeznań wynika również, że Nikodem Skotarczak miał mówić Zirajewskiemu, że Mazur finansował działalność ekipy Leszka Millera z przemytu narkotyków.

Zirajewski w zeznaniach z 2007 r. — jak stwierdził: „z obawy o własne życie” — ujawnił szczegóły spotkania, do którego doszło w 1997 r. w Gdańsku u konsula Grecji. Miało ono dotyczyć przemytu narkotyków i jego uczestnikami mieli być Leszek Miller, Mazur, Skotarczak i gangster Ricardo Fanchini, czyli Marian Kozina (w 2009 r. został skazany na 10 lat więzienia i dodatkowo cztery lata dozoru kuratorskiego, przepadek 30 milionów dolarów oraz 40 nieruchomości. Wcześniej gangster był ścigany przez prokuratury 11 krajów. Według szacunków nowojorskich śledczych oraz agentów DEA Fanchini, razem z rosyjskimi wspólnikami, zarobili na narkobiznesie nawet 300 milionów dolarów).

„Iwan” prosił śledczych, by możliwie długo nie ujawniali tego zeznania. Później miał pretensje, że informacja o tym, co mówił, wyciekła do prasy. Oceniał, że może to negatywnie wpłynąć na jego bezpieczeństwo.

Zeznania Zirajewskiego nie są jedynymi, które pogrążają Edwarda Mazura.

Pod koniec 2009 r. — po 11 latach śledztwa prowadzonego przez warszawską prokuraturę i policjantów z Centralnego Biura Śledczego — sprawę przekazano do prowadzenia Prokuraturze Apelacyjnej w Łodzi. Do wyjaśnienia zbrodni został powołany

specjalny zespół prokuratorów, a komendant główny policji stworzył nową, 7-osobową grupę śledczą, w skład której weszli funkcjonariusze biura kryminalnego, CBS i biura wywiadu kryminalnego KGP, którego szefem został Marek Dyjasz, przed laty naczelnik wydziału zabójstw Komendy Stołecznej Policji. Inspektor Dyjasz nadzorował m.in. sprawę zabójstwa byłego ministra sportu Jacka Dębskiego (został zastrzelony na zlecenie Jeremiasza Barańskiego). Jednym z podwładnych Dyjasza był Sławomir O. (pierwowzór policjanta „Despero” z serialu telewizyjnego „Pitbull”), który — już po odejściu z policji — został aresztowany i skazany za współpracę z gangiem pruszkowskim. Byłego policjanta pogrążył świadek koronny Piotr K., ps. Broda, który jednocześnie wskazywał na powiązania Sławomira O. z zabójstwem Marka Papały. Według Piotra K. policjant woził dwóch Rosjan, którzy mieli jeździć za Papałą — byli między innymi w Chotomowie, gdzie generał miał działkę. Mieli też śledzić byłego komendanta głównego w Warszawie. Wersja udziału Rosjan w zabójstwie generała nie została potwierdzona.

Nowy zespół śledczy ustalił w 2012 r., że generał Papała zginął przypadkowo, ponieważ złodzieje chcieli ukraść jego samochód. Taką właśnie wersję miał podać policji Robert P., świadek pozyskany z gangu, w którym działał „Patyk”. Okazuje się jednak, że jest to tylko jedna z wersji badanych przez grupę śledczą, powołaną trzy lata temu do wyjaśnienia zabójstwa generała. Bo o tym, że generał nie zginął przypadkowo, świadczą zarówno samo zabójstwo (strzał w głowę z bliskiej odległości), jak i sposób działania grupy, w której byli Igor M. (zmienił nazwisko — wcześniej nazywał się Igor Ł.) oraz Mariusz M. Razem z nimi w związku ze sprawą zabójstwa Marka Papały zostali aresztowani Tomasz W. oraz bracia Robert i Dariusz J., przywódcy samochodowego gangu.

W latach 90. mafia pruszkowska była niepodzielnym hegemonem świata przestępczego. Przez jej struktury opanowane zostały

wszystkie najważniejsze odcinki nielegalnego „biznesu” — od drobnych haraczy, poprzez kradzieże samochodów, aż po międzynarodowy przemyt narkotyków.

Igor M., ps. Patyk, działał w gangu braci J. — „zawodowych” złodziei samochodów — który funkcjonował pod ochroną „Pruszkowa”. W praktyce oznaczało to regularne płacenie haraczu, jak również kradzieże aut na zlecenie mafii pruszkowskiej. Były to najczęściej luksusowe samochody, które następnie przemycano za wschodnią granicę. Jak się później okazało, grupa ukradła blisko 500 luksusowych aut o łącznej wartości ok. 50 mln zł.

W czerwcu 2000 r. ówczesny minister sprawiedliwości i zarazem prokurator generalny Lech Kaczyński podpisał zgodę na operację specjalną Centralnego Biura Śledczego KGP, której celem było zatrzymanie i aresztowanie przywódców „Pruszkowa”. Miesiąc później czołowi gangsterzy byli już w areszcie; przez następne tygodnie wpadali kolejni, a wśród nich znalazł się „Patyk”.

„Patyk” został zatrzymany w związku ze śledztwem katowickiej prokuratury w sprawie związków przestępczych policji i urzędników samorządowych z gangiem pruszkowskim. To na podstawie zeznań „Patyka” do aresztu trafili stołeczni policjanci i pracownicy miejskich wydziałów komunikacji, którzy później zostali skazani.

Igor M. uzyskał status świadka koronnego, a jego zeznania okazały się niezwykle cenne nie tylko w procesie dotyczącym korupcji, ale także w procesie przywódców „Pruszkowa”. W trakcie współpracy „Patyka” ze śledczymi okazało się, że był on wieczorem 25 czerwca 1998 r. w momencie zabójstwa Marka Papały na miejscu zbrodni — na samochodzie Marka Papały znaleziono fragment odcisku palca Igora M., a jego telefon komórkowy logował się do stacji w pobliżu miejsca zabójstwa.

Mężczyzna twierdził, że próbował ukraść inny samochód, ale nie zdążył, bo spłoszyli go zamachowcy. Zeznał, że widział trzech mężczyzn — Ryszarda Boguckiego, Ryszarda Niemczyka (obydwaj skazani za zabójstwo gangstera Andrzeja K., ps. Pershing) oraz

nieżyjącego już byłego zapaśnika Krzysztofa W. To właśnie m.in. na podstawie zeznań Igora M. oskarżeni o zabójstwo generała zostali Bogucki i Andrzej Z., jeden z szefów Pruszkowa, a ich proces właśnie się toczy. Co ciekawe, analizy kryminalistyczne potwierdziły, że sposób oddania strzału wskazuje na to, że sprawca działał z premedytacją i przewidywał, że odda strzał z bliska. Wersja przypadkowego zabójstwa była sprawdzana zaraz po morderstwie generała, ale w trakcie śledztwa została odrzucona. Mimo postawienia zarzutów Igorowi M., na Edwardzie Mazurze nadal ciąży zarzut nakłaniania do zabójstwa byłego szefa polskiej policji.

Z biogramu generała Marka Papały zamieszczonego na oficjalnej stronie Komendy Głównej Policji:

„Zginął w zamachu w dniu 25 czerwca 1998”.

4

Ireneusz Sekuła

**– Proszę mnie nie
rehabilitować**

Należał do najpotężniejszych ludzi lewicy okresu końca lat 80. i połowy lat 90. Prezes Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, wicepremier rządu w PRL, prezes Głównego Urzędu Cei.

Ireneusz Sekuła w swojej karierze był wspierany przez komunistyczne władze i wojskowe służby specjalne PRL. Jego dobra passa skończyła wraz z uchyleniem immunitetu poselskiego w 1996 r. Cztery lata później nie żył. Zdaniem prokuratury popełnił samobójstwo. W jaki sposób? Strzelając do siebie trzy razy.

Wersja samobójstwa od samego początku budziła wiele kontrowersji. Po przywiezieniu do szpitala z ranami postrzałowymi były wicepremier uparcie powtarzał, że sam chciał się zabić. Robione standardowo w szpitalu w takich przypadkach zdjęcia ran nie istnieją. Okazało się, że wcześniej ktoś wyjął klisze z aparatu fotograficznego. Nie ma listów pożegnalnych, które zostały sporządzone na komputerze, a podpisane przez Ireneusza Sekułę. Policja nigdy ich nie zatrzymała, sporządziła jedynie kserokopie.

Sekuła nigdy też nie zgodził się na przesłuchanie przez prokuratora, a cała rodzina zrzekła się po nim spadku. Decyzja uchroniło bliskich byłego szefa GUC przed ogromnymi kłopotami związanymi z windykacją długów. Okazało się bowiem, że Ireneusz Sekuła miał potężne zobowiązania finansowe.

W archiwach IPN zachowały się dokumenty, z których wynika, że Sekuła, absolwent psychologii Uniwersytetu Warszawskiego, członek PZPR, został zarejestrowany przez Agenturalny Wywiad Wojskowy (AWO) — tajną komórkę wywiadowczą, która wchodziła w skład Zarządu II Sztabu Generalnego (wywiad wojskowy PRL) jako wywiadowca o pseudonimie Artur. W maju 1969 r. podpisał deklarację współpracy ze Specjalnymi Jednostkami Rozpoznawczymi LWP. Jego rokowania były na tyle perspektywiczne dla szefów wojskowych służb specjalnych, że zdecydowali oni o dalszym, specjalistycznym przygotowaniu Sekuły.

W 1970 r. odbył przeszkolenie AWO w tajnym Ośrodku Szkolenia Zarządu II w Warszawie. Trzy lata później ukończył wywiadowcze szkolenie AWO, na którym był przygotowywany do pełnienia funkcji rezydenta. Kolejnym szkoleniem było uczestnictwo w ćwiczeniach, podczas których szlifował swoje umiejętności jako radiotelegrafista.

Ireneusz Sekuła deklarację werbunkową podpisał w warszawskiej kawiarni Arkady, bez żadnych zastrzeżeń, w obecności podpułkownika Janusza Urbanika i pułkownika Tadeusza Przybysza.

„Ob. Ireneusz Sekuła zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie. Jest inteligentny, zrównoważony i opanowany. Z jego wypowiedzi wynikało, że jest gotów do dużych poświęceń w imię patriotyzmu. W pełni popiera politykę Partii i Rządu PRL” — napisał 23 maja 1969 r. pułkownik Przybysz w opinii służbowej.

Sekuła byli także zachwyceni szkoleniowcy z Zarządu II sztabu Generalnego. „Opiniowany był jednym z bardziej zdolnych i inteligentnych kursantów. Wyróżniał się systematycznością w pracy i służbie. Przejawia zamiłowanie do służby wojskowej. [...] Jest podoficerem wytrzymałym fizycznie i odpornym psychicznie. W czasie ćwiczeń w terenie przejawiał wiele inicjatywy, pomysłowości i samodzielność w rozwiązywaniu zadań wywiadowczych.

[...] Za wzorową służbę, zdyscyplinowanie i uzyskanie bardzo dobrych wyników na kursie Szef Zarządu II Sztabu Generalnego wyróżnił kpr. Sekułę Ireneusz pochwałą w rozkazie” — pisał w kwietniu 1970 r. major Janusz Szatan, kierownik kursu AWO.

Ireneusz Sekuła jako wywiadowca wykonywał zadania wywiadu wojskowego m.in. na terenie Włoch i Finlandii do 1982 r. W materiałach przekazanych do IPN znajdują się notatki sporządzone przez „Artura” z zadań wywiadowczych za granicą oraz pokwitowania odbioru pieniędzy od wywiadu wojskowego.

W 1982 r. „Artur” został przekwalifikowany na TK — telefon konspiracyjny. W nazewnictwie wywiadu wojskowego była to osoba, dzięki której nawiązywano błyskawiczny kontakt z

przebywającymi za granicą żołnierzami Zarządu II Sztabu Generalnego, jego współpracownikami oraz rezydentami. „Ostatnie spotkanie z TK ps. »Artur« odbyło się w 1982 r. Od tego momentu nie podejmowani dalszych kontaktów. Obecnie pełni funkcję wicepremiera. W tej sytuacji nie planuje się aktualnie wykorzystania »Artura« do realizacji zadań wywiadowczych. Po uzgodnieniu z szefem PO [Pionu Operacyjnego — red.] płk Henrykiem Dunalem w dniu 1989.06.20 zdecydowano nie rezygnować definitywnie z jego wykorzystania. »Artur« może być wykorzystany w dalszej perspektywie do realizacji ewentualnych zadań zabezpieczających potrzeby funkcjonowania Zarządu II” — napisał kapitan Zbigniew Rosiak w czerwcu 1989 r. Rok później II Zarząd wszedł w skład Wojskowych Służb Informacyjnych. Wszystkie dokumenty wojskowych służb specjalnych wytworzone po 1989 r. są do dziś niedostępne.

AWO bardzo był zainteresowany generał Czesław Kiszczak, od 1972 r. kolejno szef Zarządu II Sztabu Generalnego, szef Wojskowej Służby Wewnętrznej i minister spraw wewnętrznych, którym był do 1989 r.

„Szczególne zainteresowanie GRU [sowiecki wywiad wojskowy — red.] rozwojem polskiego AWO (Oddział XIII) spowodowało, że gen. Czesław Kiszczak wiele uwagi poświęcał tej jednostce. Stan organizacyjny i owoce kilku lat działalności AWO pozostawiały wiele do życzenia. Aby usprawnić działalność Oddziału XIII, konsultowano z »bratnimi służbami« i poddano analizie porównawczej usytuowanie AWO w strukturach GRU, innych zaprzyjaźnionych zarządów oraz w ramach Zarządu II” — tak o nadzorze gen. Kiszczaka nad AWO pisał Sławomir Cenckiewicz w książce „Długie ramię Moskwy”.

To właśnie w latach 70. Czesław Kiszczak poznał Ireneusza Sekułę. Ich zażyła znajomość trwała przez wiele lat. Tuż przed Sylwestrem 1989 r. Kiszczak przekazał Sekule w prezencie pistolet typu „Czeska Zbrojeniówka” — rok wcześniej ówczesny

wicepremier rządu PRL uzyskał pozwolenie na broń.

Ireneusz Sekuła uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu jako przedstawiciel strony rządowej w zespole do spraw gospodarki i polityki społecznej.

Był posłem, szefem Głównego Urzędu Cei i jednocześnie prywatnym przedsiębiorcą — szefem spółki Polnippon. Brał udział w likwidacji PZPR (zajmował się m.in. majątkiem partii) oraz był wśród osób, które powołały do życia lewicową partię SdPR, która ostatecznie przyjęła nazwę SLD.

Na przełomie roku 1989 i 1990 Ireneusz Sekuła wyjechał do USA. Na Florydzie miał kupić 400 działek budowlanych dla — jak mówił pośrednikowi — „najważniejszych ludzi lewicy”. Transakcja jednak nie doszła do skutku. Jedyną korzyścią było nawiązanie prywatnych kontaktów handlowych w Stanach Zjednoczonych.

Po powrocie z USA Ireneusz Sekuła spłacał dług, który zaciągnął u Mieczysława Wilczka, ministra przemysłu w rządzie Mieczysława Rakowskiego. Pieniądze — 1 miliard starych złotych — wpłacił do Banku Leonard, który należał do Leonarda Praśniewskiego. Potem Praśniewski przekształcił go w Bank Powierniczo-Gwarancyjny, którego współwłaścicielem został dobry znajomy Sekuły, Siergiej Gawriłow, rosyjski biznesmen, który w rzeczywistości był agentem rosyjskiego wywiadu wojskowego (GRU). Gawriłow w połowie lat 90. został wydany z Polski jako persona non grata.

Ireneusz Sekuła przyjaźnił się z Aleksandrem Gawronikiem, byłym funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa. Sekuła wydając zgodę na oficjalny handel obcą walutą przeprowadził „rewolucję kantorową”. Do UOP zaczęły napływać sygnały, że Gawronik otwierając sieć kantorów na granicy zachodniej w ciągu jednej nocy, wiedział od kogoś z rządu o korzystnym kursie dolara. Gawronik zbił na „kantorowym” interesie fortunę. UOP badał jego powiązania z Sekułą, ale sprawa nigdy nie trafiła do prokuratury.

Sekuła miał niezachwianą pozycję aż do 1995 r. Wtedy to prokurator generalny Włodzimierz Cimoszewicz wystąpił z

wnioskiem o uchylenie mu immunitetu. Sekuła w tym czasie był posłem SLD. Ostatecznie immunitet został mu odebrany rok później. Dla Sekuły od tego momentu zaczęła się „równia pochyła”.

W lutym 1998 r. wrocławska prokuratura oskarżyła go m.in. o działanie na szkodę Głównego Urzędu Cei. Chodziło o transakcje, które Sekuła przeprowadził jako prezes GUC: zakup na siedzibę Urzędu, a następnie sprzedaż, budynku starej fabryki im. Róży Luksemburg w Warszawie. Okazało się, że ściany budynku były skażone rtęcią, w związku z czym nie można było fabryki przystosować na potrzeby GUC. Sekuła odsprzedał budynek spółce Universal, której szefowie (m.in. Dariusz Przywieczerski, uczestnik afery FOZZ) byli zaprzyjaźnieni z politykami lewicy. Według śledczych na tej transakcji GUC stracił blisko milion złotych.

Kolejne zarzuty dotyczyły działania na szkodę spółki Polnippon, którą Sekuła założył w 1990 r., a w której udziały mieli czołowi działacze PZPR i lewicy. Według prokuratury Sekuła bezprawnie gwarantował w imieniu spółki kredyty od firmy Hesco na 1 miliard (starych) złotych, tym samym narażając Polnippon na straty.

Jakby tego było mało, to w wyborach parlamentarnych w 1997 r. Sojusz Lewicy Demokratycznej nie wystawił Ireneusza Sekuły na swoich listach.

Sekuła przechodzi wylew, w skutek którego cierpi na zaburzenia mowy i układu motorycznego. Ciężko się z nim porozumieć, on sam z trudem się porusza. Jego najbliższym współpracownikiem jest Mirosław W., były funkcjonariusz Biura Ochrony Rządu, który piastował stanowisko szefa ochrony Sekuły, gdy ten był wicepremierem.

22 marca 2000 r. Ireneusz Sekuła pojechał wieczorem do siedziby swojej firmy na ul. Bracką. Żona zadzwoniła do niego około 23.00. Sekuła zapowiedział, że pozostanie w pracy około dwóch kolejnych godzin. Małżonkowie jeszcze kilka razy rozmawiali przez telefon. 23 marca około 3.30 Sekuła zadzwonił do żony i miał powiedzieć: „Nie układa mi się, nie widzę sensu dalszego życia w ten sposób, proszę o wybaczenie”. Żona zaczęła

go prosić, by przyjechał do domu, ale Sekuła odłożył słuchawkę. Żona postanowiła pojechać na Bracką razem ze swoją córką, do której — jak się okazało — Sekuła także zadzwonił z pożegnaniem. Obydwie dotarły do siedziby firmy byłego wicepremiera i zadzwoniły domofonem. Gdy usłyszały sygnał otwierający drzwi, weszły na klatkę schodową. Czekając na otwarcie drugich drzwi wiodących do windy usłyszały, jak zjeżdża ona na dół. Chwilę później zobaczyły Ireneusza Sekułę, który wpuścił żonę i córkę do środka.

Dostrzegły wówczas, że jest cały zakrwawiony. Córka natychmiast zadzwoniła po pogotowie, żona natomiast doprowadziła go do windy, którą wjechali razem na trzecie pięto, gdzie mieściła się siedziba firmy Sekuły. Weszli do gabinetu. Na biurku leżał pistolet. „Dobij mnie” — powiedział Sekuła i sięgnął po broń. Żona odrzuciła pistolet na podłogę i posadziła męża na fotelu. Po kilkunastu minutach na miejsce przyjechała policja i pogotowie, które natychmiast zabrało ранego do szpitala wojskowego przy ul. Szaserów w Warszawie. Przyjmujący go lekarz wykonał aparatem fotograficznym zdjęcia ran, co było przyjętą praktyką w przypadku ran postrzałowych. Gdy chciano oddać zdjęcia do wywołania, okazało się, że w aparacie nie ma kliszy. Lekarz zeznał, że najprawdopodobniej ktoś ją usunął jeszcze przed zrobieniem zdjęć, a on sam wcześniej nie sprawdził stanu aparatu fotograficznego.

Po przewiezieniu do szpitala Sekuła był przytomny. Lekarz zaczął z nim rozmawiać. Chciał się dowiedzieć, co się stało, jaka została użyta broń, z jakiej odległości padły strzały. Sekuła powiedział, że sam do siebie strzelał z broni krótkiej. Powtórzył to kilka razy, co zdziwiło lekarza, który odniósł wrażenie, że pacjent chce go za wszelką cenę przekonać, że była to próba samobójcza.

Lekarz stwierdził, że Sekuła miał trzy rany postrzałowe. Dwa pociski utknęły w ciele w okolicach serca, trzeci przeszedł na wylot przez staw barkowy. Rany wskazywały na to, że strzały oddano z tzw. przystawienia lub z bardzo małej odległości.

Sporządzający opinię biegły — dr hab. med. Paweł Krajewski,

jeden z najlepszych w kraju specjalistów z zakresu medycyny sądowej — stwierdził, że wszystkie trzy strzały mogły być zarówno strzałami samobójczymi, jak i oddanymi przez inną osobę.

Długi weekend na przełomie kwietnia i maja 2000 r. sprawił, że niewiele osób zwróciło uwagę na krótkie notatki, które ukazały się w gazetach 2 maja. Informowały o tym, że w sobotę 29 kwietnia w warszawskim szpitalu zmarł były szef GUC i były wicepremier w rządzie Mieczysława Rakowskiego.

Śmierć Ireneusza Sekuły nie zakończyła jednak postępowania, które po kilku umorzeniach i wznowieniach trwało do 2007 r. Wówczas zapadła ostateczna decyzja o zamknięciu sprawy.

Lektura akt śledztwa, a w szczególności zeznania świadków, budzą jednak wątpliwości: czy rzeczywiście była to śmierć samobójcza?

W siedzibie firmy Polnippon, gdzie doszło do tragedii, znaleziono napisany na komputerze list. Dokument był podpisany odręcznie przez Ireneusza Sekułę.

„Od kilku lat jestem przedmiotem bezprzykładnej nagonki. Mimo wysiłków prokuratury, niektórych polityków oraz większości mass mediów — prawda okazuje się banalna: w Polnipponie niczego nie zawłaszczyłem, przeciwnie, miałem należne mi pieniądze, co jednoznacznie stwierdził syndyk oraz sąd gospodarczy, wypłacając mi z masy upadłościowej 9000 zł. Nie jestem w stanie tak długo czekać. Stan mojego zdrowia gwałtownie się pogarsza, a od wszystkich lekarzy słyszę: warunkiem leczenia musi być ustąpienie stresu. Nie zamierzam być ciężarem dla mojej rodziny. Dlatego podjąłem i zrealizowałem jedyną możliwą decyzję. I proszę nie rehabilitować mnie pośmiertnie” — czytamy w liście.

O ile biegli potwierdzili, że list podpisał Ireneusz Sekuła, to nie sposób było ustalić, czy spisana na komputerze treść była sporządzona przez niego samego, czy też ktoś dał mu gotowy list do podpisania.

Okazało się również, że w ten sposób napisanych listów było znacznie więcej, m.in. kierowane do córki i do Mieczysława W., któremu był winien około 100 tysięcy dolarów.

„Mirku, wybacz. Brakło mi kilku dni lub może godzin” — brzmiał list podpisany przez Sekułę.

Części oryginałów listów znalezionych w biurze byłego wicepremiera nie ma. Policja ich nie włączyła w materiał dowodowy, lecz oddała żonie Sekuły.

Mirosław W. był wezwany przez policję do biura swojego szefa. Zwrócił uwagę na trzy puste butelki po piwie. Zdziwiły go, bo Ireneusz Sekuła pił wyłącznie Żywca, a pozostawione butelki były innej marki.

Przesłuchiwani przez policję sąsiedzi zeznali, że w nocy słyszeli suche trzaski przypominające strzały i dobiegające z klatki schodowej hałasy; męskie głosy na korytarzu i zjeżdżającą windę. Śledczy zinterpretowali to jako rozmowę żony i córki oraz przyjazd pogotowia.

Prowadzone śledztwo pokazało też skalę uwikłania Ireneusza Sekuły w ciemne interesy i mafijne kontakty.

Jednym z jego wierzycieli był Bogusław Bagsik, któremu w 1992 r. Sekuła sprzedał mieszkanie przy Alei Róż, luksusowej ulicy znajdujące się tuż przy Łazienkach Królewskich. W 1995 r. Bagsik odsprzedał mieszkanie Wiesławowi P., z którym Sekuła także prowadził interesy. W mieszkaniu mieściła się kancelaria mecenasa Mirosława Brycha, u którego SdRP zdeponował w 1990 r. łącznie 7,5 milionów dolarów pobranych z kont byłej PZPR.

Funkcjonariusze Urzędu Ochrony Państwa sprawdzali, czy Ireneusz Sekuła przekazał szefom Art-B informacje dotyczące planowanych zmian prawa bankowego. UOP nie zdołał na to znaleźć żadnych dowodów.

Po ucieczce właścicieli Art-B — Andrzeja Gąsiorowskiego i Bogusława Bagsika — odwiedza ich w Izraelu Ireneusz Sekuła, który miał pożyczyć od Bagsika dwa miliony dolarów.

Przesłuchiwany przez prokuraturę Bogusław Bagsik zeznał, że nie pamięta, jaka była kwota pożyczki, ale z pewnością nie było to dwa miliony dolarów i że pożyczka została spłacona w całości. Bagsik zeznał również, że pożyczka nie została zabezpieczona żadnym wekslem, umową czy też poręczeniem. „Dałem mu pożyczkę, w pełni ufając, że dotrzyma słowa” — zeznał były szef Art-B.

Potwierdził, że podczas swojego pobytu w Izraelu spotkał się z szefem gangu pruszkowskiego Andrzejem Kolikowskim, ps. Pershing (zastrzelony w Zakopanem w grudniu 1999 r., trzy miesiące przed Sekułą). „Pershing” był w Izraelu u szefa Art-B blisko dwa miesiące. Jeździł samochodem Bagsika i posługiwał się jego telefonem komórkowym. Nawiązał kontakt z przedsiębiorcami, którzy mieli mu pomóc w uruchomieniu w Polsce szlifierni diamentów.

„Wtedy zobaczyłem go po raz pierwszy, zapoznaliśmy się. Nie prowadziłem z nim żadnych interesów, utrzymywałem kontakt towarzyski, bardzo sporadyczny, okazjonalny. Nigdy nie przekazałem mu listy jakichkolwiek swoich wierzycieli” — mówił śledczym Bogusław Bagsik. Tymczasem jeden ze świadków zeznał, że takie weksle widział w sejfie Wiesława P., przedsiębiorcy z Kurowa związanego z Bagsikiem i Sekułą.

Tym świadkiem był Rober S., szef tzw. gangu karateków, który napadł na dom Wiesława P. i z sejfu zabrał m.in. weksle, które później spalił.

Prowadzący śledztwo w sprawie gangu pruszkowskiego policjanci z Centralnego Biura Śledczego natrafili na informacje o „liście dłużników” sporządzonej przez szefów Art-B. Windykatorem miał być Wiesław P., któremu pomagali członkowie gangu pruszkowskiego. O wzajemnych relacjach świadczy fakt akcji odwetowej przeprowadzonej przez „Pruszków” na gangu karateków, który napadł na dom Wiesława P.

„Podczas naszego pobytu w Izraelu Gąsiorowski tworzył różne dziwne listy, które w żaden sposób nie miały potwierdzenia w

rzeczywistości” — powiedział podczas przesłuchania Bogusław Bagsik.

O długi Sekuły wobec Bagsika mówił także Jarosław Sokołowski, ps. Masa — świadek koronny, który pogrążył „Pruszków”.

„Wiem od »Pershinga«, że Ireneusz Sekuła był zadłużony na znaczną kwotę pieniędzy u Bagsika. Bagsik po wyjściu »Pershinga« z więzienia w 1998 r. poprosił go o pomoc w odzyskaniu długu Sekuły. »Pershing« mówił mi, że chodziło o kwotę około miliona dolarów. W zamian za pomoc w odzyskaniu długu »Pershing« miał dostać połowę tej kwoty. »Pershing« mówił mi, że ma w planie spotkanie z Sekułą i nakłonienie go do zwrotu tych pieniędzy. Nie były to jakieś plany wojownicze, ponieważ »Pershing« z Sekułą prowadzili wspólne interesy, nie wiem jakie, było to wcześniej. Wiem tylko, że w tych interesach brał udział obecny wspólnik Bagsika, nie wiem, jak się nazywa, razem prowadzą fabrykę skór w Kurowie. W środowisku nazywany był »czerwona marynarka«. Po śmierci »Pershinga« »Bedzio« [Robert Bednarczyk, jeden z członków gangu pruszkowskiego — red.] mówił, że ustalił, iż »Pershing« dogadał się z Sekułą i uzgodnili jakiś odległy termin zwrotu pieniędzy Bagsikowi. Przy spotkaniu »Pershinga« i Sekuły był obecny »Słowik«. »Bedzio« powiedział mi także, że ma znajomych, którzy byli również znajomymi Sekuły. Od nich dowiedział się, że po śmierci »Pershinga« Raźniak i »Słowik« wyznaczyli Sekule bardzo krótki termin zwrotu długu i w ostatnim tygodniu życia Sekuła próbował od różnych osób gwałtownie pożyczać pieniądze. Ja, znając metody działania Raźniaka i »Słowika«, mogę przypuszczać, że wywierali duży nacisk na Sekułę, aczkolwiek nie jestem tego pewien” — czytamy w protokole zeznań „Masy”

W aktach śledztwa pojawia się także sprawa grypsu wysłanego z aresztu przez płatnego zabójcę Ryszarda Boguckiego (skazany za zabójstwo „Pershinga”) do Piotra Wierzbieckiego.

„Piotr! Papała to kompletne wariactwo! Nikt z »P« nie miał z

tym nic do czynienia — co innego z Sekułą, jak widzisz jestem szczery — ale abys dobrze zrozumiał, na pewno ja się o tym dowiedziałem po fakcie — byłem zresztą we Włoszech w tym czasie” — pisał Bogucki.

„Zrozumiałem go jednoznacznie, że grupa pruszkowska zabiła Sekułę, natomiast nie miała nic wspólnego z morderstwem gen. Papały” — zeznał w prokuraturze Piotr Wierzbicki, który uzyskał status świadka koronnego. W trakcie przesłuchań opowiedział treść rozmów, które prowadził z Boguckim przez dziurę wywierconą w ścianie celi katowickiego aresztu.

„Bogucki powiedział mi, że relację ogólnikową z tego zdarzenia uzyskał telefonicznie od Mirosława Danielaka, ps. Malizna, właśnie wówczas, gdy przebywał we Włoszech. Danielak miał mu przekazać, że w biurze Sekuły przy ul. Brackiej w Warszawie doszło do szarpaniny z Sekułą. Do tego biura Danielak pojechał ze swoim synem Arturem, aby odebrać od Sekuły pieniądze. Sekuła był winien Kolikowskiemu około 2 mln dol. Zobowiązania te wynikały z czasów, kiedy to »Pershing« z Sekułą jako szefem GUC robili różne interesy. Sekuła miał wyjąć z szuflady biurka pistolet, bo doszło do awantury i kłótni. Wówczas do Sekuły zbliżył się Artur i jakoś go przytrzymał. W tym czasie Mirosław Danielak z ręki Sekuły wyrwał pistolet i trzykrotnie postrzelił go w brzuch i klatkę piersiową. Bogucki powiedział mi, że po tych strzałach odstawili Sekułę i wytarli pistolet. Bogucki mówił mi, że do Sekuły »Malizna« strzelał z rewolweru bębnekowego marki Astra [rzeczywiście z takiej broni oddano strzały, co wykazała ekspertyza kryminalistyczna — red.], który był własnością Sekuły. Niejednokrotnie z Boguckim rozmawiałem o typach i modelach broni, co wynikało z naszych wspólnych zainteresowań. Poza tym musiałem się na tym znać, bo przecież handlowałem bronią. Bogucki mówił mi także, co również usłyszał od »Słowika«, że »Malizna« bardzo przestraszył się, że Sekuła żyje i jest leczony w szpitalu wojskowym na Szaserów. Bogucki twierdził, że albo »Malizna«, albo jego syn Artur dzwonili do jakiegoś profesora w

tym szpitalu, pytając o stan, w jakim znajduje się Sekuła. Zakładali bowiem, że być może trzeba będzie dobić Sekułę. Dowiedzieli się, że nie ma on szans na przeżycie. Skoro Bogucki był cynglem »Malizny«, to ten mógł liczyć na to, że Bogucki dobije Sekułę w szpitalu. To też wiem od Boguckiego. Bogucki opowiadał mi, że znał Sekułę, albowiem spotykał go u swego zaprzyjaźnionego biznesmena Krzysztofa Niezgody. Z kolei Niezgoda to przyjaciel Aleksandra Gawronika, którego za kaucją wyciągnął z więzienia. Gawronik to dobry znajomy Sekuły, z którym robił różne interesy. Bogucki przekazał mi w więzieniu list do Krzysztofa Niezgody, który przekazałem Prokuraturze Okręgowej w Katowicach, jak zacząłem współpracować” — mówił śledczym Wierzbicki.

Przesłuchiwany przez prokuraturę Bogucki w sprawie śmierci Sekuły nie powiedział nic. Z zeznań płatnego zabójcy, które złożył przed sądem w Katowicach w 2005 r. wynika, że znał dobrze Bogusława Bagsika. Opisywał jedno ze spotkań, w którym miał uczestniczyć on, Bagsik oraz Marek Siwiec, były szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego w kancelarii prezydenta Kwaśniewskiego. Spotkanie miało odbyć się w stadninie koni „Ochyby”.

Przesłuchiwany Artur Danielak. ps. Młody Malizna, zeznał, że Sekuły nie znał, a ojciec jest niewinny („Malizna” usłyszał wyrok za udział w zorganizowanej grupie przestępczej i podżeganie do zabójstwa „Perszinga”).

„Zaprzeczył, by brał udział w zabójstwie Ireneusza Sekuły, o czym, jak stwierdził, przeczytał w jednej z gazet, w której zamieszczono informację, że w popełnieniu tego czynu brał udział wspólnie ze swoim ojcem Mirosławem. Tak jak poprzedni świadkowie zaprzeczył, aby cokolwiek wiedział na temat interesów i zobowiązań istniejących pomiędzy Sekułą a innymi osobami. Jednocześnie świadek nie potrafił ustosunkować się do tego, co robił podczas krytycznego zdarzenia, tj. w nocy z 22 na 23 marca 2000 roku” — czytamy w uzasadnieniu umorzenia śledztwa w sprawie śmierci Ireneusza Sekuły Wiesław P., podobnie jak inni

świadkowie, także zaprzeczył, aby kiedykolwiek ścigał długi od byłego wicepremiera.

Prokuratorzy prowadzący śledztwo w sprawie śmierci Ireneusza Sekuły zgromadzili protokoły przesłuchań z innych spraw, w których pojawia się wątek śmierci byłego wicepremiera.

Marian W. — przesłuchany w USA w ramach pomocy prawnej w śledztwie w sprawie zabójstwa Marka Papały — zeznał, że był świadkiem rozmowy pomiędzy członkiem gangu pruszkowskiego Zygmuntem R., ps. Bolo, a Ireneuszem Sekułą. „Bolo” w ordynarny sposób zwrócił się do Sekuły, by ten natychmiast oddał mu 160 tysięcy dolarów.

Prokuratorzy ze sprawy Sekuły otrzymali zapisy podsłuchów, na których utrwalono rozmowę pomiędzy Andrzejem L. a gangsterem Wojciechem Papiną, mieszkającym w Austrii bliskim współpracownikiem Jeremiasza Barańskiego, ps. Baranina. (Wojciech Papina zmarł wkrótce po opuszczeniu austriackiego więzienia, natomiast „Baraninę” znaleziono powieszzonego w celi wiedeńskiego aresztu, gdzie trafił pod zarzutem zlecenia zabójstwa byłego ministra sportu Jacka Dębskiego).

Papina zapytał: „Co stało się z Sekułą”, na co L. odpowiedział: „Nie wiem”.

Papina kontynuował: „Jakaś strzelanina, trzy kule dostał”, na co L. zapytał: „Sekuła?”. Gdy otrzymał potwierdzenie, że tak, stwierdził: „On przyjmował gości bez rachunku. Rzekomo miał wysokie długi, on tkwił w tym błocie po uszy. On nie załatwił dla »niego« zleconych spraw”.

W jednym z zeznań pojawia się informacja, że Sekuła chciał pożyczyć pieniądze także od Barańskiego, ale nic z tego nie wyszło.

Z kolei Mariusz P. powiedział prokuratorom, że Janusz G., ps. Graf (usłyszał zarzuty w związku z zabójstwem maklera giełdowego Piotra G., którego — zdaniem śledczych — polecił zabić ukrywający się w RPA biznesmen Janusz Lazarowicz, szef jednego z

NFI) opowiadał mu, że był dzień przed śmiercią Sekuły u niego w biurze.

Czy w tym przypadku także chodziło o długi? Nie wiadomo.

W trakcie przeszukania biura policjanci znaleźli dokument podpisany przez Lecha Wałęsę w latach 80., w którym zaprzecza, by brał od kogokolwiek pieniądze. Po co Sekule był potrzebny dokument sprzed blisko 20 lat? Także i na to pytanie nie znaleziono odpowiedzi.

W śledztwie pojawił się wątek „załatwiania” przez Sekułę — prezesa GUC — zwolnienia z cła 201 samochodów sprowadzanych do Polski z USA jako mienie przesiedleńcze, ale — jak zeznał jeden ze świadków występujących w tej sprawie — Sekuła, mimo obietnic, „nic nie załatwił”.

Śledczy ustalili, że Sekuła prowadził interesy z Józefem Jędruchem, prezesem firmy Colloseum (skazanym później za działanie na szkodę firmy). Chciał kupić pismo „VIP” oraz chciał mieć udziały w inwestycji związanej z przesyłem energii z Kaliningradu za pośrednictwem Polskich Sieci Elektroenergetycznych. W przedsięwzięcie byli zaangażowani m.in. firma Jana Kulczyka, wojewoda pomorski i jedna ze szwajcarskich firm.

W połowie maja 1999 r. Ireneusz Sekuła był na przyjęciu w rezydencji Leonarda Praśniewskiego. Spotkał się tam z Mieczysławem J., bliskim współpracownikiem Bogusława Bagsika i Jarosławem Sokołowskiego, ps. Masa. Sekuła powiedział J., że ma dwa miliony dolarów długu wobec Bagsika, który nasłał na niego pruszkowskich gangsterów, którzy wepchnęli go do bagażnika samochodu i wozili po mieście.

„Po przyjęciu u Praśniewskiego spotkałem się z Jarosławem Sokołowskim, ps. Masa. Spytałem Sokołowskiego, czy wie coś na temat nękania Sekuły. Powiedziałem, że Sekuła jest w bardzo złym stanie zdrowia, że moim zdaniem jest goły, a nękanie staruszka nie ma jakiegokolwiek sensu. Sokołowski stwierdził, że nic na ten temat nie wie, ale że postara się zorientować” — zeznał J. w

prokuraturze.

O tym, że Ireneusz Sekuła gwałtownie potrzebował pieniędzy, zeznał śledczym Bronisław Klimaszewski, były szef PLL LOT, doradca Sekuły w GUC. Z Sekułą łączyła go wieloletnia przyjaźń. Ze znajdujących się w IPN dokumentów wynika, że Klimaszewski, podobnie jak Sekuła, został zarejestrowany jako tajny współpracownik Zarządu II Sztabu Generalnego.

Tuż przed śmiercią Sekuła poprosił Klimaszewskiego o pilne spotkanie w warszawskiej restauracji Baszta. Tam były prezes GUC podaje Klimaszewskiemu kartkę: „Pomóż zdobyć 50 tys. USD do 8 II 2000 roku. Jeśli nie oddam, to mnie zastrzelą”. Gdy były wicepremier widzi, że jego przyjaciel przeczytał wydrukowane zdania, drze kartkę.

Bronisław Klimaszewski o całym zdarzeniu opowiedział śledczym. I także o tym, że Sekuła był śmiertelnie przerażony i nie chciał mówić o szczegółach.

Z akt śledztwa wynika, że Sekuła zwracał się także o pożyczkę do jednego z najbogatszych Polaków, Januariusza Gościmskiego. Według akt IPN Gościmski to TW „Jan”, który działalność biznesową zaczynał już w PRL jako dyrektor w przedsiębiorstwie polonijnym Sofal, zajmującym się produkcją farb eksportowanych do państw zachodnich.

Klimaszewski ani Gościmski nie pożyczili Sekule pieniędzy.

W zabezpieczonych dokumentach prokuratorzy znaleźli listę osób, którym Sekuła był winien pieniądze. Byli to głównie znajomi biznesmeni.

Prokuratura nie potwierdziła informacji, która pojawiała się w śledztwie, a z której wynikało że Sekuła był właścicielem konta w Austrii, przez które miały przepływać miliony dolarów z nielegalnych transakcji prowadzonych m.in. przez byłych funkcjonariuszy służb specjalnych PRL i ich tajnych współpracowników.

Zdaniem prokuratury Ireneusz Sekuła sam targnął się na własne życie i nikt go do tego nie nakłonił. Prokurator, który prowadził śledztwo zaraz po całym zdarzeniu, był u byłego wicepremiera w szpitalu.

„Prokurator zapytał się, czy Ireneusz Sekuła jest świadomy i czy chce złożyć zeznania, Pokrzywdzony pokręcił głową i na tym wizyta się skończyła” — napisano w uzasadnieniu umorzenia.

Ireneusz Sekuła prawdę o tym, co rzeczywiście wydarzyło się w nocy z 22 na 23 marca 2000 r. w siedzibie jego firmy zabrał ze sobą do grobu.

PISMO O WYTYPOWANIU IRENEUSZA SEKUŁY JAKO KANDYDATA NA TAJNEGO WSPÓŁPRACOWNIKA
WOJSKOWEJ SŁUŻBY WEWNĘTRZNEJ Z 7 SIERPNIA 1968 R.

JAWNE

ŚCIŚLE TAJNE /


Npł. dypl. inż. Mironas CZARNOTA
07 III 7901 *[Signature]*

Nr KANDYDATA

Przez kogo wytypowany *ppłk Urbanik Janusz*

Państwo pobytu kandydata w okresie wytypowania *Polska*

Państwo pobytu kandydata w okresie rozpracowywania *Polska*

 *[Signature]*

Zdjęcie kandydata z roku 19 *61*

Osoby odpowiedzialne za prowadzenie zeszycu ewidencyjnego kandydata *Urbanik Janusz od 7.8.1967. - (marzec, linij od - do)*

Data zakończenia rozpracowywania kandydata oraz ostateczna decyzja w jego sprawie (przy decyzji o przeprowadzeniu werbunku podać pobudki werbunkowe)

1

ZATWIERDZENIE WYJAZDU TAJNEGO WSPÓŁPRACOWNIKA WSW IRENEUSZA SEKUŁY PS. ARTUR DO
FINLANDII Z16 STYCZNIA 1979 R.

100
196p

ZATWIERDZAM
M. Kłoczewski
.....
Dnia "16" stycznia 1979r.

NE W WODZACY
PO-KM 075 22
Data 16.01.79

TAJNE
Egz. poj.
ŚCIŚLE TAJNE
kpt. dypl. inż. Mirosław CZARNOGA
07 LUT 2001

W załączeniu przedstawiam zadania dla współpracownika
Ireneusz SEKUŁA ps. "ARTUR", udającego się dnia 21.01.1979 r.
w podróż służbową do Finlandii na okres 10 dni.

Oficer prowadzący
M. Kłoczewski
kpt Marek Kłoczewski

Wydrukowano w 1 egz.
Egz. nr 1 - a/a
Wyk 1 druk. - kpt M. Kłoczewski
Nr 000
Dnia 15.01.1979 r.



PROKURATURA OKRĘGOWA
w Warszawie
Wydział VI do Spraw Przestępczości
Zorganizowanej
00-791 W-wa, ul. Chocimska 28

VI Ds. 16/06

Warszawa, dnia 09.07.2007r.

**POSTANOWIENIE
O UMORZENIU ŚLEDZTWA**

Grzegorz Kiec – prokurator Prokuratury Rejonowej Warszawa Wola del.
do Prokuratury Okręgowej w Warszawie, po zapoznaniu się z aktami
postępowania VI Ds 16/06,

postanowił:

I. umorzyć śledztwo w sprawie doprowadzenia Ireneusza Sekuły do targnięcia
się na własne życie przez nieustalone osoby, w nieustalony sposób, które to
zdarzenie miało miejsce w dniu 23.03.2000r. w Warszawie, tj. o czyn z art. 151
kk, , na podstawie art. 17 § 1 pkt 1 kpk - wobec braku danych dostatecznie
uzasadniających popełnienie czynu;

II. dowody rzeczowe tj.:

1. trzy naboje rewolwerowe
2. trzy łuski rewolwerowe
3. pocisk rewolwerowy
4. niedopałek papierosa
5. dziewięć śladów substancji brunatnej w papierowej kopercie
6. list pożegnalny napisany czcionką komputerową, nie adresowany do konkretnej osoby,
podpisany odręcznie Ireneusz Sekuła

5

Jacek Dębski

– Egzekucja
ministra sportu

W nocy 11 kwietnia 2001 r. Jacek Dębski, były minister sportu w rządzie Akcji Wyborczej Solidarność, kuzyn gangstera Jeremiasza Barańskiego, został zastrzelony nieopodal warszawskiej restauracji Casa Nostra. W tle całej sprawy znajdowały się związki byłego ministra ze służbami specjalnymi PRL. Według znajdujących w się w IPN dokumentów został on zarejestrowany pod numerem 56802 jako tajny współpracownik łódzkiej Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie Adam.

Zleceńodawca „wyroku” na Jacku Dębskim Jeremiasz Barański, ps. Baranina — nie żyje, podobnie jak wykonawca — Tadeusz M., ps. Sasza. Zarówno Barańskiego i „Saszę” znaleziono powieszonych w swoich celach — pierwszy zginął w Wiedniu, drugi w Warszawie.

Tadeusz M. dzień przed śmiercią napisał do żony list, w którym snuł plany na przyszłość. Tekst był opatrzony narysowanymi przez „Saszę” serduszkami. Tej nocy, kiedy zginął Tadeusz M., w jego celi przestał działać monitoring. Z tego powodu nie wiadomo, co się działo w ostatnich godzinach życia „Saszy”.

Już po śmierci znaleziono na ciele Tadeusza M. ślady wskazujące na użycie paralizatora — podłużne pręgi znajdowały się na przedramieniu. To mogło wskazywać na to, że „Sasza” — wysoki, barczysty mężczyzna — przed śmiercią został obezwładniony, a następnie powieszony.

Nie żyje także szef policyjnej grupy prowadzącej śledztwo w sprawie śmierci Tadeusza M. Funkcjonariusz z lubelskiego Centralnego Biura śledczego zmarł nagle na zawał jeszcze w trakcie prowadzonego postępowania.

Fakt zarejestrowania przez SB Jacka Dębskiego jako TW „Adam” był do tej pory znany zaledwie kilku osobom. Niewykluczone, że było to spowodowane zniszczeniem jego teczki przez służby

specjalne PRL w drugiej połowie 1989 r. W IPN zachowały się jedynie jego karty rejestracyjne. Wiadomo tylko, że rejestracja nastąpiła w drugiej połowie lat 80., gdy Dębski był studentem wydziału polonistyki Uniwersytetu Łódzkiego i związał się ze środowiskami opozycyjnymi. „Kolportował bibułę i wydawnictwa podziemne, ale wtedy każdy z nas to robił. Nie wyróżniał się niczym szczególnym” — wspomina kolega z okresu studiów.

Jacek Dębski krótko działał w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów, skąd trafił do Ruchu Młodej Polski. Tam też nie zagrzał miejsca. Został wyrzucony przez władze Ruchu w atmosferze skandalu. Zdaniem kierownictwa RMP Dębski wydawał podziemne pismo, w którym znalazły się akcenty antysemickie i wygłaszał niepochlebne opinie na temat RMP. Znalazły się one m.in. w liście wysłanym do władz emigracyjnego Stronnictwa Narodowego. List wywołał spore zamieszanie. Działacze RMP uważali, że miał on na celu skłócenie środowiska opozycji.

Kolejnym politycznym ugrupowaniem, z którym związał się Dębski, było Narodowe Odrodzenie Polskie. Został przewodniczącym łódzkich struktur NOP. W 1990 r. był już w Unii Polityki Realnej, a następnie w... Kongresie Liberalno-Demokratycznym. Będąc w KLD Dębski został prezesem RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Zaraz po objęciu tej funkcji, w październiku 1991 r., został współzałożycielem spółki EMPIK. Dębski, jako reprezentant państwowego przedsiębiorstwa (Ruch był wówczas jeszcze niesprywatyzowany), w zamian za 40 procent udziałów wniósł aportem Klub Międzynarodowej Prasy i Książki i 10 nieruchomości, które mieściły się w centrum największych polskich miast. Większość udziałów, 60 procent, objęła irlandzka firma Kaufring, która należała do biznesmena Yarona Brucknera. Udziały irlandzkiej spółki miały być opłacone gotówką: 1,17 miliona złotych. Jednak prawnicy zakwestionowali wycenę aportu RSW „Prasa — Książka — Ruch” i do całkowitej zapłaty nie doszło. Brakowało ponad 400 tys. zł. Najwyższa Izba Kontroli, która kontrolowała RSW „Prasa — Książka — Ruch” skierowała

zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa do warszawskiej prokuratury. Z kolei prokuratura umorzyła postępowanie ze względu na znikomą społeczną szkodliwość czynu. W czerwcu 1992 r. rada nadzorcza „Ruchu” odwołała Jacka Dębskiego z funkcji prezesa spółki i członka zarządu.

„Przedsiębiorstwo było w fatalnym stanie, zawierano skrajnie niekorzystne umowy, dlatego ówczesny prezes został odwołany” — wspomina Krzysztof Wyszkowski. Legendarny działacz opozycji był wówczas członkiem rady nadzorczej RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Inni członkowie rady dodają, że Dębski zajmował się głównie grą w piłkę ze swoim partyjnym szefem — Donaldem Tuskiem. O grze obydwu panów w jednej drużynie pisała m.in. w maju 1992 r. „Gazeta Wyborcza” przy okazji rozegrania towarzyskiego meczu pomiędzy politykami KLD a dziennikarzami „GW” na stadionie warszawskiej Polonii. Jacek Dębski stał wówczas na bramce, Donald Tusk grał w ataku. Jacek Dębski w połowie lat 90. był także konsulem honorowym Litwy w Polsce, o czym mało kto dzisiaj chce pamiętać. Miał doskonałe kontakty z ówczesnymi władzami w Wilnie i z litewskimi służbami.

W 1994 r., dwa lata po odejściu z RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Jacek Dębski dzięki poparciu KLD został prezesem Łódzkiej Wytwórni Papierosów S.A., która miała podpisaną umowę z duńskim koncernem House of Prince na wyłączność produkcji marek Prince i Prince Light. W lutym 1995 r. House of Prince kupił większość akcji spółki tytoniowej Alliance spod Krakowa. Koncern rozpoczął też starania o rozwiązanie współpracy z Łódzką Wytwórnią Papierosów. Duńczycy chcieli to zrobić jak najszybciej, jednak obowiązywał ich dziewięciomiesięczny okres wypowiedzenia. Negocjacje prowadził dyrektor handlowy duńskiego koncernu Henrik J. W lipcu 1995 r. doszło do rozmowy pomiędzy ówczesnym prezesem ŁWP Jackiem Dębskim a Henrikiem J. Duńczyk zaproponował „rekompensatę” — 30 tys. dolarów w zamian za odstąpienie od umowy. Rozmowę Dębski potajemnie nagrał, a kasetę przekazał do Urzędu Ochrony

Państwa. Kilka dni później Henrik J. został zatrzymany przez UOP i spędził miesiąc w areszcie pod zarzutem próby przekupienia prezesa ŁWP. Ostatecznie sprawa zakończyła się uniewinnieniem Duńczyka w 2003 r. Sąd wprawdzie uznał, że na kasecie, na której zarejestrowano rozmowę między Dębskim a Henrikiem J. uwieczniono złożenie propozycji łapówki, jednak, gdy przestępstwo popełniono, kodeks karny nie precyzował, kim jest osoba pełniąca funkcję publiczną. Sąd nie mógł więc ustalić, czy taką osobą był Jacek Dębski — wówczas prezes państwowego przedsiębiorstwa.

W 1996 r. Jacek Dębski został pełnomocnikiem firmy Bagbud, która chciała w Łodzi wybudować luksusowy hotel Bobrowiecki. Inwestycji sprzeciwił się UOP, gdy okazało się, że Bagbud kontrolowany był przez Siergieja Gawriłowa, przedsiębiorcę z byłego ZSRR, a w rzeczywistości sowieckiego szpiega. Po latach okazało się, że interesy z Gawriłowem prowadzili funkcjonariusze polskich służb specjalnych, jednak skończyły się one niepowodzeniem. Wywiad założył spółkę Światowe Centrum Finansów i Handlu ze Wschodem, której udziałowcem był Gawriłow. Centrum miało być przykrywką dla działalności wywiadu gospodarczego, ale jego aktywność zakończyła się fiaskiem i stratami finansowymi polskich służb specjalnych. Ostatecznie Siergiej Gawriłow opuścił Polskę w związku postawieniem mu zarzutu nielegalnego posiadania broni. W rzeczywistości chodziło o jego o pracę dla rosyjskiego wywiadu wojskowego GRU i pranie pieniędzy.

Po nagłośnieniu historii z ujawnieniem próby przekupstwa Jacek Dębski zyskał ogromną popularność. Przyłgnał do niego wizerunek niezłomnego, walczącego z korupcją „szeryfa”. Po wygranych przez AWS wyborach, dzięki poparciu wicepremiera Janusza Tomaszewskiego, w 1997 r. Dębski został prezesem Urzędu Kultury Fizycznej i Sportu (ministrem sportu). Kilka miesięcy później rozpoczął walkę z władzami Polskiego Związku Piłki Nożnej, na którego czele stał wówczas Marian Dziurawicz —

„nieusuwalny” prezes PZPN. Dębski wyszedł z tego pojedynku zwycięsko. Został okrzyknięty reformatorem PZPN. Rok później Dziurowicza odwołali działacze Związku.

Zła passa dla Dębskiego rozpoczęła się kilka miesięcy po tym, jak z funkcji wicepremiera i ministra spraw wewnętrznych i administracji został odwołany Janusz Tomaszewski. Stało się to we wrześniu 1999 r. po tym, jak sędzia Bogusław Nizieński, Rzecznik Interesu Publicznego, złożył wniosek o lustrację Tomaszewskiego. Okazało się, że wicepremier figuruje w archiwach komunistycznej bezpieki jako tajny współpracownik o pseudonimie Bogdan. Nie zachowała się jego teczka. Pozostały jednak karty rejestracyjne. Ostatecznie w 2003 r. sąd lustracyjny (niejednogłośnie) oczyścił Tomaszewskiego z zarzutu kłamstwa lustracyjnego.

Pod koniec lutego 2000 r. do redakcji „Gazety Wyborczej” zadzwonił prezes Urzędu Kultury Fizycznej i Sportu. Powiedział, że chce udzielić wywiadu, że ma już wszystkiego dosyć. Rozmowę z ministrem sportu przeprowadził Jarosław Kurski. Dębski zarzucił politykom AWS grę polityczną skierowaną przeciwko ówczesnemu prezydentowi Aleksandrowi Kwaśniewskiemu.

„Na przełomie października i listopada przyszedł do mnie wysoki funkcjonariusz AWS i zadał mi pytanie: »Czy w UKFiT znajdują się jakieś 'kwity' na Aleksandra Kwaśniewskiego i na Stanisława Paszczyka?« [obaj byli kiedyś szefami tego urzędu — red.]. [...] Nie po to zostałem powołany na to stanowisko, by na kogoś szukać papierów, ale by zajmować się sportem. Wtedy usłyszałem: »Jeśli ty nie znajdziesz 'kwitów' na Kwaśniewskiego, to my znajdziemy 'kwity' na ciebie«. [...] Mam dosyć. Jest próg odporności psychicznej, poniżej którego nie można zejść. Chce się ze mnie na siłę zrobić agenta. Ja znam swój życiorys. Od dwóch lat, a szczególnie po odejściu Janusza Tomaszewskiego, nasiliły się wobec mnie pomówienia. Przecież nikt nie musi mi wierzyć. Ja twierdzę, że nie byłem agentem, ale ktoś inny twierdzi, że byłem. Co stoi na przeszkodzie, by co najmniej od roku — od kiedy działa

rzecznik interesu publicznego — zbadać moje papiery i sprawdzić, czy mówię prawdę. Proszę bardzo, niech rzecznik zbada moje papiery!” — mówił „GW” Jacek Dębski.

Po publikacji rozpętała się ogromna awantura polityczna. Dębski został zdymisjonowany i wyrzucony z partii. Prezydent Kwaśniewski zażądał wyjaśnień od ówczesnego premiera Jerzego Buzka. Politycy AWS wszystkiemu, o czym mówił Dębski, zaprzeczyli. Śledztwo wszczęte na polecenie i prowadzone pod nadzorem ówczesnego ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Lecha Kaczyńskiego zostało umorzone — Jacek Dębski nie chciał powiedzieć, kto mu kazał „szukać kwitów na Kwaśniewskiego”, nie wiadomo też, czy w ogóle taka sytuacja miała miejsce.

Z perspektywy czasu można przypuszczać, że podłożem działania Jacka Dębskiego była lustracja. Wielu polityków było przekonanych, że w 1989 r. bezpieka spaliła wszystkie teczki. Okazało się jednak, że ślady współpracy z SB pozostały w postaci kart rejestracyjnych. Tak było w przypadku zarówno Janusza Tomaszewskiego, jak i Jacka Dębskiego.

Po odejściu z rządu Jacek Dębski rzadko udzielał wywiadów mediom. Jednego z ostatnich udzielił kontrolowanej przez SLD „Trybunie”.

Coraz częściej w politycznych kuluarach słyhać było o związkach Dębskiego ze światem przestępczym. Miało to pokrycie w faktach. Okazało się, że w lutym 2001 r. policjanci zajmujący się zwalczaniem przestępczości zorganizowanej, zatrzymali samochód Jacka Dębskiego, w którym był także Krzysztof K., ps. Nastek, pruszkowski gangster, który trudnił się handlem narkotykami i zbieraniem haraczy.

11 kwietnia 2001 r. Jacek Dębski obchodził swoje 45. urodziny. Zaczął w warszawskim hotelu Victoria w Zielonym Barze. Było to ulubione miejsce spotkań biznesmenów i polityków. Około 21.00 Jacek Dębski wraz z Haliną G. i dwoma znajomymi pojechali do

restauracji Casa Nostra, która mieściła się przy Wale Miedzeszyńskim w Warszawie. Dwie godziny później Halina G. poprosiła Dębskiego, by wyszedł z nią na spacer. Kilka minut później usłyszano strzał. Właściciel lokalu wybiegł na zewnątrz i zobaczył dwie uciekające sylwetki. Podbiegł do leżącego na chodniku Jacka Dębskiego. Mężczyzna był nieprzytomny, postrzelony w głowę.

Po dziewczynie pozostał jedynie płaszcz w szatni. Karetka pogotowia zabrała rannego do szpitala. Nie udało się go uratować. Zmarł po kilku godzinach. Nie odzyskał przytomności. Halina G. została aresztowana dwa dni później. Sama zgłosiła się do warszawskiej prokuratury, ale stwierdziła, że niczego nie pamięta, bo była pijana. Niedługo po aresztowaniu policjanci z wydziału zabójstw, którzy przyjechali po Halinę G., by ją zabrać na przesłuchanie, usłyszeli, że... podejrzana została już wydana policjantom z jakiegoś komisariatu. Na szczęście Halina G., ps. Inka, nie opuściła aresztu. Nie ustalono, czy była to próba uwolnienia kobiety (by ją np. zabić), ale na wszelki wypadek wzmocniono jej ochronę.

Śledztwo w sprawie zabójstwa byłego ministra sportu prowadził prokurator Andrzej Komosa (zmarł po ciężkiej chorobie w listopadzie 2011 r.). Sprawa egzekucji Jacka Dębskiego była dla Komosy śledztwem życia. To dzięki niemu znaleziono nie tylko zabójcę, ale także zleceniodawcę zabójstwa.

Komosa, wspólnie z policjantami z Centralnego Biura Śledczego, nakłonił „Inkę” do współpracy z prokuraturą i rozpracował polski odłam gangu Jeremiasza Barańskiego, ps. Baranina, który na stałe mieszkał w Wiedniu. „Inka” pracowała dla „Baraniny” od połowy lat 90. i dzięki jej zeznaniom można go było aresztować pod zarzutem zlecenia zabójstwa ministra sportu. Jeremiasz Barański był kuzynem Jacka Dębskiego. Z dokumentów wynika, że ich matki nosiły to samo nazwisko panieńskie.

Polski wymiar sprawiedliwości nawiązał kontakty ze swoim

austriackim odpowiednikiem i dzięki zastosowanej technice (m.in. podsłuchom telefonicznym) szybko ustalono główny motyw zabójstwa. Okazało się, że jednym z motywów zabójstwa były pieniądze. 400 tys. dolarów, które Jacek Dębski ulokował w austriackim banku na wspólnym koncie z „Baraniną”, a które gangster sobie przywłaszczył.

25 czerwca 2002 r. prokurator Andrzej Komosa postawił 41-letniemu Tadeuszowi M., ps. Sasza, zarzut zabójstwa byłego ministra sportu Jacka Dębskiego. Dzień później Tadeusza M. znaleziono powieszzonego we własnej celi na sznurze z prześcieradła. Wkrótce pojawiły się wątpliwości, czy było to rzeczywiście samobójstwo i w związku z tym miesiąc później dokonano ekshumacji ciała „Saszy”. Śledztwo w sprawie śmierci gangstera trwało osiem miesięcy. Ekspertyzy w zakładach medycyny sądowej w Warszawie, Lublinie i Gdańsku wykluczyły porażenie prądem i otrucie. I chociaż oficjalnie nie znaleziono nic, co wskazywałoby na udział osób trzecich w śmierci „Saszy”, to wątpliwości pozostały.

„Baraninę” pogrążyły bilingi telefoniczne (Barański rozmawiał 15 razy na przemian z „Saszą” i „Inką” w dniu zabójstwa Dębskiego), zeznania Haliny G. oraz założony podsłuch w celi wiedeńskiego aresztu, gdzie był osadzony. Okazało się, że siedząc w areszcie Barański próbował manipulować śledztwem, kontaktując się m.in. z mediami.

„To prawa ręka Urbana. To, co napisze »Nie«, to pan Miller o tym wie, pan Kwaśniewski o tym wie, pan minister sprawiedliwości o tym wie. Po wyjściu z prokuratury spotkasz się, opowiesz” — instruował Barański Joannę N., konkubinę Tadeusza M. Zapis podsłuchów ujawnił w sądzie Andrzej Komosa podczas przesłuchania Joanny M. Na kontakt z redakcją „Nie” mogła wskazywać seria artykułów opublikowanych w tygodniku Jerzego Urbana, w których podważano kluczowe ustalenia prokuratury dotyczące roli Jeremiasza Barańskiego jako zleceniodawcy i Tadeusza M. jako wykonawcy zabójstwa Jacka Dębskiego.

Proces Haliny G. trwał pięć lat. Osiem lat po śmierci Jacka Dębskiego, 11 kwietnia 2009 r., opuściła więzienie na warszawskim Grochowie po odbyciu całego wyroku za pomoc w zabójstwie byłego ministra sportu. Na wolności została objęta austriackim programem ochrony świadka koronnego. W ramach programu ochrony świadków dostała nową tożsamość i prawo zamieszkania w wybranym przez siebie kraju.

Jeremiasz Barański nie dożył końca procesu. Znaleziono go powieszzonego w celi wiedeńskiego aresztu w maju 2003 r.

Do dziś nie ustalono głównego powodu zabójstwa Jacka Dębskiego.



Jeremiasz Barański

– Znajdę swoją śmierć

W październiku 1991 r. na przejściu granicznym w Głucholazach celnicy odprawiali długą kolejkę TIR-ów czekających na wjazd z Czech do Polski. Nie istniała jeszcze wówczas rozszerzona Strefa Schengen. Polska nie była członkiem Unii Europejskiej, więc odprawy graniczne odbywały się na starych zasadach. Czekający w kolejce kierowcy nie mieli pojęcia, że wśród celników są policjanci zajmujący się zwalczaniem przestępczości gospodarczej oraz prokurator Wioletta Mataniak z Prokuratury Wojewódzkiej w Opolu, która prowadziła śledztwo w sprawie gigantycznego przemytu nielegalnego spirytusu. Alkohol z Zachodu Europy trafiał do Polski dzięki pomocy skorumpowanych celników i funkcjonariuszy Straży Granicznej. Zdobyte przez policjantów informacje okazały się strzałem w dziesiątkę. Na kilku ciężarówkach, zamiast zadeklarowanej zawartości barwnika spożywczego, znajdował się nielegalny alkohol.

W czasie, gdy policjanci na granicy rekwirowali przestępczy ładunek, w kilku miastach Polski trwały zatrzymania członków przemytniczego gangu. Zostali aresztowani niemal wszyscy poza „mózgiem” całej operacji — mieszkającym na stałe w Wiedniu Jeremiaszem Barańskim, ps. Baranina, jednym z najgroźniejszych i zarazem najpotężniejszych przywódców przestępczego podziemia, który posiadał m.in. rozlewnie spirytusu w Belgii.

Wszyscy członkowie gangu — poza „Baraniną” — zostali później skazani na kary bezwzględnego więzienia. Wartość 410 tys. litrów zarekwirowanego spirytusu wyniosła ponad 43 miliardy starych złotych. Była to jedna z największych antyprzemytniczych akcji prowadzona przez polską policję i prokuraturę w pierwszej połowie lat 90. Praca policjantów i prokurator Mataniak tym bardziej zasługiwała na szacunek, że nie istniały jeszcze wydziały do zwalczania przestępczości zorganizowanej, a wśród polskich polityków panowało przekonanie, że „mafii w Polsce nie ma”. Tymczasem prawda była zupełnie inna: mafia była, rozwijała się w

najlepsze, a jej bossowie zdobywali nielegalnie olbrzymie majątki.

Prokurator Mataniak wiedziała, do kogo prowadzą przemytnicze tropy i kto jest rzeczywistym organizatorem przestępczego procederu. Sprawa była jednak utrudniona, ponieważ Barański — oprócz kierowania przestępczym światkiem — był także informatorem austriackich służb. To dawało mu poczucie bezkarności i jednocześnie ochronę. Miał także „umocowania” w Polsce. Doskonale znał się, jeszcze z Gdańska, z Mieczysławem Wachowskim, ówczesnym ministrem Kancelarii Prezydenta Lecha Wałęsy. Pełnomocnikiem prawnym Barańskiego na terenie Polski był jeden z najlepszych i najbardziej znanych adwokatów — mecenas Tadeusz De Virion, który jeździł m.in. do Wiednia na zaproszenie Barańskiego.

Prokurator Mataniak nie dała jednak za wygraną. W związku z aferą alkoholową wydała za Jeremiaszem Barańskim międzynarodowy list gończy. Gangster, który miał austriackie obywatelstwo, wiedział, że Austria go nie wyda. Czuł się tak pewnie i bezkarnie, że pojechał do Belgii „przypilnować” swoich interesów.

W grudniu 1994 r. Barański został zatrzymany na lotnisku w Brukseli przez belgijską policję. Został przewieziony do Polski. W areszcie natychmiast zjawił się jego adwokat, mecenas De Virion. Przekazał prokuraturze informację, że jego klient jest ciężko chory i wkrótce przyjdą z Wiednia dokumenty potwierdzające konieczność leczenia. Tak też się stało: w ekspresowym tempie dostarczono do Polski ekspertyzę, która wykazywała u Barańskiego psychozę schizoafektywną. Dokumenty dotyczące terapii psychiatrycznej, którą miał przejść w klinice wiedeńskiej, stały się podstawą do zwolnienia Barańskiego z aresztu. Decyzję podjęli przełożeni prokurator Mataniak. Dopiero później okazało się, że przedstawione w prokuraturze dokumenty były sfałszowane. Barański nigdy nie był pacjentem kliniki, której nazwa figurowała w dokumentach, a lekarze, których podpisy widniały na ekspertyzie, w ogóle nie widnieli w austriackim spisie psychiatrów.

Jeremiasz Barański, który na aferze alkoholowej stracił ponad milion dolarów, natychmiast po wyjściu z aresztu wyjechał za granicę. Nigdy więcej nie udało się go postawić przed polskim wymiarem sprawiedliwości.

2 marca 1995 r. prokurator Mataniak około godziny 7.30 była w drodze do pracy. Nieopodal siedziby opolskiej prokuratury, z bramy kamienicy, wyszło dwóch mężczyzn. Prokurator zobaczyła, że jeden z nich trzyma coś w ręce. Chwilę później poczuła, że jej twarz została czymś oblana i niemal jednocześnie — ogromny, trudny do zniesienia ból. Pobiegła do pobliskiej przychodni — pielęgniarki i lekarze natychmiast próbowali jej pomóc. Ratowali przede wszystkim oczy. Silnie żrący kwas siarkowy, którym została zaatakowana prokurator Mataniak, spalił jej skórę na twarzy. Na szczęście udało się uratować wzrok, jednak rehabilitacja trwała wiele miesięcy.

Prokurator wróciła do zawodu, a śledztwo w sprawie zamachu na nią było prowadzone przez dziesięć lat. Policja jako zleceniodawcę zamachu od razu wytypowała Barańskiego. Tym bardziej, że siedząc w polskim areszcie odgrażał się, iż „prokuratorce, która go wsadziła i przez którą stracił milion dolarów, zafunduje prysznic”. Nigdy nie udało się udowodnić mu udziału w napadzie na prokurator Mataniak. Okazało się również, że kilka dni przed oszpeceniem prokurator Mataniak, ktoś oblał żrącym kwasem w Opolu kobietę łudząco podobną do prokurator oraz mężczyznę, który z wyglądu przypominał jej męża. Dopiero po zamachu na prokurator połączono ze sobą te trzy przypadki, ale nie na wiele się to zdało. Ostatecznie śledztwo w sprawie zamachu zostało umorzone w marcu 2005 r. Nikt nie został ukarany.

Kim był człowiek, który na swoim koncie miał wprowadzenie do obrotu setek tysięcy litrów nielegalnego spirytusu, ogromnych ilości narkotyków i był zleceniodawcą kilku zabójstw oraz zamachów?

Jeremiasz Barański urodził się w 1945 roku w Sopocie, gdzie

trafili jego rodzice, którzy walczyli w sowieckiej partyzantce przeciwko polskim żołnierzom, którzy nie chcieli służyć moskiewskim przywódcom. Ze znajdujących się w Instytucie Pamięci Narodowej materiałów wynika, że urodzeni we Włodzimierzu Wołyńskim na Zachodniej Ukrainie rodzice Barańskiego byli inwalidami wojennymi, którzy w latach 60. przeprowadzili się do Warszawy.

Wszystkie poszlaki wskazują na to, że Jeremiasz Barański jeszcze w Polsce został zwerbowany przez wojskowe służby specjalne PRL, chociaż nie zachowały się żadne zobowiązania do współpracy ze służbami podpisane przez Barańskiego.

Jedną z poszlak jest wydanie przez władze Polski Ludowej Barańskiemu paszportu, choć wpisał do niego fałszywe dane. W kwestionariuszu paszportowym datowanym na 8 marca 1978 r. Jeremiasz Barański podał nazwisko panieńskie matki Kenig, chociaż w rzeczywistości nazywała się ona Matuszyńska. Napisał również, że nie był karany, tymczasem funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa dopisał — „kłamie. W 1977 wyszedł z więzienia po odbyciu kary 8 lat więzienia”.

Jeremiasz Barański, który ubiegał się o zezwolenie na wyjazd do Austrii przez Czechosłowację, dostał zgodę i otrzymał paszport ważny na sześć miesięcy. Nie był to jego pierwszy wyjazd za granicę. W 1972 r. był w Węgierskiej Republice Ludowej, rok później w NRD i Czechosłowacji, a w 1977 r., przez ponad sześć miesięcy, w Związku Radzieckim.

Po wyjeździe do Austrii ożenił się z obywatelką tego kraju i wystąpił do polskich władz o paszport konsularny, który otrzymał bez żadnych problemów.

„Wydział Konsularny Ambasady PRL w Wiedniu w załączeniu zwraca paszport krajowy PB-543834 na nazwisko Jeremiasz Barański, któremu zgodnie z Waszą decyzją wydaliśmy paszport konsularny KIII-0143271” — pisał w lutym 1979 r. Józef Kowalski, I Sekretarz Ambasady Polskiej w Wiedniu, do Wydziału Paszportów Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej w Warszawie. Kto i

dlaczego zdecydował o wydaniu paszportu Barańskiemu, który powinien być ścigany za sfałszowanie kwestionariusza paszportowego? Na ten temat nie ma śladu w dokumentach.

Barański w oficjalnych pismach zawsze podkreślał fakt walki rodziców w radzieckiej partyzantce, czego przykładem jest jego życiorys napisany w Wiedniu 5 lipca 1978 r., który aktualnie znajduje się w archiwach Instytutu Pamięci Narodowej:

„Urodziłem się 23 listopada 1945 r. w Sopocie. Rodzice moi: ojciec Zbigniew, matka Irena z domu Matuszyńska są inwalidami wojennymi II gr, oboje walczyli w radzieckiej partyzantce. Od roku 1953 uczęszczałem do Szkoły Podstawowej nr 4 w Sopocie i do Liceum Ogólnokształcącego w Gdańsku-Wrzeszczu, które ukończyłem w roku 1964. Następnie rozpocząłem pracę jako referent działu transportu DZBM w Gdańsku, gdzie pracowałem do 1969 r. W tym czasie poznałem moją byłą żonę, która była właścicielką cukierni. Po ślubie wspólnie prowadziliśmy tę cukiernię aż do rozwodu. Po rozwodzie przenieśliśmy się do rodziców zamieszkałych w Warszawie, gdzie mieszkaliśmy aż do chwili wyjazdu do Austrii. W Warszawie pracowałem w Pracowni Obuwia. W międzyczasie będąc w Węgierskiej Republice Ludowej spotkałem swoją dawną miłość Zdzisławem Gaspar, która jest obywatelką Austrii. Po naszym spotkaniu w WRL widzieliśmy się po dwa, trzy razy w miesiącu a następnie wyjechałem do Austrii, gdzie zdecydowaliśmy się pobrać. Związek małżeński zawarliśmy dnia 29 czerwca 1978 r. W związku z tym, że wspólnie z żoną zdecydowaliśmy się mieszkać na stałe w Austrii wystąpiłem do moich władz o paszport konsularny” — pisał Jeremiasz Barański.

Paszport konsularny uzyskał, a kilka lat później otrzymał austriackie obywatelstwo. Pozwoliło mu ono na rozwinięcie gangsterskiego rzemiosła i dopiero w 2003 r. austriacka policja zaczęła badać, czy Jeremiasz Barański uzyskał obywatelstwo legalnie.

Złote lata przestępczej działalności Barańskiego przypadają na lata

80. i 90. ubiegłego stulecia. W tych czasach Wiedeń był prawdziwym eldorado dla różnej maści przestępców, ich ciemnych interesów i służb specjalnych. Kwitł tam nielegalny handel bronią i narkotykami; rozrastały się szemrane firmy, które często były przykrywką dla działalności tajnych służb.

To tam swoje przedsięwzięcia ulokowali m.in. Aleksander Żagiel i Andrzej Kuna, którzy w swojej firmie zatrudnili Władimira Ałganowa, sowieckiego szpiega, a z którymi interesy robił Jeremiasz Barański. Tam gangster nawiązał kontakt z Edwardem Mazurem, który także miał w stolicy Austrii przedstawicielstwo swojej firmy — obydwaj wspólnie planowali zamach na byłego szefa polskiej policji Marka Papałę, co zostało podniesione we wniosku ekstradycyjnym wysłanym przez ministerstwo sprawiedliwości RP do USA, gdzie Mazur mieszka na stałe.

Jeremiasz Barański miał także związki z międzynarodowymi handlarzami bronią m.in. z Monzerem Al Kasarem oraz ze współpracującymi z nimi oficerami II Zarządu Sztabu Generalnego, m.in. z Tadeuszem Koperwasem, ps. Derwisz.

To właśnie ze względu na swoje znajomości w środowiskach przestępczych Jeremiasz Barański został tajnym współpracownikiem EDOK (Einsatzgruppe zur Bekämpfung der organisierten Kriminalität). Ta formacja w austriackiej policji zajmuje się ściganiem zorganizowanej przestępczości. Za przekazywane informacje Barański był sownie wynagradzany. Okazało się, że współpracował i pobierał pieniądze od EDOK nawet wówczas, gdy w Niemczech skazano go za przemyt papierosów na dwa lata więzienia z zawieszeniem i wysoką grzywnę, a w Polsce prowadzono śledztwa, w których pojawiało się nazwisko Barańskiego w sprawie przemytu alkoholu oraz w związku z zastrzeleniem w barze Gama na warszawskiej Woli pięciu przywódców gangu wołomińskiego. Do brutalnej egzekucji doszło 31 marca 1999 r. przed południem. Stanowiła ona pokłosie wojny o wpływy pomiędzy gangiem wołomińskim i pruszkowskim.

Nie były to jedyne zabójstwa wykonane — jak podejrzewała

polska policja — na zlecenie Jeremiasza Barańskiego. Miał zlecić m.in. w październiku 2000 r. zabójstwo Seweryna P., ps. Sewer, właściciela kantoru w Warszawie — zastrzelono go przed domem w Radości. Jeremiasz Barański miał także być zleceniodawcą zamachu na Bolesława K., ps. Bolo, działacza klubu sportowego Olimpia Poznań. Strzelano do niego w listopadzie 2000 r., na szczęście skończyło się na postrzale i Bolesław K. przeżył.

Zdaniem Waltera Geyera, austriackiego prokuratora, który prowadził śledztwo przeciwko Barańskiemu, niektórzy funkcjonariusze EDOK działali w interesie przestępczej organizacji „Baraniny”. Policjanci wiedzieli o podejrzeniach wobec Barańskiego, ale zamiast współpracować z polskimi organami ścigania austriaccy funkcjonariusze dali Barańskiemu ochronę.

Gdy okazało się, że Barański jest podejrzany o zlecenie zabójstwa byłego ministra sportu, Jacka Dębskiego, współpracujący z „Baraniną” austriaccy policjanci przystąpili do działania, by tylko nie doszło do zatrzymania Barańskiego. Podjęli czynności zmierzające do objęcia „Baraniny” programem ochrony świadków FBI, co miało mu umożliwić legalny wyjazd z Austrii. Gdy te zabiegi spaliły na panewce i Jeremiasz Barański trafił jednak do aresztu, to oficer EDOK, za pośrednictwem obrońcy, na bieżąco informował „Baraninę” o wynikach prowadzonego przeciw niemu śledztwa.

Według prokuratora Geyera funkcjonariusze z EDOK świadczyli Jeremiaszowi Barańskiemu „znaczne usługi” — łącznie z tym, że jeden z funkcjonariuszy EDOK osobiście złożył w jego imieniu wniosek o przyznanie obywatelstwa austriackiego, za co otrzymał 36 336 euro. Zdaniem Geyera przyznanie „Baraninie” austriackiego obywatelstwa nastąpiło z pogwałceniem wszelkich zasad prawa i w związku z tym było prowadzone śledztwo przez austriacki wymiar sprawiedliwości.

7 maja 2003 r. o godzinie 5.00 znaleziono ciało Jeremiasza Barańskiego. Mężczyzna wisiał na pasku przywiązany do zasuw okiennej w celi. Cele w areszcie, w którym przebywał Barański,

były kontrolowane co godzinę, dlatego można było niemal od razu precyzyjnie podać czas zgonu.

Miesiąc wcześniej, już podczas pobytu Barańskiego w areszcie, został on przewieziony do szpitala z silnymi objawami zatrucia. Według austriackiej policji wypił środek czyszczący. „Baranina” twierdził natomiast, że to policja chciała go otruć.

Ostatecznie śledztwo w sprawie śmierci Jeremiasza Barańskiego zostało umorzone. Austriaccy śledczy uznali, że popełnił samobójstwo. W podsłuchanych przez policję rozmowach telefonicznych, które „Baranina” prowadził ze swojej celi w areszcie śledczym, oskarżony sugerował możliwość odebrania sobie życia, jeśli nie będzie innego wyjścia.

„Sam wybiorę swoją śmierć i nikt mi nie będzie mówić, kiedy mam umrzeć” — mówił Barański.

Co ciekawe, jeden z byłych funkcjonariuszy EDOK podczas kolejnej rozprawy przed austriackim sądem powiedział, że Jeremiasz Barański świetnie współpracował z policją i że efektem tej współpracy było wiele spektakularnych sukcesów. Zdaniem policjanta życie Barańskiego było w niebezpieczeństwie ze względu na wiedzę, jaką posiadał. „Proszę mi wybaczyć, że wyrażę to tak obcesowo, ale dziwię się, że pan jeszcze żyje” — powiedział funkcjonariusz do Barańskiego na sali sądowej.

Kilkanaście dni później Jeremiasz Barański już nie żył. Pod koniec 2003 r. rozwiązano formację EDOK. Okazało się, że jej funkcjonariusze współpracowali z rosyjską mafią, która miała swoich rezydentów w Austrii. Jednym z nich był Jeremiasz Barański.

KWESTIONARIUSZ PASZPORTOWY JEREMIASZA BARAŃSKIEGO NA WYJAZD DO AUSTRII Z 30 MARCA 1978 R.

34
36

NAKAZUE NAKŁADZONE AFOTO W WRA 16.05.1988

Przed wypełnieniem prosimy zapoznać się z pouczeniem na str. 4

DO BIURA PASZPORTOW I DOWODÓW OSOBISTYCH MSW *)
KOMENDY STÓRECZNEJ ALIA HARBANA
w PRAGA POŁUDNIE

PODANIE-KWESTIONARIUSZ

Proszę o wydanie zezwolenia na wyjazd za granicę do AUSTRII
przez CZECHOSŁOWACJĘ (podać nazwę kraju docelowego)
na okres od 15.04.78 do 15.05.78 w celu TURYSTYCZNYM
(podać nazwy krajów tranzytowych)

BARAŃSKI

- Nazwisko **) JEREMIASZ
- Imiona ZBIGNIEW JRENA KENIG
- Imiona rodziców i nazwisko panięskie matki ZBIGNIEW JRENA KENIG
- Nazwisko panięskie (u mężatek)
- W przypadku zmiany nazwiska i imienia podać poprzednie NIE ZMIENIAŁEM ✓
- Data urodzenia 30.08
- Miejsce urodzenia POLSKA
- Narodowość POLSKIE
- Obywatelstwo POLSKIE
- Stan cywilny WOLNY — (rozwiń)
- Zawód ELEKTROTECH. SAMOCH.
- Wykształcenie — (przy studiach wyższych podać rok i kierunek studiów lub rok ukończenia i tytuł naukowy) SREDNIE OGOLNE
- Przynależność do organizacji politycznych i pełnione w nich funkcje Z. H. P.
INSTRUKTOR H. ST. SPÓŁCZYNKU
- Miejsce stałego zameldowania WARSAWA
- Obecny dokładny adres WARSAWA
- Poprzednie miejsce zamieszkania w ostatnich 2 latach
- Seria i nr dowodu osobistego AB 5069399
wydanego przez PREZYDENTA MIASTA PORNIA
dnia 26.01.1978
- Wzrost: 185
wzrost WYSOKI cm znaki szczególne NIE MA
oczu NIEBIESKIE włosy CIEPNE
- Kiedy i do jakiego kraju wyjeżdżał
1972 - NRD, 1973 - NRD, CSE
1977 - ZSR
- Czy otrzymał odmowę na wyjazd za granicę?
— kiedy NIE
— do jakiego kraju
- Do kogo wyjeżdża i na czym pozostanie utrzymaniu?
(nazwisko, data urodzenia, stopień powołania, adres, od kiedy przebywa za granicą, zawód i miejsce pracy)
NYJEZDAM N CEM
TURYSTYCZNYM
- Współmałżonek:
a) Nazwisko NIE DOTYCZY
b) Imiona
c) Imię ojca
d) Nazwisko panięskie (u mężatek)
e) Data i miejsce urodzenia
f) Narodowość
g) Obywatelstwo
h) Miejsce pracy i zajmowane stanowisko
i) Miejsce stałego zameldowania
j) Obecny dokładny adres
- Dość do lat 16 towarzyszące w wyjeździe:
(nazwisko, data i miejsce urodzenia)

*) Niepotrzebne skreślić — dot. tytułu.
**) Wypełnić drukowni wydajnie każdą literę oddzielnie.

Pa-2 (1 Pa-2.2) W Z.Graf. Zam. 8884. XXX-4. 1978 r.

PISMO Z 2 LUTEGO 1979 R. AMBASADY PRL W WIEDNIU DO WYDZIAŁU PASZPORTÓW KOMENDY STOLĘCZNEJ MILICJI OBYWATELSKIEJ INFORMUJĄCE O PRYZNANIU PASZPORTU KONSULARNEGO JEREMIASZOWI BARAŃSKIEMU.

AMBASADA
POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ
w WIEDNIU
AMBASSADE
DE LA RÉPUBLIQUE POPULAIRE DE POLOGNE
à VIENNE

Wiedn, dnia 02.02. 1979r. 24

257698

Wydział Paszportów
Komendy Stołecznej MO
Warszawa

Wv. 406/78

Wydział Konsularny Ambasady PR w Wiedniu w załączeniu zwraca paszport krajowy PB - 543834 na nazwisko Jeremiasz Barański, któremu wydaliśmy zgodnie z Waszą decyzją książeczkowy paszport konsularny XIII_0143271.

Zal. 1 paszport

Za Kierownika Wydziału Konsularnego
Józef Kozłowski
Kierownik Ambasady

Jeremian Barański
zam. Radelskystr. 4/11
1030 Wiedeń

Wiedeń, dnia 5.07.1978r.

33

Życiorys

Urodziłem się 23 listopada 1945r. w Sopocie.
Rodzice moi ojciec Zbigniew, matka Jena z domu
Kutunymśka są inwalidami wojennymi II gr., obaj
walczyli w radzieckiej partyzantce.

Od roku 1953 uczęszczałem do Szkoły Podstawowej
Nr. 4 w Sopocie i do Liceum Ogólnokształcącego
w Gdańsku - Naemcu, które ukończyłem w roku 1964.

Następnie rozpoznałem pracę jako referent Biura
transportu D-2 BM w Gdańsku, gdzie pracowałem do
1969r. W tym czasie przenieśliśmy się z żoną do
Młogoszki Sobieszki, która była właścicielką cukrowni.
Po krótkim czasie ta przedsiębiorstwa przestała do
rozwoju. Po rozwodzie przenieśliśmy się do rodziców
zamieszkałych w Hornbach ul. Koryngstana 138/1,
gdzie uczęszczałem do dwuletniego wyjazdu do Austrii.
W Hornbach pracowałem w Pracowni Obuwia H. Trepkowski
ul. Torgona 62.

W naszym czasie byłam w Nijderskiej Republice
Sudowej spotkałem moją dziewczynę „mita”
Zdzisławę Gaspar, która jest obywatelką Austrii.
Po naszym spotkaniu w NRI ukończyliśmy się
po dwa, trzy razy i więcej w następstwie.

7

Marek Karp – Wypadek na zlecenie

W piątek 13 sierpnia 2004 r. Marek Karp, założyciel Ośrodka Studiów Wschodnich i jego wieloletni dyrektor, wyjechał rano służbowym samochodem, oplem astrą, ze swojego dworu w Ludwinowie. Miał stawić się w Izbie Celnej w Białej Podlaskiej. Był też umówiony ze Zbigniewem Wassermannem, posłem Prawa i Sprawiedliwości, wiceprzewodniczącym sejmowej komisji śledczej ds. PKN Orlen. Kolejnym etapem podróży Karpa miała być Litwa, gdzie w Wilnie czekał na niego polski ambasador.

Marek Karp nie dotarł na te spotkania. Ciężarówka o białoruskich numerach rejestracyjnych wepchnęła jego samochód pod nadjeżdżającego TIR-a. Były szef OSW w stanie krytycznym trafił do szpitala, natomiast jego samochód na policyjny parking. Teczki z dokumentami, którą Marek Karp zabrał ze sobą w podróż, nigdy nie znaleziono.

Marek Karp od początku istnienia OSW miał świadomość, że Ośrodek jest solą w oku rosyjskich i białoruskich służb specjalnych. Pod koniec lat 90. zaobserwował nasilenie działań białoruskich służb specjalnych w Polsce, które w rzeczywistości są forpocztą służb rosyjskich. OSW był dla nich niewygodny ze względu na obszar działania, w którym znalazły się m.in. Kresy i Kaukaz. Te dwa obszary były (i są nadal) przedmiotem szczególnego zainteresowania Rosji. A Ośrodek Studiów Wschodnich zajmował się nie tylko analizą geopolityczną, lecz także realną pomocą niesioną mieszkańcom tych terenów.

Założyciel Ośrodka był wybitnym specjalistą z zakresu wiedzy o Litwie i Białorusi. Wielokrotnie podkreślał, że wybór Aleksandra Łukaszenki jest powrotem do dyktatury, w której służby specjalne odgrywają kluczową rolę i stanowią zagrożenie nie tylko dla samych Białorusinów, ale także dla najbliższych sąsiadów kraju, czyli Polaków. Łukaszenka za swojego najbliższego sojusznika

uważał Rosję, czego dobitnym przykładem była podpisana przez niego i Borysa Jelcyna, ówczesnego prezydenta Rosji, w grudniu 1998 r. „Deklaracja o dalszym jednoczeniu Rosji i Białorusi”. Według przedstawicieli białoruskiej opozycji Łukaszenka dopuścił się zdrady stanu podpisując ten dokument, który oznaczał popchnięcie Białorusi w objęcia Rosji i ograniczenie jej suwerenności.

Działania białoruskich służb w Polsce spotęgowały się po wyborze Władimira Putina na premiera Rosji, co miało miejsce 8 sierpnia 1999 r. W OSW była na ten temat opracowana analiza, która trafiła również do Urzędu Ochrony Państwa. Została ona zaprezentowana przez Marka Karpia na spotkaniu w Magdalence w ośrodku UOP. Szef OSW współpracował z rządem Jerzego Buzka nie tylko w zakresie analiz politycznych, ale także w sferze ekonomicznej. Z pomysłu Marka Karpia, by eksportować na Białoruś polskie kombajny górnicze z likwidowanych kopalń, sprowadzając w zamian sól potasową, skorzystało ministerstwo gospodarki kierowane przez Janusza Steinhoffa.

W końcowej fazie rządów AWS Marek Karp mówił swoim współpracownikom, że jak SLD dojdzie do władzy, to na pewno politycy lewicy zrobią wszystko, by zrezygnował z kierowania OSW, a wschodnia polityka zagraniczna ulegnie całkowitej zmianie: politycy lewicy nawiążą sojusze polityczne i gospodarcze z Rosją. Prezydentem Rosji był już Władimir Putin, były funkcjonariusz KGB, a jego najbliższym współpracownikiem Nikołaj Patruszew, także były kagiebiści. Na polecenie Putina krwawo rozprawił się on z walczącymi o wolność czeczeńskimi partyzantami, a kierowana przez niego Federalna Służba Bezpieczeństwa Rosji gorliwie wykorzystywała wszelkie możliwe sposoby, by infiltrować wrogie państwa oraz instytucje. Za taką instytucję był uważany m.in. Ośrodek Studiów Wschodnich, który swoim działaniem obejmował także Czeczenię.

Marek Karp, tuż przed wyborami prezydenckimi na Białorusi,

mówił o działających na zlecenie Łukaszenki (i za przyzwoleniem Moskwy) „szwadronach śmierci”. Ich istnienie potwierdził kilka lat temu były żołnierz specnazu, który uciekł z Białorusi. „Szwadron śmierci” powstał, by zabijać rywali politycznych prezydenta Łukaszenki. Były żołnierz opowiadał, jak Łukaszenka przed wyborami prezydenckimi w 2001 r. zlecił dowódcy specnazu, pułkownikowi Dźmitryjowi Pawluczence, utworzenie tajnej jednostki.

Najpoważniejszymi rywalami Łukaszenki w wyborach prezydenckich byli wówczas wiceszef parlamentu Witkar Hańczara i były minister spraw wewnętrznych Jurij Zacharenka. Mężczyźni zostali zabici przez „szwadron śmierci”. Istnienie „szwadronów śmierci” potwierdzają również zeznania przebywających od lat na emigracji białoruskich prokuratorów i wysokich rangą urzędników służb specjalnych.

Dojście do władzy SLD potwierdziło obawy Marka Karpia. W swoim exsposie wygłoszonym 25 października 2001 r. ówczesny premier Leszek Miller mówił, że będzie konsekwentnie działać, by pogłębić dialog między Polską a Rosją. Jedną z pierwszych podróży zagranicznych Millera była wizyta w Moskwie, gdzie spotkał się m.in. z prezydentem Władimirem Putinem, który z kolei do Polski przyjechał na początku 2002 r. Marek Karp mówił wówczas o zagrożeniach płynących ze strony putinowskiej Rosji i jej forpocztę, czyli białoruskich służb specjalnych. Sytuację komplikował fakt, że nowe kierownictwo Urzędu Ochrony Państwa nie zamierzało kontynuować linii poprzedników, czyli Zbigniewa Nowka i Janusza Pałubickiego (koordynatora ds. służb specjalnych) — pod ich rządami UOP zdemaskował 12 funkcjonariuszy Służby Wywiadu Zagranicznego Rosji, którzy zostali wydaleny z Polski pod zarzutem szpiegostwa. Zbigniew Siemiątkowski, p.o. szefa UOP, był faktycznie likwidatorem Urzędu, a swoją pracę na stanowisku zaczął od zwolnienia kilkudziesięciu funkcjonariuszy, którzy nie pochodzili z „zaciągu” lewicy, w tym tych, którzy mieli kontakty z

Ośrodkiem Studiów Wschodnich.

Obawy Marka Karpią sprawdziły się także w stosunku do niego samego. W kwietniu 2002 r. funkcjonariusze Urzędu Ochrony Państwa zatrzymali podlaskiego biznesmena Mirosława Ciełuszeckiego, którego doradcą był Marek Karp. Spółka Ciełuszeckiego, Farm Agro, zajmowała się handlem ze Wschodem. Ciełuszecki na obrzeżach Puszczy Białowieskiej wybudował terminal przeładunkowy i zaczął sprowadzać sól potasową. Interesy ze Wschodem ułatwiały zbudowane tu szerokie tory dochodzące aż z Syberii. Do Ciełuszeckiego zgłaszali się rosyjscy „biznesmeni” proponując odkupienie od niego spółki. Nie było tajemnicą, że w rzeczywistości chodziło o terminal. Ciełuszecki konsekwentnie odmawiał sprzedaży swojej firmy.

W kwietniu 2002 r., kilka dni po kolejnej wizycie rosyjskich „biznesmenów”, Ciełuszecki został aresztowany. Białostocka prokuratura zarzuciła mu oszustwo wobec własnej firmy na kwotę wielu milionów złotych. Biznesmen miał — jako osoba prywatna — kupić, a następnie odsprzedać swojej firmie, kilka działek na Białostocczyźnie. Zarzuty usłyszało także 16 innych osób, w tym Marek Karp i Włodzimierz Rembisz, profesor Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, który zasiadał w radzie nadzorczej spółki Farm Agro Planta. Zdaniem śledczych wszyscy podejrzani mieli działać na niekorzyść spółki, np. pobierając wysokie premie i honoraria za doradztwo. Po tym, jak prokuratura postawiła Markowi Karpiowi zarzuty, zrezygnował on z kierowania Ośrodkiem Studiów Wschodnich. Jego miejsce zajął Jacek Cichocki.

Zdaniem przyjaciół Marek Karp miał mówić, że utratę stanowiska „zawdzięcza” Włodzimierzowi Cimoszewiczowi, który wówczas był ministrem spraw zagranicznych i utrzymywał przyjazne kontakty zarówno z przedstawicielami reżimu Łukaszenki, jaki i z administracją Putina. O co dokładnie Markowi Karpiowi chodziło — można się jedynie domyślać. Wiadomo, że w tle była m.in. przeszłość Cimoszewicza, który według dokumentów znajdujących się w Instytucie Pamięci Narodowej został

zarejestrowany jako tajny współpracownik komunistycznych służb specjalnych o pseudonimie „Carex” (kompilacja słów car i król).

Działalność Marka Karpią była krytykowana przez SLD i sprzyjające Sojuszowi media. Lewicowa „Trybuna” wykorzystwała prokuratorskie śledztwo przeciwko szefowi OSW do ataku na środowisko Jana Rokity i Platformy Obywatelskiej, której Karp był ekspertem.

Akt oskarżenia przeciwko Markowi Karpiowi i pozostałym podejrzanym w sprawie spółki Farm Agro Planta został skierowany do sądu w maju 2004 r., za rządów SLD. Śledczy uznali, że Marek Karp wyłudził, razem z Ciełuszeckim, pieniądze z firmy biznesmena: blisko 160 tysięcy złotych za strategiczne doradztwo dotyczące rozwoju współpracy gospodarczej Farm Agro ze Wschodem. Sprawa do 2013 r. nie została zakończona. Firma Mirosława Ciełuszeckiego została przejęta przez poznańskiego biznesmena, który odgrywał kluczową rolę w śledztwie dotyczącym mafii paliwowej. Należące do niego spółki rozpoczęły współpracę z rosyjskim Łukoilem na terenie terminala przejętego po Farm Agro Planta.

Oskarżenie byłego szefa OSW nie zakończyło jego kłopotów ze służbami specjalnymi, wręcz przeciwnie. W najlepsze trwały kontrole nasyłane przez Urząd Skarbowy oraz Izbę Celną, m.in. w związku z zakupami w Holandii jałówek, które trafiły do gospodarstwa rolnego Marka Karpią (obok dworu w Ludwinowie).

Były szef OSW, pracujący w Ośrodku jako zwykły pracownik, został wezwany przez Izbę Celną w Białej Podlaskiej na przesłuchanie, którego termin został wyznaczony na 13 sierpnia 2004 r.

Gdy Marek Karp jechał do siedziby Izby Celnej, kierowany przez niego samochód został wepchnięty pod nadjeżdżającego TIR-a przez ciężarówkę o białoruskich numerach rejestracyjnych, która wiozła do Czech 20 ton cementu. Pojazdem kierował Białorusin Siergiej Zhuk (czyt. Żuk).

Na miejscu wypadku niemal natychmiast pojawili się ludzie i policja. A także dziennikarze z Polskiego Radia Lublin i operator TVP. Marek Karp przeżył wypadek. Był na tyle przytomny, by złożyć zeznania przesłuchującemu go policjantowi. Gdy przetransportowano go do szpitala w Białej Podlaskiej, jego stan się pogorszył. Lekarze, wcześniej powiadamiając o wypadku żonę Karpia, skierowali go na intensywną terapię. Poprzez wstawiennictwo szefostwa Ośrodka Studiów Wschodnich Marek Karp został przetransportowany śmigłowcem do Centralnego Szpitala MSW w Warszawie.

Marek Karp mimo bardzo poważnych obrażeń (złamane nogi i żebra; obrażenia krtani i brzucha) szybko dochodził do zdrowia. Przyjaciele i znajomi, którzy odwiedzali go w szpitalu, mówili o jego świetnej formie i planach, które snuł na przyszłość. Planował podróż do Armenii, miał także jechać na Litwę i Białoruś. Niepodziwianie w niedzielę 12 września 2004 r. Marek Karp poczuł się źle. Lekarze nie zdołali go uratować. Oficjalną przyczyną śmierci jest zator tętnicy płucnej.

Przesłuchiwanie współpracownicy byłego szefa OSW zeznali, że podczas pobytu w szpitalu podawano mu silne leki narkotyczne, po których miał stany lękowe. Nie dowiedzieli się, dlaczego sekcja zwłok Marka Karpia została przeprowadzona dopiero 20 września, osiem dni po śmierci, która nastąpiła w szpitalu. Przeprowadzenie specjalistycznych badań na obecność niektórych leków, środków odurzających i trucizn, które mają szybki proces rozpadu, było niemożliwe ze względu na odległy termin sekcji, podczas której pobrano materiał biologiczny do badań. Prowadzone śledztwo dotyczące m.in. uchybień lekarzy, zostało umorzone.

Z akt śledztwa dotyczącego wypadku i śmierci Marka Karpia, które prowadzili prokuratorzy z Wydziału ds. Zwalczania Przestępczości Zorganizowanej Prokuratury Apelacyjnej w Lublinie wynika, że Marek Karp obawiał się o swoje życie. W dokumentach znajdują się m.in. protokoły przesłuchań Jacka Cichockiego, ówczesnego szefa

OSW, Bartłomieja Sienkiewicza, przyjaciela Marka Karpia, Zbigniewa Wassermanna, posła Prawa i Sprawiedliwości, wiceprzewodniczącego sejmowej komisji śledczej ds. PKN Orlen, Konstantego Miodowicza, posła Platformy Obywatelskiej, członka komisji orlenowskiej, Jana Marii Rokity, posła PO, Macieja Huni, szefa departamentu kontrwywiadu ABW.

Marek Karp po raz pierwszy spotkał się ze Zbigniewem Wassermannem w Ośrodku Studiów Wschodnich na początku lipca 2004 r. z inicjatywy wiceprzewodniczącego komisji śledczej ds. PKN Orlen. Wassermann prosił o pomoc. Chodziło głównie o ekspertyzy dotyczące wschodniego rynku paliwowego. Następny kontakt mężczyzn miał miejsce 10 sierpnia. Karp mówił o materiałach, które mogą się przydać w pracach komisji i które dotyczyły człowieka znanego w branży paliwowej. Karp powiedział Wassermanowi, że czuje się zagrożony, ale nie podał konkretów. Umówili się na spotkanie 13 sierpnia, na którym Marek Karp miał przekazać posłowi PiS szczegółowe informacje i dokumenty. Do tego spotkania już nie doszło.

Maciej Hunia, szef departamentu kontrwywiadu ABW, potwierdził że doszło do spotkania w Magdalence, na którym w ośrodku ABW byli przedstawiciele OSW, w tym także Marek Karp.

Z kolei Jacek Cichocki, który w 2000 r. został wicedyrektorem OSW dzięki rekomendacji Bartłomieja Sienkiewicza, opowiedział prokuratorom o kulisach dymisji Marka Karpia. Odszedł on ze stanowiska po rozmowie z wicepremierem w rządzie SLD Jerzym Hausnerem, ministrem gospodarki, który nie chciał, by OSW był kierowany przez osobę, wobec której toczy się prokuratorskie śledztwo. Marek Karp uważał, że przed jego dymisją Jerzy Hausner dostał od ABW notatkę, która była faktycznym powodem jego zwolnienia. Według Cichockiego w lutym 2004 r. OSW zaprezentował w ośrodku ABW w Magdalence raport na temat Rosji. Na spotkaniu obecny był także Marek Karp. Podkreślał, że Rosja staje się coraz groźniejsza i coraz śmielej sobie poczyną wobec Polski. Karp nie chciał jeździć do Rosji. Mówił także o

przypadkach kradzieży pasz, mleka, wylewaniu paliwa z maszyn i ich niszczeniu przez nieznanych sprawców w jego gospodarstwie w Ludwinowie. Kilka miesięcy przed wypadkiem przyznawał, że obawia się ataku na siebie. Brał pod uwagę także to, że za jego problemami mogą stać obce służby. Marek Karp obawiał się dezintegracji OSW przez wywiad rosyjski. O tych obawach Karpia mówił m.in. Konstanty Miodowicz, który był zaprzyjaźniony z szefem OSW i z którym bardzo często się spotykał. Z kolei Jan Maria Rokita przypuszczał, że wypadek może być zemstą białoruskich służb specjalnych za działania prowadzone przez Marka Karpia w OSW.

W dniu wypadku Marek Karp podwoził w kierunku granicy dwóch Rosjan, którzy u niego nocowali. Wysadził ich przy obwodnicy i pojechał dalej. Kilkanaście minut później białoruska ciężarówka wepchnęła jego samochód pod TIR-a. Śledztwo w sprawie wypadku Marka Karpia początkowo prowadziła Prokuratura Rejonowa w Białej Podlaskiej. Widać, że nie sprawdzono wszystkich tropów. Nie wiadomo na przykład, kim był mężczyzna, który podając się za przedstawiciela mediów, wypytywał policjantów przed komendą w Białej Podlaskiej, czy Karp padł ofiarą zamachu i czy przeżył. Do końca nie wiadomo również, dlaczego prokurator, który przesłuchiwał Białorusina Siergieja Zhuka, kierowcę kamaza, i postawił mu zarzuty, pozwolił mu wyjechać na Białoruś niestosując wobec niego żadnego środka zapobiegawczego. Naoczni świadkowie twierdzili, że wypadek wyglądał na egzekucję: białoruska ciężarówka nie hamowała, mimo że opel na jej pasie był dobrze widoczny (kierował nim Karp).

Z dokumentów wynika, że Siergiej Zhuk pracował w firmie Rising, której siedziba znajdowała się w gmachu Instytutu Fizyki Doświadczalnej Państwowej Akademii Nauk Białorusi. Już po śmierci Marka Karpia pytani o Zhuka przedstawiciele Risinga stwierdzili, że został zwolniony z firmy po wypadku. Nie było go także pod adresem, który wskazał w polskiej prokuraturze.

Kolejnym tropem było ekskluzywne, rządowe sanatorium na Litwie, gdzie leczyły się dzieci członków administracji rządowej Białorusi. Wiadomo, że był tam także leczony syn Zhuka. W aktach śledztwa znajdują się wnioski o pomoc prawną skierowane do białoruskiego ministerstwa sprawiedliwości, które w efekcie okazały się bezskuteczne. Siergiej Zhuk nigdy nie stawiał się na rozprawy sądowe i dlatego wyrok, który zapadł, został zasądzony w trybie zaocznym. Sąd Rejonowy w Białej Podlaskiej skazał go na 800 zł grzywny i rok więzienia w zawieszeniu na trzy lata. Siergiej Zhuk do Polski więcej nie przyjechał.

8

Krzysztof Olewnik

– Prawda kiedyś
wyjdzie na jaw

Sprawa uprowadzenia i zabójstwa Krzysztofa Olewnika, syna potentata branży mięsnej, należy do najbardziej zagadkowych w historii polskiej kryminalistyki. Już po prawomocnym wyroku, w którym kary wieloletniego więzienia usłyszeli sprawcy zbrodni, okazało się, że przebieg zdarzeń wyglądał najprawdopodobniej zupełnie inaczej, niż przedstawiono w śledztwie, które doprowadziło do skazania porywaczy. Nie wyjaśniono również powodów, dla których zginęli w areszcie trzech porywacze biznesmena. Jakby tego było mało, pojawia się wersja, że związany ze sprawą Krzysztofa Olewnika Maciej Książkiewicz, były komendant płockiej policji, który zmarł w 2003 r. i którego ciało skremowano, w rzeczywistości żyje. A w tle całej sprawy są ogromne pieniądze, służby specjalne, biznesmeni zza wschodniej granicy i nazwiska polityków z pierwszych stron gazet, w tym prezydenta Bronisława Komorowskiego, z którym — według nieoficjalnych informacji — Włodzimierz Olewnik znał się ze wspólnych polowań.

Trwające latami śledztwo, komisja śledcza i dziennikarskie dochodzenia nie odpowiedziały na pytanie, co się naprawdę stało w willi w Świerczynku na przedmieściach Drobina. Co się wydarzyło w domu Krzysztofa Olewnika z 26 na 27 października 2001 r. i później? Wiadomo, że w noc porwania w domu biznesmena odbyła się impreza, na której bawili się policjanci z Komendy Wojewódzkiej Policji w Płocku.

27 października 2001 r. Włodzimierz Olewnik usiłował dodzwonić się do swojego syna, z którym rozmawiał dzień wcześniej. Po wielu nieudanych próbach skontaktował się z Jackiem K., współnikiem Krzysztofa Olewnika, i poprosił go o sprawdzenie, co się dzieje. Jacek K. szybko oddzwonił: przyjeżdżajcie, stało się coś niedobrego.

Dom był otwarty. W salonie znajdowały się ślady krwi i walki. Rodzina Krzysztofa zawiadomiła policję. Funkcjonariusze w okolicach Zgierza znaleźli spalone BMW, które zginęło z garażu biznesmena. Dwa dni później do rodziców zadzwonił Krzysztof. Powiedział, że został porwany i że porywacze żądają okupu: 300 tysięcy dolarów. Pieniądze rodzina wozila kilkanaście razy. Porywacze puszczała przez telefon nagrane instrukcje, które odczytywał Krzysztof Olewnik. To dla rodziny był znak, że on żyje. W wyznaczonych miejscach rodzina znajdowała napisane przez Krzysztofa listy z kolejnymi instrukcjami, na których były wskazówki, gdzie i kiedy zostawić pieniądze. Nie wiadomo, dlaczego okup nie był odbierany. Niewykluczone, że przestępcy sprawdzali, czy w sprawę jest zaangażowana policja.

W styczniu 2003 r. Włodzimierz Olewnik dostał anonim. Były w nim podane nazwiska porywaczy: Ireneusza Piotrowskiego i Roberta Pazika oraz informacja, że Krzysztof jest przetrzymywany w okolicach Nowego Dworu. List został przekazany prokuraturze, która z zawartymi w nim informacjami niczego nie zrobiła.

W czerwcu 2003 r., po kilku miesiącach milczenia, porywacze po raz kolejny skontaktowali się z rodziną. Puścili nagranie, na którym rodzice rozpoznali głos syna i zażądali 300 tysięcy euro. Podwyższenie kwoty okupu miało być karą dla rodziny za „nieposłuszeństwo”, czyli powiadomienie policji.

24 lipca 2003 r. pieniądze we wskazane miejsce w Warszawie zawiozła siostra Danuta Olewnik-Cieplińska z mężem drugiej siostry Krzysztofa. Zgodnie z instrukcjami tuż przed północą torbę z pieniędzmi zrzucili z trasy szybkiego ruchu w ściśle określonym miejscu. Znajdował się tam wywiercony w ekranie dzwiskochłonnym otwór — torba spadła na ulicę osiedlową na warszawskich Bielanych.

Po latach okazało się, że policjant — Maciej L., który miał nadzorować w roku 2003 przekazanie okupu za Krzysztofa Olewnika — nie widział samego zdarzenia, bo na miejsce przyjechał pięć minut po zajściu. Tłumaczył, że utknął na osiedlowych

uliczkach. Nie przeprowadził też natychmiastowych oględzin miejsca przekazania pieniędzy (jak później zeznał w prokuraturze: „ze względu na nocną porę i bezpieczeństwo uprowadzonego”), a dokumentację miejsca przekazania okupu sporządził trzy dni później. Jakby tego było mało, Danuta Olewnik-Cieplińska została przesłuchana dopiero trzy tygodnie po całym zdarzeniu.

Mimo przekazania pieniędzy Krzysztof Olewnik nie wrócił do domu. Ostatni raz głos syna Włodzimierz Olewnik usłyszał we wrześniu 2003 r. Nagranie puszczone mu przez telefon. Ze słów Krzysztofa wynikało, że wie on o przekazaniu okupu. Później okazało się, że wkrótce po tej rozmowie — 5 września 2003 r. — Krzysztof został zamordowany.

Pół roku po przekazaniu pieniędzy, w czerwcu 2004 r., do Warszawy służbowym, nieoznakowanym radiowozem przyjechali policjanci z mazowieckiej komendy policji, Grzegorz J. i Maciej L. (ten sam, który rok wcześniej nadzorował przekazanie okupu). Funkcjonariusze mieli ze sobą 16 tomów akt sprawy dotyczącej porwania Krzysztofa Olewnika. Zostawili je „na chwilę” w samochodzie i weszli do jednego z warszawskich komisariatów. Gdy wyszli — po samochodzie nie było śladu. Do dziś nie wiadomo, co się stało z aktami sprawy.

Rodzina Olewników niemal od samego początku zniknięcia Krzysztofa interweniowała, gdzie tylko było to możliwe: angażowała znajomych policjantów, ich przełożonych, polityków, z którymi Włodzimierz Olewnik utrzymywał kontakty.

Z akt śledztwa wynika, że jednym z pierwszych polityków, z którym skontaktował się Włodzimierz Olewnik, był Bronisław Komorowski. Jako były minister obrony narodowej miał pomóc w ustaleniach u operatora danych telefonu, którym posługiwali się porywacze.

Według nieoficjalnych informacji Włodzimierz Olewnik znał się z nim ze wspólnych polowań, na które jeździł z policjantami z KWP Płock, m.in. Maciejem Książkiewiczem, szefem komendy, który był

zapalonym myśliwym i należał do Koła Łowieckiego Leśnik w Łącku.

Dane telefonu rzeczywiście zostały ustalone, ale Remigiusz M. — szef grupy policjantów z płockiej KWP, badającej sprawę uprowadzenia biznesmena — błędnie wpisał ostatnią cyfrę numeru identyfikującego, co znacznie opóźniło dochodzenie.

Rodzina Krzysztofa prosiła o pomoc także Andrzeja Piłata, posła SLD z okręgu płockiego, ministra infrastruktury, który skontaktował rodzinę Krzysztofa ze swoimi partyjnymi kolegami.

Danuta Olewnik-Cieplińska została przyjęta na rozmowy przez Ryszarda Kalisza, ówczesnego ministra spraw wewnętrznych i administracji, oraz Marka Sadowskiego, ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Po tej rozmowie sprawa, we wrześniu 2004 r., trafiła do Wydziału VI ds. Przestępczości Zorganizowanej Prokuratury Okręgowej w Warszawie. Prowadzący postępowanie Radosław Wasilewski zaangażował do śledztwa funkcjonariuszy Centralnego Biura Śledczego Komendy Głównej Policji.

Przełomem w dochodzeniu okazało się złożone w grudniu 2005 r. zeznanie mechanika samochodowego Piotra Skwarskiego. Policjanci z CBS analizując billingi telefoniczne natrafili na jego numer telefonu. Po zebraniu danych o Skwarskim okazało się, że jeździ on czerwonym peugotem (jeden ze świadków zeznał, iż widział taki właśnie samochód w noc porwania niedaleko domu Krzysztofa Olewnika). Policjanci, chcąc zebrać ślady z auta, zażądali od Skwarskiego wydania samochodu. Mechanik zeznał, że auto wcześniej należało do Sławmoira Kościuka, który w 2002 lub 2003 r. przyjechał do niego razem z Wojciechem Franiewskim. Z tyłu samochodu leżał skrępowany mężczyzna. Odjechali, gdy Skwarski nie zgodził się na przetrzymywanie „towaru” (jak to określił Kościuk). Po kilku dniach bandyta ponownie przyjechał do Skwarskiego i polecił spalić auto. Mechanik tego nie zrobił: przespawał tabliczki z innego samochodu i zarejestrował auto na żonę.

Zeznania Skwarskiego okazały się przełomem. Na drugi dzień, 3

listopada 2005 r., został zatrzymany Sławomir Kościuk, a tydzień później Wojciech Franiewski, herszt całej grupy. Po dwóch kolejnych miesiącach, 12 grudnia 2005 r., niespodziewanie zmarł Piotr Skwarski. Jako oficjalną przyczynę zgonu podano atak serca.

13 czerwca 2006 r., decyzją ówczesnego prokuratora krajowego Janusza Kaczmarka, sprawa trafiła do Prokuratury Okręgowej w Olsztynie. Pięć lat po zniknięciu biznesmena, 28 października 2006 r., Ireneusz Kościuk wskazał miejsce ukrycia zwłok Krzysztofa Olewnika.

W trakcie śledztwa 19 czerwca 2007 r. w celi aresztu śledczego w Olsztynie powiesił się Wojciech Franiewski. Pół roku przed śmiercią Franiewski pisał do sądu: „Boję się, że znajdą mnie powieszzonego w celi”. Sporządził również szczegółowy testament. Przeprowadzone po śmierci badania toksykologiczne krwi Franiewskiego wykazały obecność alkoholu i amfetaminy. Według opinii biegłych spożycie alkoholu oraz zażycie narkotyku prawdopodobnie nastąpiło na terenie aresztu. Możliwe, że zabronione środki zostały dostarczone osadzonemu przez służbę więzienną. Istotne jest również to, że kilka godzin przed śmiercią Franiewski był przesłuchiwany poza aresztem przez funkcjonariuszy Centralnego Biura Śledczego.

Po śmierci Franiewskiego biegły z zakresu medycyny sądowej napisał w swojej opinii: „Sposób przeprowadzenia samobójstwa świadczy o świetnej znajomości anatomii człowieka. Pętla posiadała związane dwa supły (praktyka niespotykana). Osadzony w ten sposób uniknął reakcji obronnych, nie szamotał się”.

Kilka lat później okazało się, że w akcie zgonu Wojciecha Franiewskiego podano nieprawdziwą godzinę śmierci. Ujawnił to lekarz pogotowia, który zeznał, że do wpisania nieprawdy zmusili go więzienni strażnicy. Jednego z nich dwa lata później znaleziono powieszzonego na przydrożnym drzewie — miał on popełnić samobójstwo z powodu depresji.

Proces Roberta Pazika i Sławomira Kościuka, zabójców

Krzysztofa Olewnika, zakończył się skazaniem ich na karę dożywocia. Pozostali porywacze i członkowie grupy Franiewskiego: Ireneusz Piotrowski, Piotr Sokołowski, Artur Rechul, Stanisław Owsianko, Cezary Witkowski, Grzegorz Owsianko i Artur Sobolewski zostali skazani na kary wieloletniego więzienia.

Rok po śmierci Franiewskiego, 4 kwietnia 2008 r., w celi Zakładu Karnego w Płocku znaleziono ciało Sławomira Kościuka. Wisiał w kącie sanitarnym na prześcieradle przymocowanym do kraty, w miejscu poza zasięgiem umieszczonej w celi kamery. Podczas sekcji zwłok we krwi Kościuka znaleziono ilość psychotropów określaną przez biegłych jako toksyczną. Miał też kilka złamanych żeber oraz otarcia na przedramionach. Według opinii okręgowego szefa służby więziennej, Kościuk miał skłonności do autoagresji, był w złym stanie psychicznym, przyjmował leki psychotropowe i nie powinien zostać umieszczony w pojedynczej celi. Opinia ta trafiła do płockiego więzienia z poprzedniego zakładu karnego, w którym przebywał Kościuk. I mimo wyraźnych ostrzeżeń została zignorowana.

W styczniu 2009 r., także w płockim więzieniu, znaleziono powieszzonego kolejnego zabójcę biznesmena, Roberta Pazika. Był on traktowany jako więzień niebezpieczny i początkowo karę odbywał w Zakładzie Karnym w Sztumie. 9 stycznia 2009 r. został przewieziony do Zakładu Karnego w Płocku, ponieważ przed sądem w Sierpcu miał być przesłuchany jako oskarżony w procesie o rozboje i wymuszenia. Według jego bliskich miał wtedy stwierdzić, że to przewiezienie będzie dla niego wyrokiem śmierci. Pazik przebywał w pojedynczej, monitorowanej celi, którą nadzorował specjalnie wyznaczony funkcjonariusz. Powieszzonego zabójcę znaleziono, podobnie jak Kościuka, w niemonitorowanym sanitarnym kącie. Badanie toksykologiczne zwłok Pazika wykazało obecność w jego krwi leków psychotropowych, których wcześniej nie przyjmował. Śmierć Pazika stała się przyczyną dymisji Zbigniewa Ćwiąkalskiego, ówczesnego prokuratora generalnego i ministra sprawiedliwości.

W 2008 r. śledztwo w sprawie uprowadzenia i śmierci Krzysztofa Olewnika zostało przeniesione do wydziału ds. zwalczania przestępczości zorganizowanej gdańskiej prokuratury. Od tego momentu pojawiły się zupełnie nowe fakty: znaleziono ślady krwi w domu biznesmena i sporządzono ekspertyzę zapisu rozmowy między rodziną Olewników a porywaczami, która odbyła się kilka miesięcy po porwaniu, w styczniu 2002 r., w czasie gdy Krzysztof Olewnik miał być więziony. W tle rozmowy pojawia się głos instruujący porywaczy. Biegli orzekli, że instrukcji udzielał Krzysztof Olewnik, a rozmowa przeprowadzona została w centrum Warszawy. Prokuratorzy dysponują też zeznaniami świadków, którzy utrzymują, że widzieli Krzysztofa Olewnika już po jego porwaniu w okolicznościach, które wskazywały, że nie jest on przez nikogo przetrzymywany siłą.

W trakcie postępowania prowadzonego przez gdańskich śledczych wyszły na jaw nieprawidłowości popełnione przez policję i prokuratorów. Prokuratura oskarżyła dwóch policjantów pracujących przy sprawie porwania o niedopełnienie obowiązków, które naraziły Krzysztofa Olewnika na utratę życia, oraz pracowników laboratorium kryminalistycznego w Olsztynie, gdzie badano jego ciało. Śledczy z powodu przedawnienia umorzyli natomiast postępowania wobec 24 prokuratorów, którzy zajmowali się sprawą. Oskarżeni policjanci to Remigiusz M. — szef grupy operacyjno-dochodzeniowej, która od października 2001 r. do sierpnia 2004 r. badała sprawę porwania, oraz Maciej L., który pracował w tej grupie. Zdaniem śledczych policjanci nienależycie zabezpieczyli miejsce przekazania okupu porywaczom 24 lipca 2003 r. w Warszawie, przedwcześnie i bezzasadnie odstąpili od obserwacji. Zdaniem prokuratorów oskarżeni nie przeprowadzili natychmiastowych oględzin miejsca przestępstwa, co mogło doprowadzić do utraty śladów kryminalistycznych. Nie skorzystali też z wielu informacji, jakie pojawiały się w śledztwie, zbyt późno i niedokładnie zbadali połączenia telefoniczne wykonane w lipcu 2003 r. z aparatu używanego przez porywaczy do kontaktu z

rodziną Olewnika. I na dodatek pochoinnie zniszczyli nagrania rozmów telefonicznych z podsłuchów założonych w czasie śledztwa.

Akt oskarżenia został skierowany także przeciwko pracownikom laboratorium kryminalistycznego: wobec szefowej laboratorium Jolanty D. oraz biegłego medycyny sądowej Bogdana Z. Zarzuty dotyczą wykonanych przez nich w październiku 2006 r. w olsztyńskim laboratorium badań DNA zwłok Krzysztofa Olewnika. Według śledczych pracownicy laboratorium pobrali do badań trzy fragmenty kości: z ramienia, biodra i uda. Dwie próbki wykazały zgodność DNA z kodem genetycznym Olewnika, natomiast jedna wykazała inny od pozostałych profil. W tej sytuacji ekspertyzy powinny zostać powtórzone, czego nie zrobiono. Poza tym w wynikach badań zatajono sam fakt odmienności profilu jednej z próbek.

Oprócz sfałszowania wyników badań prokuratorzy zarzucili też pracownikom laboratorium niedopełnienie obowiązków. Zarzut ten ma związek z zaginięciem fragmentów kości badanych w 2006 r., do czego przyczynił się niewłaściwy nadzór nad dowodami rzeczowymi. Zatajone rozbieżności w ekspertyzie powstałej w 2006 r. w Olsztynie spowodowały, że na początku 2010 r. gdańska Prokuratura Apelacyjna — na wniosek rodziny — zdecydowała się przeprowadzić ekshumację zwłok Olewnika. Dopiero wyniki badań próbek pobranych po ekshumacji potwierdziły ostatecznie tożsamość ofiary.

Nie znaleziono natomiast winnych zalania bezcennych materiałów ze śledztwa. W 2008 r. 231 dowodów rzeczowych w budynku komendy wojewódzkiej policji w Olsztynie zalały fekalia z pękniętej rury kanalizacyjnej. Całkowitemu zniszczeniu uległy m.in. odciski palców zabezpieczone na przedmiotach z domu ofiary, materiały z oględzin domu Olewnika, zdjęcia, włos znaleziony na miejscu zbrodni. Olsztyńska prokuratura, która prowadziła śledztwo w tej sprawie, umorzyła postępowanie uznając, że całe zdarzenie było „wypadkiem losowym”.

W sprawie Krzysztofa Olewnika pojawia się nazwisko Macieja Książkiewicza, byłego komendanta plockiej policji. Karierę zaczął jeszcze w Milicji Obywatelskiej w latach 60. Absolwent Akademii Spraw Wewnętrznych, członek PZPR, szybko pokonywał kolejne szczeble kariery. Na początku lat 90. miał zostać komendantem głównym policji, ale na przeszkodzie stanęła jego przeszłość — chodziło o zwalczanie opozycji. Nie przeszkodziło mu to jednak w karierze na szczeblu lokalnym. W latach 90. był najważniejszym policjantem w Płocku, a Włodzimierz Olewnik, ojciec Krzysztofa — potentatem branży mięsnej w całym województwie.

Maciej Książkiewicz miał rozległe kontakty z politykami SLD, był także bardzo blisko związany z Romanem Kurnikiem (jego nazwisko pojawia się w sprawie Marka Papały, zob. rozdział 3), byłym funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa, doradcą Zbigniewa Sobotki — sekretarza stanu, który w MSWiA odpowiadał za policję.

Książkiewicz nadzorował sprawę porwania Krzysztofa Olewnika aż do swojego odejścia na emeryturę w 2002 r. Rok później zmarł w swojej rezydencji.

Prawdopodobnie nikt by się nie zainteresował Książkiewiczem, gdyby nie fakt, że śledztwo w sprawie uprowadzenia Olewnika trafiło do gdańskiej prokuratury. I wtedy wybuchła bomba: prokuratorzy i funkcjonariusze CBA ustalili, że nie jest możliwe, by z policyjnych dochodów Książkiewicz i jego żona zbudowali dom o powierzchni 400 metrów kwadratowych i kupili ponad 8 hektarów ziemi pod Płockiem.

Okazało się również, że śmierć Książkiewicza budzi wątpliwości prokuratorów. Na miejsce nie została wezwana policja, nie było sekcji, nie wiadomo, dlaczego tak szybko skremowano zwłoki. Mimo tych wątpliwości gdańska prokuratura umorzyła śledztwo w sprawie śmierci komendanta.

Znajomi komendanta są przekonani, że jego śmierć była sfingowana. „Pojawiają się informacje, że na stałe mieszka on za wschodnią granicą i regularnie przylatuje tu prywatnym samolotem

— lądowisko znajduje się na polanie niedaleko jego rezydencji. Zaskakujące było też, że po śmierci Książkiewicza rodzina zachowywała się tak, jakby nikt nie umarł” — relacjonuje jeden ze znajomych komendanta.

Sejmowa komisja śledcza, która badała sprawę uprowadzenia i zabójstwa Krzysztofa Olewnika, zwróciła uwagę na propozycje biznesowe, które Maciej Książkiewicz składał Włodzimierzowi Olewnikowi. Zastępca komendanta mazowieckiej policji już na pierwszym spotkaniu dał mu swoje wizytówki, mówiąc: „Pokażesz — mandatu nie zapłacisz”. I zaproponował spotkanie w biurze biznesmana. Maciej Książkiewicz wielokrotnie proponował Włodzimierzowi Olewnikowi wspólne interesy, m.in. pomoc w zakupie zakładów mięsnych w Płocku po atrakcyjnej cenie.

Z akt śledztwa wynika, że Książkiewicz był bardzo zainteresowany przejęciem zakładów mięsnych na warszawskim Służewcu i chciał je przejąć przez kogoś wiarygodnego. Jego zdaniem najlepszą osobą byłby Włodzimierz Olewnik. Gdy ten odrzucił propozycję, Maciej Książkiewicz się odgrażał: „Ten ch... znowu się nie zgodził i to była jego ostatnia szansa i mu tego nie daruję”. Z materiałów zgromadzonych przez prokuratorów wynika, że Maciej Książkiewicz stworzył sieć nieformalnych, korupcyjnych związków biznesowych, z których czerpał korzyści. W ten układ chciał także włączyć Włodzimierza Olewnika. Jak się jednak okazało — bezskutecznie.

Maciej Książkiewicz od samego początku nadzorował pracę policyjnej grupy, która zajmowała się sprawą uprowadzenia Krzysztofa Olewnika. W trakcie prac komisji śledczej okazało się, że policjant podejmował decyzje co najmniej kontrowersyjne. Jeden z podwładnych Książkiewicza zeznał przed komisją śledczą, że komendant osobiście wydał mu polecenie napisania decyzji o włączeniu naczelnika Kazimierza Kuchty do grupy śledczej, mimo że był on w tej sprawie świadkiem (jako uczestnik imprezy, po której uprowadzono Krzysztofa Olewnika) i był ostatnim, który widział Krzysztofa Olewnika przed porwaniem, gdy ten odwoził go

do domu po imprezie.

„Jako doświadczony policjant miał bezsprzecznie świadomość, że przystępując do grupy narusza podstawowe zasady pracy policyjnej. W tym czasie grupa operacyjno-śledcza zlekceważyła informację o Paziku oraz Piotrowskim jako osobach mogących mieć związek z uprowadzeniem Krzysztofa Olewnika, a skupiła się na jego poszukiwaniu utrzymując, że porwanie jest upozorowane” — podkreślili posłowie z komisji śledczej w swoim sprawozdaniu.

W trakcie śledztwa i prac komisji śledczej okazało się, że policjanci ze sprawy Olewnika mieli „niepokojące relacje z biznesmenami budowane na kanwie wspólnych zainteresowań”. Jako przykład można podać bliskie relacje funkcjonariuszy z Victorem Konakovem, ukraińskim biznesmenem, który często bywał na komendzie.

Victor Konakov był kontrahentem Krupstalu, spółki Krzysztofa Olewnika i Jacka Krupińskiego. Zarejestrowana w Płocku firma zajmowała się obrotem stali na szeroką skalę, w tym także ze wschodnimi rynkami, m.in. Ukrainą i Rosją.

Należąca do Victora Konakova płocka firma New Holland była największym odbiorcą stali od spółki Krupstal. W związku ze wspólnymi interesami było nawet prowadzone śledztwo dotyczące nielegalnego obrotu stalą, które ostatecznie zostało umorzone.

O Konakovie niewiele wiadomo, choć interesy w Polsce prowadzi od kilkunastu lat. To były żołnierz spadochronowej dywizji szturmowej wojsk radzieckich, brał udział m.in. w sowieckiej agresji na Afganistan. Po upadku ZSRR zajął się biznesem: miał firmę w Płocku, Warszawie, działał na terenie krajów dawnego Związku Radzieckiego. Konakov znał się doskonale nie tylko z policjantami, ale także z lokalnymi biznesmenami, i to nie tylko z racji wspólnych interesów. Z Krzysztofem Olewnikiem łączyły go także relacje towarzyskie. Co ukraiński biznesmen naprawdę wie na temat porwania Krzysztofa? Nie wiadomo, ponieważ wypowiadał się na ten temat niezwykle lakonicznie.

„Liczymy na to, że prawda kiedyś wyjdzie na jaw, że dowiemy się, co się naprawdę stało” — mówiła w 2010 r., po kolejnym posiedzeniu sejmowej komisji śledczej, siostra Krzysztofa, Danuta Olewnik-Cieplińska.

Mimo upływu lat, sprawa uprowadzenia i śmierci płockiego biznesmena nadal pozostaje nierozwiązana.

9

Grzegorz Michniewicz

**– Śmierć w kancelarii
premiera**

Dzień przed Wigilią 2009 r. w podwarszawskim Głoskowie zjawiała się rządowa limuzyna. Kierowca Edmund A. przyjechał po Grzegorza Michniewicza, dyrektora generalnego Kancelarii Premiera. Czekał kilkanaście minut przed willą swojego szefa, a gdy nikt nie wychodził, skontaktował się z bratem Grzegorza Michniewicza. Ustalili, że kierowca użyje zapasowych kluczy i wejdzie do domu. Tak też się stało. Kierowca w jednym z pomieszczeń znalazł swojego szefa bez oznak życia. Natychmiast zawiadomił policję. Funkcjonariusze przyjechali na miejsce z lekarzem, który stwierdził zgon dyrektora generalnego Kancelarii Premiera.

Śmierć jednego z najważniejszych polskich urzędników, który posiadał certyfikat dostępu do najtajniejszych danych, wzbudziła ogromne zainteresowanie mediów. Dziennikarze przepytali najbliższych współpracowników i przyjaciół Michniewicza. Odtworzyli ostatnie dni jego życia. Dotarli do jednego z najbliższych przyjaciół, z którym dyrektor generalny Kancelarii Premiera rozmawiał tuż przed śmiercią. Wniosek nasuwał się tylko jeden: nic nie wskazywało na to, że samobójstwo zostało zaplanowane.

To samo wynikało z zeznań świadków przed prokuraturą. Przesłuchani pracownicy Kancelarii Premiera oraz najbliższa rodzina jednoznacznie stwierdzili, że Grzegorz Michniewicz miał dokładnie zaplanowany czas do końca roku. 23 grudnia miał jechać do Białogardu, gdzie przebywała jego żona, by razem z nią i jej rodziną spędzić święta. Wcześniej wypełnił wniosek urlopowy, kupił też świąteczne prezenty. Późnym wieczorem 22 grudnia przygotował się do planowanego wyjazdu.

„22 grudnia Grzegorz Michniewicz mówił, że następnego dnia będzie tylko do godz. 14, bo jedzie na święta. Według mnie nic kompletnie nie wskazywało na to, że on może pozbawić się życia.

Chcę na zakończenie dodać, że ja nie wierzę, aby on popełnił samobójstwo” — zeznała Paulina T., podwładna Michniewicza. Inni pracownicy zeznali, że ich szef był pogodny, rozmawiał z nimi o planach na następny rok. Zapowiedział, że przyjdzie na wspólny opłatek w Kancelarii, który miał się odbyć 29 grudnia. Planował także urlop na 2010 r. Wiosną miał jechać na Grenlandię, a jesienią do Toskanii. Najbliżsi przyjaciele i rodzina zgodnie stwierdzili, że Grzegorz Michniewicz nie był typem samobójcy. Bardzo dbał o swoje zdrowie. Nie pił alkoholu, nie palił papierosów, był wegetarianinem.

Grzegorz Michniewicz, absolwent wydziału prawa i administracji Uniwersytetu Warszawskiego, swoją karierę zaczął na początku lat 90., kiedy to trafił do Kancelarii Senatu. Przez kolejne lata podwyższał swoje kwalifikacje: ukończył podyplomowe studia z zakresu integracji europejskiej i bezpieczeństwa narodowego w Wojskowej Akademii Technicznej, zdał również egzamin dla kandydatów na członków rad nadzorczych w spółkach Skarbu Państwa.

W 1998 r. Grzegorz Michniewicz trafił do Kancelarii Premiera Jerzego Buzka, a rok później został dyrektorem Biura Ochrony. Był także pełnomocnikiem do spraw ochrony informacji niejawnych i administratorem danych w Rządowym Centrum Legislacji. Od czerwca 2008 r. zasiadał w radzie nadzorczej PKN Orlen jako reprezentant Skarbu Państwa.

Grzegorz Michniewicz — ze względu na posiadany certyfikat dopuszczenia do najściślej strzeżonych państwowych tajemnic — miał wgląd w najtajniejsze dokumenty, jakie trafiały do szefa rządu oraz jego współpracowników.

Dyrektor generalny Kancelarii Premiera, poza zainteresowaniami z dziedziny bezpieczeństwa państwa, miał niecodzienne hobby: parapsychologię i ezoterykę. W 2009 r. wydał książkę „Energia w materii, czyli człowiek” w białostockim wydawnictwie Studio Astropsychologii. Zajmowało się ono

publikowaniem książek z dziedziny magii i wróżb, posiadało także sklepik Talizman, w ofercie m.in. z amuletami, przedmiotami magicznymi i książkami.

W jaki sposób człowiek, który miał dostęp do najtajniejszych informacji w państwie, trafił do małego wydawnictwa w Białymstoku zajmującego się wróżbiarstwem? Na to pytanie nikt z pytanych przeze mnie znajomych Grzegorza Michniewicza nie potrafił odpowiedzieć. Jedno jest pewne: książka dyrektora generalnego Kancelarii Premiera pojawiła się w ofercie sklepów internetowych, które w swojej ofercie miały książki i wyroby związane z magią.

Po śmierci Grzegorza Michniewicza Prokuratura Okręgowa w Warszawie wszczęła śledztwo w sprawie udzielenia pomocy bądź targnięcia się na własne życie, czyli z art. 151: „Kto namową lub przez udzielenie pomocy doprowadza człowieka do targnięcia się na własne życie, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5”.

Edmund A., kierowca z KPRM, który znalazł swojego szefa wiszącego na sznurze od odkurzacza, zeznał, że ani przed domem, ani na śniegu, ani też w środku nie dostrzegł żadnych śladów obecności innych osób. Grzegorz Michniewicz w chwili śmierci był ubrany w piżamę, a na nogach miał kapcie.

„Przeprowadzone badania toksykologiczne w badanym materiale biologicznym nie wykryły żadnych związków chemicznych o charakterze psychoaktywnych lub farmakologicznych objętych postępowaniem analitycznym (opiaty, metadon, kannabinole, amfetaminy, barbiturany, fencyklidyna, trójcykliczne antydepresanty, benzodiazepiny, kokaina)” — czytamy w dokumentach śledztwa. We krwi Grzegorza Michniewicza wykryto natomiast 1,4 promila alkoholu.

Przesłuchana przez prokuraturę żona dyrektora generalnego Kancelarii Premiera zeznała, że od 19 grudnia 2009 r. przebywała u rodziny w Białogardzie. Ze swoim mężem ostatni raz rozmawiała

22 grudnia około godziny 21.00. Z rozmowy wynikało, że planował wyjazd do niej następnego dnia, czyli 23 grudnia. Dowiedziała się również, że odbył nieprzyjemną rozmowę z Tomaszem Arabskim. Po tej rozmowie poczuł się źle. Wcześniej o złym samopoczuciu szefa mówił kierowca Edmund A., któremu Grzegorz Michniewicz skarżył się w drodze do domu w Głoskowie.

Dyrektor generalny Kancelarii Premiera był przekonany, że zostanie zwolniony z pracy przez Tomasza Arabskiego, o czym powiedział żonie podczas ich ostatniej rozmowy telefonicznej. Ta zaczęła go uspokajać, ponieważ nie była to pierwsza awantura Michniewicza z Arabskim, który często doprowadzał do konfliktogennych sytuacji ze swoimi podwładnymi.

Tomasz Arabski był ostatnią osobą, z którą Grzegorz Michniewicz kontaktował się przed śmiercią.

„Panie Ministrze wieczorem skontaktował się ze mną Andrzej Papierz, polski ambasador w Bułgarii, który poinformował mnie, że cofnięto mu poświadczenie bezpieczeństwa. Znam go od czasów PRM Buzka (był wtedy pracownikiem KPRM). Informuję o tym, bo pewnie zaraz dowie się Pan (od służb), że kontaktuję się z wrogim elementem. W razie pytań jestem do dyspozycji. Gm” — brzmiał SMS wysłany przez Grzegorza Michniewicza o godzinie 23.09 do Tomasza Arabskiego.

Arabski został przesłuchany 23 grudnia 2009 r., czyli w dniu, w którym znaleziono ciało dyrektora generalnego KPRM.

„Ostatni raz z Grzegorzem Michniewiczem miałem wczoraj, kilkakrotnie przychodził do mnie w bieżących sprawach. Ostatnie spotkanie było chyba około godziny 18.00, było już ciemno. Nie jestem pewien co do godziny, a jego wizyty nie są wpisane w kalendarzu, on przychodził, kiedy miał jakąś sprawę. [...] Generalnie nie zauważyłem żadnych zmian w zachowaniu Grzegorza Michniewicza w ostatnim okresie w tym w dniu wczorajszym, przede wszystkim dlatego, że dyrektor Michniewicz był wyjątkowo sumienny, rzetelny, dążący do perfekcji a równocześnie wyjątkowo uprzejmy i kulturalny w stosunku do ludzi.

Taki był zarówno wczoraj jak i tydzień i miesiąc temu. My się poznaliśmy w KPRM 17 listopada 2007. Miałem z nim często kontakty służbowe, praktycznie codziennie” — zeznał w prokuraturze Tomasz Arabski.

Szef KPRM przekonywał śledczych, że miał z Grzegorzem Michniewiczem doskonałe relacje.

„Pan dyrektor Michniewicz bardzo się przejmował pracą, zdarzało się, że miałem wrażenie, że momentami nie jest zadowolony z jego pracy, z tego, jak wypełnia swoje obowiązki, że się dopytywał, mimo, że już ponad rok temu bez wahania rekomendowałem go — na pytanie z Ministerstwa Skarbu Państwa czy mogę rekomendować urzędników, którzy posiadają kwalifikacje umożliwiające zasiadanie w Radach Nadzorczych Skarbu Państwa — na członka Rady Nadzorczej Spółki PKN Orlen. To nie jest tak, że on nie był pewny siebie, miałem czasem wrażenie, że chciał się upewnić co do akceptacji swojej osoby. Jakiś czas temu powiedziałem mu, że bez względu gdzie bym pracował w przyszłości zawsze chciałbym żeby pracował ze mną” — zeznał Tomasz Arabski.

Te słowa jednak stoją w sprzeczności z relacjami osób pracujących wspólnie z szefem kancelarii KPRM oraz Grzegorzem Michniewiczem. Pracownicy mówili o konfliktach i wzajemnej niechęci. Także żona, która rozmawiała w tragiczną noc z mężem, mówiła o „nieprzyjemnej rozmowie”. Dotyczyła ona finansów: likwidowania dodatków funkcyjnych dla dyrektorów w urzędach centralnych i wprowadzenia dodatku dla urzędników służby cywilnej. Taki dodatek utraciło około 30 osób w KPRM, w tym sam Grzegorz Michniewicz. Przekonywał więc Arabskiego, by o utracone kwoty podnieść urzędnikom wynagrodzenia zasadnicze. Ale wówczas, otrzymując nowy dodatek dla urzędników służby cywilnej, w sumie otrzymywaliby podwyżkę.

Tomasz Arabski w swoich zeznaniach odniósł się do tej rozmowy.

„Powiedziałem mu wprost, że jestem zaskoczony, że akurat on

przychodzi z takim projektem. On przeproszał, twierdził, że nie absolutnie nie jest jego intencją podwyższanie sobie w ten sposób pensji. Na samym początku powiedział, że przychodzi, bo wszyscy dyrektorzy się dopytują, myślę, że był wyrazicielem myśli, oczekiwań dyrektorów, on z natury był dobrym człowiekiem i czuję, że musiał pogodzić sprzeczne oczekiwania, z jednej strony dyrektorów, z drugiej szefa Kancelarii. Na pewno był pod presją dyrektorów i moja presja nie podwyższania wynagrodzeń, trzymanie mocno dyscypliny budżetowej. Pożegnaliśmy się składając życzenia świąteczne ale wiem na pewno miał świadomość mojego niezadowolenia, dezaprobaty. Ja dość chłodno z nim rozmawiałem. Myślę, że było mu przykro. Nie znałem go na tyle blisko, abym mógł ocenić, czy ta rozmowa mogła by go skłonić do popełnienia samobójstwa” — zeznał Tomasz Arabski.

Grzegorz Michniewicz po przyjeździe do domu skontaktował się z córką. „Wieczorem dostałam od niego SMS-a z podziękowaniem za książkę. Po mojej odpowiedzi SMS-em, że się cieszę z trafionego pomysłu, odpisał mi, że bardzo lubi podróże, że nic innego mu w życiu nie pozostało, chyba że ktoś mu to życie odbierze. Po tym SMS-ie zadzwoniłam do niego. To było ok. godz. 22. w trakcie rozmowy ze mną tata był radosny. Ta rozmowa trwała kilka minut i nic w jego głosie nie wskazywało na to, co się później stało”.

Po tej rozmowie Grzegorz Michniewicz kontaktował się ze swoim przyjacielem Pawłem Gutowskim, który mieszkał w Wielkiej Brytanii. Przy pomocy Skypa rozmawiali kilkanaście minut.

„To bardzo dziwna sprawa. Podczas pogrzebu dowiedziałem się, że godzinę przed rozmową ze mną rozmawiał przez telefon z żoną. Podobno był w dobrym nastroju. Miał mówić, że wyprasował sobie spodnie, że ma jakąś plamę, z którą nie może sobie poradzić. W każdym razie nic nie wskazywało na to, co się stanie. Wiem, że później wyszedł z psem. Kiedy do niego zadzwoniłem, był już strasznie przybity. Coś musiało się zdarzyć w czasie tego spaceru. Często skarżył się na trudną i nerwową atmosferę w kancelarii premiera. Mówił, że bardzo ceni Tomasza Arabskiego za to, że

potrafi przeprosić za swoje wybuchy złości. Nie znam pana Arabskiego, ale zdaje się, że on przyszedł do rządu z biznesu. Z tego, co opowiadał Grześ, często domagał się załatwiania różnych rzeczy od ręki. Tak jak się to robi w prywatnych firmach. A Grześ nie zawsze był w stanie to robić, bo przecież są procedury, terminy i tak dalej. W każdym razie opowiadał, że panu Arabskiemu zdarzało się na niego wybuchnąć. Przeżywał to. Zawsze podkreślał jednak, że ceni go za to, iż potrafi powiedzieć »przepraszam«. Wiem też, że w dniu śmierci odbył jakąś rozmowę telefoniczną, po której był bardzo zdenerwowany. Pewnie zabrzmiało to głupio, ale przez niego przechodziło wiele tajnych informacji i może po prostu wiedział o jedną rzecz za dużo [...] to bardzo dziwna historia. Dla mnie nie tylko przykra i druzgocąca, lecz także tajemnicza” — powiedział w rozmowie z tygodniem „Wprost” Paweł Gutowski.

Prokuratura nie ustaliła, co takiego stało się późnym wieczorem 22 grudnia 2009 r., że Grzegorz Michniewicz targnął się na własne życie.

Z akt śledztwa w sprawie śmierci Grzegorza Michniewicza wynika, że śledczy zbadali tylko komputer domowy zmarłego, nie zajęli się natomiast jego służbowym sprzętem. 20 stycznia 2010 r. śledczy zadecydowali, że należy powołać biegłego, który zbada także służbowego laptopa zabezpieczonego w gabinecie Michniewicza w kancelarii premiera.

14 lipca 2010 r. prowadzący śledztwo Tomasz Szredzki uchylił to postanowienie. Ta decyzja uniemożliwiła biegłym odczytanie danych z zawartości laptopa dyrektora generalnego Kancelarii Premiera.

Warszawska Prokuratura Okręgowa śledztwo w sprawie śmierci Grzegorza Michniewicza prowadziła dziewięć miesięcy.

„Mając na względzie [...] zebrany w sprawie materiał dowodowy, w tym w szczególności wyniki oględzin miejsca zdarzenia oraz sekcji zwłok, które wykluczają jednoznacznie udział osób trzecich w nakłonieniu Grzegorza Michniewicza do targnięcia

się na własne życie, czy tym bardziej do udzielenia mu w tym pomocy, należy stwierdzić, iż nie doszło do jakichkolwiek działań, które by wskazywały, iż jakaś osoba miała wpływ na decyzję o popełnieniu przestępstwa” — napisał 22 września 2010 r. prokurator Tomasz Szredzki.

Od tej decyzji nikt się nie odwołał.

PROTOKÓŁ PRZESŁUCHANIA Z 23 GRUDNIA 2009R. ŚWIADKA - TOMASZA ARABSKIEGO, SZEFA KANCELARII PREMIERA DONALDA TUSKA, W SPRAWIE ŚMIERCI GRZEGORZA MICHNIEWICZA, DYREKTORA KP.

Sygn. akt V Ds. 251/09

Protokół przesłuchania świadka

Warszawa, dnia 23 grudnia 2009r. o godz. 12:50

Natalia Maszkiewicz – prokurator Prokuratury Rejonowej Warszawa-Mokotów delegowana do Prokuratury Okręgowej w Warszawie

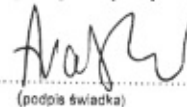
- na podstawie art. 177 § 1 kpk, 177 § 1a kpk i art. 143 § 1 pkt 2 kpk przesłuchała niżej wymienionego w charakterze świadka.

Tożsamość świadka stwierdził na podstawie **dowodu osobistego**

(nazwa, seria i nr. dokumentu, organ wydający dokument)

Nr ewidencyjny 68041401859

Świadka uprzedzono o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania (art. 233 § 1 kk), co świadek potwierdza własnoręcznym podpisem (art. 190 kpk):


(podpis świadka)

Świadka pouczone również o uprawnieniach wynikających z art. 182, 183 i 185 kpk.

Świadek podał następujące dane osobowe:

Imię i nazwisko **Tomasz Arabski**

Nazwisko panieńskie (dla mężatek) **nie dotyczy**

Imiona rodziców -

Data i miejsce urodzenia

Adresat dla doręczeń w kraju (art. 138 kpk) **KPRM**

Zajęcie **Szef Kancelarii Prezesa Rady Ministrów**

Wykształcenie **wyższe**

Karalność za fałszywe zeznania **według oświadczenia ustnego nie karany**

Stosunek do stron **obcy**

Pouczony o treści art. 233 § 1 kk składam następujące zeznania:

wiem w jakiej sprawie jestem przesłuchiwany, dziś rano zadzwonił do mnie Dyrektor Centrum Obsługi KPRM pan Mateusz Matejewski, to było chyba około godziny 9:00, 10:00. O 9:00 byłem w pracy więc to było po 9:00 i przekazał mi informację, że nie żyje Dyrektor Generalny KPRM Grzegorz

PROKURATOR

Natalia Maszkiewicz

 1

przykładu wynikało że nie likwidując dodatku funkcyjnego a otrzymując dodatek służby cywilnej przyznał że otrzymał by podwyżkę. Powiedziałem mu że uważam, że nie powinno tak być i nie mogę się na to zgodzić, natomiast kwestię Dyrektorów, którzy nie są członkami korpusu służby cywilnej decyzję musi podjąć sam. Przy czym określenie wynagrodzenia Dyrektora KPRM czyli Grzegorza Michniewicza to jest moja kompetencja do końca tego roku. Pan Michniewicz nie był zawiedziony, przeprosił, czuł się zakłopotany. Powiedziałem mu wprost że jestem zaskoczony że akurat on przychodzi z takim projektem. On przepraszał, twierdził że absolutnie nie jest jego intencją podwyższanie sobie w ten sposób pensji. Na samym początku powiedział że przychodzi bo wszyscy Dyrektorzy się dopytują, myślę że był wyrazicielem myśli, oczekiwań Dyrektorów. On z natury był dobrym człowiekiem i czuję, że był w sytuacji w której musiał pogodzić sprzeczne oczekiwania, z jednej strony Dyrektorów z drugiej Szefa Kancelarii. Na pewno był pod presją Dyrektorów i moją presją nie podwyższania wynagrodzeń, trzymania mocno dyscypliny budżetowej. Pożegnaliśmy się składając życzenia świąteczne ale wiem że na pewno miał świadomość mojego niezadowolenia, dezaprobaty. Ja dość chłodno z nim rozmawiałem. Myślę że było mu przykro. Nie znałem go na tyle blisko abym mógł ocenić czy ta rozmowa mogła by go skłonić do popełnienia samobójstwa. Wiem, że bardzo cenił sobie moje zdanie i na pewno zawsze chciał żeby był zadowolony z jego pracy. To się wiązało z tym że ja jestem ekstrawertyczny, mówię co mi się nie podoba, on był introwertykiem, nie miał ze mną łatwego życia przez te dwa lata. Wiem że podczas reorganizacji w KPRM, w szczególności zmniejszania zatrudnienia do obowiązków Grzegorza Michniewicza, w jego kompetencjach było zwalnianie ludzi z pracy, wiem że to nie było dla niego łatwe. Jakiś czas temu rozmawialiśmy z Grzegorzem Michniewiczem na temat jego rodziny, ma dwoje dzieci z poprzedniego małżeństwa i rozmawialiśmy o jego dużych kłopotach wychowawczych z synem. Nie mam wiedzy na temat innych jego problemów w życiu osobistym. Wydaje mi się że on medytował, miał w sobie buddyjski spokój, wydaje mi się że mówił mi kiedyś że medytuje. Wiadomość o śmierci Grzegorza Michniewicza mnie zaskoczyła, był wegetarianinem, nie palił, wakacje spędzał najchętniej na samotnych wycieczkach do Islandii, Arktyki,

PROKURATOR
M. G. 12.12.2012

POSTANOWIENIE O UMORZENIU ŚLEDZTWA W SPRAWIE ŚMIERCI GRZEGORZA MICHNIEWICZA,
DYREKTORA KANCELARII PREMIERA, Z 22 WRZEŚNIA 2010 R.

PROKURATURA OKRĘGOWA
w Warszawie
WYDZIAŁ ŚLEDCZY
ul. Chocimska 28
00-791 WARSZAWA

Sygn. akt V Ds 251/09

POSTANOWIENIE
o umorzeniu śledztwa – dochodzenia *)

Dnia 22.09.2010 roku

Tomasz Szredzki - prokurator Prokuratury Rejonowej Warszawa Śródmieście Północ
delegowany do Prokuratury Okręgowej w Warszawie
w sprawie udzielenia pomocy bądź namówienia Grzegorza Michniewicza do targnięcia się na
własne życie
tj. o przestępstwo z art. 151 kk
na podstawie art. 11 § 1, **17 § 1 pkt. 1**, art. 322 § 1 oraz art. 253 § 1 i 2, 323 § 1 kpk*)

postanowił:

1. umorzyć śledztwo – dochodzenie *) w sprawie udzielania pomocy bądź namówienia w
dniach 22-23 grudnia 2009 r. w m. Głusków woj. mazowieckie Grzegorza
Michniewicza do targnięcia się na własne życie, tj. o czyn z art. 151 kk – gdyż czynu nie
popelniono (**art. 17 § 1 pkt. 1 kpk**);
2. uchylić środek zapobiegawczy zastosowany
względem podejrzanego
postanowieniem Prokuratora/Sądu*) W Z
dnia
3. dowody rzeczowe w postaci*)
4. uchylić postanowienie z dnia w przedmiocie
zabezpieczenia majątkowego*)
5. wystąpić do Sądu W
z wnioskiem o*)

UZASADNIENIE

W dniu 23.12.2009 r. około godziny 10:00 w Głoskowie przy ul. Górnej 35 ujawnione
zostały zwłoki Grzegorza Michniewicza – Dyrektora Generalnego Kancelarii Prezesa Rady
Ministra. Budynek, w którym ujawniono zwłoki, należał do zmarłego i był miejscem jego
zamieszkania. Ciało zmarłego znalezione zostało przez Edmunda Augustyniaka - kierowcę z
KPRM, który przyjechał po Grzegorza Michniewicza, aby zabrać go pracy.

W przedmiotowej sprawie wszczęte zostało śledztwo o czyn z art. 151 kk, w toku
którego ustalono co następuje:

10

Stefan Zielonka
– Tajemnice szyfranta
wywiadu

Stefan Zielonka, młody żołnierz Zarządu II Sztabu Generalnego, 9 kwietnia 1989 r. został oddelegowany służbowo jako szyfrant do Grupy Przejściowej Pomocy ONZ w Namibii w ramach Jednostki Specjalnej Wojska Polskiego. Jego bezpośrednim przełożonym na tamtym terenie został pułkownik Bolesław Izydorczyk, absolwent kursów GRU, późniejszy szef Wojskowych Służb Informacyjnych.

Chorąży Stefan Zielonka znał niemal wszystkie tajemnice polskiego kontyngentu. To w jego kompetencjach leżało przesyłanie wszystkich depesz, także tych najtajniejszych, które trafiały do Moskwy. Po powrocie z Namibii pułkownik Izydorczyk przejął stery w Oddziale Y, który powstał w porozumieniu z Moskwą w 1983 r. jako tajna komórka II Zarządu Sztabu Generalnego. W 1990 r. Bolesław Izydorczyk wydał zgodę na operację sprzedaży broni do Sudanu i na Łotwę, co miało przynieść służbom zysk 200-400 tysięcy dolarów. Kontakt z odbiorcami w Sudanie Izydorczyk nawiązał, gdy przebywał na misji w Namibii. W 1991 r., po rozwiązaniu Zarządu II Sztabu Generalnego, Stefan Zielonka i Bolesław Izydorczyk zostali żołnierzami WSI. Rok później Izydorczyk awansował na szefa WSI, zaś Stefan Zielonka trafił do tajnej komórki WSI, która zajmowała się m.in. szyframi oraz kryptografią.

Po lekturze akt śledztwa w sprawie zaginięcia starszego chorążego Stefana Zielonki, szyfranta Służby Wywiadu Wojskowego, nasuwa się jeden wniosek: odnośnie do przebiegu zdarzeń co najwyżej można snuć hipotezy, a jedynym pewnikiem jest fakt zniknięcia mężczyzny. Nic nie wskazuje na to, że miał on depresję lub że cierpiał na chorobę psychiczną. Z zeznań świadków można wywnioskować, że chorąży snuł plany na przyszłość i nie miał myśli samobójczych.

W historii zniknięcia szyfranta wojskowych służb specjalnych nie

ma nic pewnego poza tym, że DNA kości znalezionych nad brzegiem Wisły zgadzały się z jego kodem genetycznym. Nie wiadomo, co było przyczyną śmierci i dlaczego w miejscu, gdzie znaleziono szczątki, były ubrania i przedmioty, których nie rozpoznała jego rodzina. Nie wiemy też, dlaczego szczątki leżały na wypalonej trawie, ale nie były spalone i nie nosiły śladów ognia. Nie ustalono również, dlaczego znajdowały się w miejscu, które rok wcześniej dokładnie przeszukała policja i wojsko.

Dlaczego prokuratura uznała, że przyczyną śmierci chorążego Zielonki było samobójstwo? Nie wiadomo, ponieważ uzasadnienie umorzenia jest ściśle tajne. Podobnie jak nie została wyjaśniona tajemnica logowania do internetowego serwisu Nasza Klasa na hasło i login Stefana Zielonki 30 kwietnia 2009 r., a więc już po jego zaginięciu. Prowadząca w tej sprawie czynności Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego nie znalazła na to odpowiedzi.

Już po odkryciu ludzkich kości nad Wisłą, Philippe Vasset, szef francuskiego specjalistycznego portalu Intelligence Online (zajmującego się służbami specjalnymi na świecie, podobnie jak dwutygodnik o tym samym tytule) w rozmowie z radiem RMF FM stwierdził, że „jest ciągle pewne na 90 proc., że szyfrant Stefan Zielonka żyje i pracuje w rejonie Szanghaju jako doradca chińskiego wywiadu”. Zdaniem Vasseta wiarygodność rezultatów badań DNA znalezionych szczątków nie będzie mogła zostać potwierdzona przez niezależnych ekspertów. I dlatego nie ma żadnej pewności, czy rzeczywiście szyfrant Zielonka nie żyje.

Stefan Zielonka rozpoczął zawodową służbę w wojsku po ukończeniu zasadniczej szkoły zawodowej w Centrum Kształcenia Ustawicznego w Grudziądzu. W 1977 r., gdy miał 20 lat, został skierowany do służby w dziale łączności Jednostki Wojskowej w Legnicy. W tym czasie stacjonowały tam wojska sowieckie, m.in. sztab Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej i dowództwo 4. Armii Lotniczej. Ze względu na dużą koncentrację w mieście jednostek wojskowych i struktur dowódczych, Legnicę nazywano

„Małą Moskwą”. Miasto miało ograniczoną suwerenność, a polskie jednostki wojskowe znajdujące się na terenie Legnicy były całkowicie podległe ZSRR. Żołnierze zajmujący się łącznością byli szkoleni przez Rosjan. Takie przeszkolenie odebrał także Stefan Zielonka.

Po specjalistycznych kursach sowieckich w 1980 r. trafił do II Zarządu Sztabu Generalnego. Był idealnym kandydatem do pracy w służbach specjalnych. Pochodził z małej miejscowości, z ubogiej, wielodzietnej rodziny. Praca w wojskowych służbach specjalnych była dla niego wielkim awansem społecznym, a wszystko, co w życiu osiągnął, zawdzięczał wojsku. Ze znajdujących się w Instytucie Pamięci Narodowej dokumentów wynika, że szyfrant Zielonka był bardzo zdolnym i cenionym przez przełożonych żołnierzem. Pod pozytywnymi opiniami służbowymi podpisywał się m.in. Marek Dukaczewski, jego przełożony w II Zarządzie Sztabu Generalnego. Po wejściu Polski do NATO przeszedł odpowiednie przeszkolenie i posługiwał się kryptografią obowiązującą w Sojuszu Północnoatlantyckim. W związku ze swoim zawodem wyjeżdżał na misje. Był m.in. w Libanie, Kosowie, Iraku.

Po rozwiązaniu WSI — jak każdy żołnierz tej formacji — przeszedł procedurę weryfikacyjną. Dla chorążego Zielonki zakończyła się ona w 2008 r. decyzją pozytywną. Po jej uzyskaniu trafił do Służby Wywiadu Wojskowego. Na początku 2009 r. został skierowany na kurs kierowników kancelarii kryptograficznych w Zegrzu. Wszyscy, którzy razem ze Stefanem Zielonką uczestniczyli w tym kursie, mówili, że był on bardzo zadowolony z pracy w wojsku i miał plany na przyszłość. Dwa miesiące później — Zielonka zniknął.

Zaginienie Stefana Zielonki zgłosiła 19 kwietnia 2009 r. jego żona w komendzie na warszawskiej Pradze. Dyżurującemu oficerowi powiedziała, że po raz ostatni widziała męża 12 kwietnia i od tej pory nie pojawił się w domu. Początkowo myślała, że wyjechał służbowo — zaniepokoiła ją dopiero dłuższa nieobecność i

postanowiła zawiadomić policję. W lodówce znalazła także żywność, którą mąż kupił już na święta wielkanocne. Początkowo trudno było ustalić, kiedy chorąży Zielonka dokładnie zniknął, ponieważ małżeństwo od wielu lat było w separacji.

Wywiad wojskowy dowiedział się o zaginięciu swojego żołnierza dwa tygodnie później. Przez ten czas Stefan Zielonka był poszukiwany jako zwykły obywatel, a nie jako osoba mająca dostęp do najtajniejszych informacji wywiadu wojskowego.

12 maja 2009 r. policjanci, Żandarmeria Wojskowa oraz żołnierze Służby Kontrwywiadu Wojskowego — w sumie kilkadziesiąt osób — przeszukały teren od granicy Warszawy do mostu Siekierkowskiego wzdłuż Wisły. W poszukiwaniach brał także udział śmigłowiec, w którym znajdowała się wypożyczona od Straży Granicznej kamera termowizyjna, używana przez SG m.in. do wykrywania na granicy nielegalnych imigrantów. Teren został przeczesany metr po metr — znaleziono nawet 200 sadzonek krzaków konopi indyjskich, z których wytwarza się marihuanę — ale po zaginionym szyfrancie nie było śladu.

W mieszkaniu Zielonki śledczy zabezpieczyli płyty, dokumenty i łuski z broni. Stwierdzono, że korzystał on z serwisu Nasza Klasa, ale logował się z komputera w pracy. Na kontach bankowych szyfranta znajdowały się znaczne sumy pieniędzy, chociaż nic nie wskazywało na to, że może on być człowiekiem aż tak zamożnym.

Przed blokiem, w którym mieszkał, zamontowane kamery monitoringu zarejestrowały jego dwa wyjścia 12 kwietnia 2009 r. Jedno o godzinie 9.27 (wrócił o 16.45) oraz drugie o godzinie 17.09 — wtedy kamera zarejestrowała go po raz ostatni. Wychodził z budynku, kierując się do przystanku autobusowego, skąd jeździł na działkę rekreacyjną położoną nad Wisłą, gdzie obserwował bobry i ptaki.

Na nagraniu widać, że Zielonka jest ubrany w czarną kurtkę, czarną czapkę z daszkiem, dżinsy, szare sportowe buty i ma ze sobą torbę na laptopa.

14 maja 2009 r. Wojskowa Prokuratura Garnizonowa w

Warszawie wszczęła śledztwo w sprawie trwałego uchylania się od służby wojskowej przez chorążego Stefana Zielonkę i pozostawiania poza miejscem służby. Tydzień później postępowanie przejęła Wojskowa Prokuratura Okręgowa w Warszawie.

O zaginięciu szyfranta wywiadu wojskowego pierwszy napisał Robert Zieliński w „Dzienniku”. Niemal natychmiast po tej publikacji ówczesny szef obrony narodowej, Bogdan Klich, zasugerował, że Zielonka miał problemy psychiczne. W podobnym tonie wypowiadali się partyjni koledzy ministra, m.in. rzecznik rządu Paweł Graś czy Konstanty Miodowicz z sejmowej Komisji ds. Służb Specjalnych.

„Po posiedzeniu Komisji ds. Służb Specjalnych usłyszeliśmy od posłów, że szyfrant miał problemy zdrowotne i osobiste. Nieoficjalnie mówiło się o samobójstwie. Tydzień od pojawienia się informacji o zaginięciu szyfranta na biurko prezydenta trafił tajny raport przygotowany przez Biuro Bezpieczeństwa Narodowego. Według RMF FM Stefan Zielonka leczył się na depresję. Chorąży przez dwa lata od likwidacji WSI miał czekać na weryfikację, co odbiło się na jego zdrowiu psychicznym. Złożył rezygnację, miał już prawa emerytalne, ale przełożeni namówili go do pozostania w służbie — twierdziła rozgłośnia. Wywiadowi brakowało doświadczonych szyfrantów. Sięgnięto więc po sumiennego żołnierza z 20-letnim stażem i doświadczeniem z misji na Bałkanach. Na problemy w pracy miały nałożyć się problemy rodzinne. Mężczyzna od lat był w separacji z żoną. Mieszkał z nią w jednym domu, w osobnych pokojach zamykanych na klucz” — pisała 13 maja 2010 r. „Gazeta Wyborcza”.

Tymczasem z zeznań świadków wynika coś wręcz przeciwnego. Brat Edmund zeznał, że „Stefan był osobą o silnej psychice, bez skłonności samobójczych”.

Rodzina Stefana Zielonki, która — co ciekawe — nie miała pojęcia, że pracuje on w wojskowych służbach specjalnych, zeznała, że dziesięć lat wcześniej jeden z braci chorążego popełnił

samobójstwo w związku z wypadkiem i kłopotami rodzinnymi. Pozostali bracia kategorycznie zaprzeczyli, by Stefan Zielonka cierpiał na depresję lub miał skłonności samobójcze.

Z dokumentów wynika, że nie przyjmował żadnych leków, nie nadużywał alkoholu, dbał o swoje zdrowie. Zeznający w śledztwie świadkowie, w tym jego koledzy z pracy, mówili o dużej odpowiedzialności chorążego i o tym, że nie okazywał żadnych oznak depresji. Jedynym udokumentowanym schorzeniem był uraz kręgosłupa — odnowiona kontuzja sprawiła, że przed zaginięciem leczył się w sanatorium w Ciechocinku i był na zwolnieniu lekarskim. Jak zeznał jego kolega z SWW, Janusz Ł., Zielonka planował powrót ze zwolnienia 20 kwietnia, nie zamierzał go przedłużyć, ponieważ czuł się dobrze. Nie chciał także odchodzić na emeryturę.

Zeznania złożyli również szefowie szyfranta, m.in. Radosław Kujawa, szef Służby Wywiadu Wojskowego, Michał R., dyrektor Biura Ochrony SWW, oraz Robert B., przełożony Zielonki z czasów jego służby w WSI. Ten ostatni zeznał, że chorąży był zrównoważony psychicznie, bardzo odpowiedzialny i zdyscyplinowany.

Informacja na temat psychicznych problemów szyfranta wywiadu wojskowego pojawia się natomiast w notatce policjantki Agnieszki P. z Komendy Stołecznej Policji. Co ciekawe, powołuje się ona w niej na osoby, które złożyły zupełnie inne zeznania. Dlaczego policja stwierdziła, że Stefan Zielonka potrzebował pomocy psychiatry? Dlaczego w dokumentach śledztwa pojawia się informacja, że szyfrant cierpiał na depresję, a jednym z jej powodów miały być działania Komisji Weryfikacyjnej WSI i brak pozytywnej weryfikacji, skoro była to nieprawda? Świadczy o tym fakt przejścia pozytywnej weryfikacji i odbycie przez Zielonkę w 2009 r. kursu dla kierowników kancelarii kryptograficznych.

Sąsiedzi, którzy składali zeznania wojskowym śledczym, także nie wspominali o depresji, wręcz odwrotnie. Mówili m.in. że Stefan Zielonka planował remont tarasu i zakup nowego telewizora. Jeden

z sąsiadów, Marek L., zeznał, że gdy dwa lata wcześniej chorąży wyjeżdżał z misją do Jugosławii, zostawił u L. szarą, grubą kopertę adresowaną do żony — jak zaznaczył, „na wypadek, gdyby mi się coś stało”. Odebrał ją po powrocie.

Jadwiga W., sąsiadka z działki, ostatni raz widziała Stefana Zielonkę przed 12 kwietnia 2009 r. Był miły, uprzejmy, nie zdradzał żadnych oznak depresji. Już po jego zaginięciu zauważyła na jego posesji rozkopany kompostownik. Było to dość dziwne, bo panował tam zawsze idealny porządek i nikt poza właścicielem nie użytkował działki. Kilka dni później Jadwiga W. zauważyła, że wszystko zostało uprzątnięte. Policja, która przyjechała na miejsce, stwierdziła, że kompostownik był nienaruszony i nic nie wskazuje, żeby ktoś wcześniej ingerował w jego zawartość. Co ciekawe, oględziny i notatkę sporządziła Agnieszka P. z KSP — ta sama policjantka, która napisała o psychicznych problemach Zielonki. W dokumentach śledztwa znajduje się informacja, że na początku kwietnia Stefan Zielonka miał mieć przepisane leki antydepresyjne: promolan i lerivon. Jednak ani jego najbliżsi, ani koledzy z wojska i przełożeni nie mieli o tym pojęcia.

27 kwietnia 2010 r. Dawid C. i Mariusz M. wybrali się na spacer nad Wisłę. Po przejściu zaledwie kilkuset metrów zobaczyli wiszący kabel, na którym — jak utrzymywali później śledczy — powiesił się chorąży Zielonka, i porzuconą torbę na laptopa. Znaleźli w niej przelew bankowy dokonany na nazwisko Stefana Zielonki. Co ciekawe, ciało było w stanie totalnego rozkładu, natomiast dokumenty z nazwiskiem Zielonki zachowały się w dobrym stanie.

Mężczyźni natychmiast zawiadomili policję, która znalazła na miejscu fragmenty szkieletu i czaszkę leżącą na wypalonej trawie. Czaszka nie była spalona i nie nosiła śladów ognia. W promieniu kilkuset metrów policjanci odkryli kolejne szczątki. Według śledczych mogły one być rozwleczone przez dzikie zwierzęta. W małym zbiorniku wodnym znajdującym się nieopodal Wisły, po wypompowaniu wody przez strażaków, znaleziono kolejne kości i

czarną kurtkę, w której były dwa zegarki marki Casio.

Ubrania, które znajdowały się przy szczątkach, odpowiadały opisowi tych, w których chorąży wyszedł z domu. Tyle tylko, że nie rozpoznały ich ani żona, ani córka. Mało tego — kobiety kategorycznie zaprzeczyły, by kiedykolwiek należały do Stefana Zielonki. Nigdy nie nosił on np. futerału na telefon komórkowy przy spodniach, a taki właśnie znaleziono na miejscu odkrycia szczątków.

Także dwa zegarki marki Casio, jakich używał Stefan Zielonka (co zostało zapisane podczas pierwszych przesłuchań rodziny po zaginięciu szyfranta) i które znaleziono w kurtce, nie należały do niego — zegarki i torba na laptopa znajdowały się w mieszkaniu, co zeznały obydwie kobiety.

Przy szczątkach nie było kluczy do mieszkania, dokumentów, portfela. Jedynym śladem był kwit bankowy na nazwisko Stefana Zielonki. W torbie znaleziono też jedną białą tabletkę, która po zbadaniu okazała się mianseryną, lekiem psychotropowym o działaniu uspokajającym i przeciwlękowym. Analiza szczątków nie wykazała obecności leków, narkotyków czy trucizn, ani preparatów antydepresyjnych, które szyfrant miał mieć przepisane przez lekarza.

Badania DNA wykazały, że część kości posiada ten sam kod genetyczny, który miał Stefan Zielonka. Co ciekawe, na kablu, na którym miał się powiesić chorąży, znaleziono włosy, z których część nie należała do niego, co jednoznacznie stwierdzili biegli. Badania znalezionych nad Wisłą szczątków przeprowadzone przez specjalistów z Zakładu Patomorfologii i Pracowni Medycyny Sądowej Centralnego Szpitala Klinicznego Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie nie wykazały żadnych obrażeń kości. „Całościowa analiza obrazu szkieletu nie pozwala na ustalenie przyczyny śmierci” — czytamy w opinii biegłych.

Szczałki, które biegli zidentyfikowali jako szczątki Stefana Zielonki, zostały pochowane. Śledztwo umorzono 19 listopada

2010 r. Decyzja jest prawomocna.

11

Andrzej Lepper

– Wschodni kurs

W 2011 r., mimo spadającego poparcia, Andrzej Lepper chciał wrócić do politycznej pierwszej ligi. I to nie tylko w Polsce. Prowadził zaawansowane rozmowy z przedstawicielami Łukaszenki: politykami i funkcjonariuszami białoruskich służb specjalnych, a ich celem miały być wspólne przedsięwzięcia gospodarcze. Doradcami byłego szefa Samoobrony byli politycy tego ugrupowania oraz... wróżbici, którzy mieli mu wskazać drogę do władzy i pieniędzy.

Lepper uważał, że tzw. afera gruntowa była zaplanowaną prowokacją, która miała odsunąć go od władzy. W rozmowie z Tomaszem Sakiewiczem, redaktorem naczelnym „Gazety Polskiej”, we wrześniu 2010 r., Andrzej Lepper deklarował, że przed wyborami w 2011 r. chce w prokuraturze podać nazwisko osoby, która była źródłem przecieku o planowanej tajnej akcji CBA w Ministerstwie Rolnictwa (akcja CBA miała związek z aferą gruntową). Mówił, że na potwierdzenie swoich słów ma dowody. Szef Samoobrony deponował ważne dla siebie dokumenty i nagrania u zaufanych ludzi, m.in. u prawników: Ryszarda Kucińskiego i Róży Żarskiej. Co było w tych dokumentach — nie wiadomo. Ryszard Kuciński zmarł w maju 2011 r., w lipcu tego samego roku w Moskwie zmarła Róża Żarska. Dwa tygodnie później, w piątek 5 sierpnia, w łazience warszawskiej siedziby Samoobrony znaleziono powieszzonego Andrzeja Leppera. Na sznurku, na którym wisiał, nie było śladów żadnych odcisków palców. Sekcja zwłok została wykonana dopiero w poniedziałek.

Ostatni raz przed śmiercią Andrzej Lepper był na Białorusi od 27 do 29 lipca 2011 r. Po powrocie do Polski kilkakrotnie rozmawiał przez telefon z mieszkającym na Białorusi Mieczysławem Łysym, jednym z najważniejszych działaczy uznawanego przez tamtejsze władze Związku Polaków na Białorusi — ugrupowania lojalnego wobec reżimu Łukaszenki.

W pierwszej połowie sierpnia Lepper planował kolejny wyjazd na Białoruś, tym razem w towarzystwie Czesława Kiernozka (gdańskiego przedsiębiorcy i działacza Samoobrony) oraz kontrahentów z Czech. Wspólnie mieli podpisać umowy z białoruskimi firmami na import drewna do Czech i Austrii.

Andrzej Lepper z Czesławem Kiernozkiem już wcześniej próbowali wspólnie zaistnieć w biznesie. W czasie, gdy Lepper był wicepremierem i ministrem rolnictwa, prowadził jednocześnie jako podmiot prywatny, wraz z Czesławem Kiernozkiem, rozmowy handlowe z firmami w Syrii, Iraku i Egipcie. Planowane interesy popsuła afera gruntowa, która stała się przyczyną przedterminowych wyborów parlamentarnych i w konsekwencji przegranej Samoobrony. Ponowne rozmowy z irackimi, syryjskimi i egipskimi firmami nie przyniosły spodziewanych rezultatów. Andrzej Lepper postanowił więc skorzystać ze swoich rozległych znajomości na Białorusi, Ukrainie i w Rosji. Jednocześnie założył firmę Apa Trade, która miała zajmować się pośrednictwem w handlu z Irakiem oraz Jordanią. Wprowadzaniem na giełdę Apa Trade zajął się zaufany prawnik Leppera, Ryszard Kuciński, który zwracał się do znajomych dziennikarzy, aby wypromowali to przedsięwzięcie w mediach.

„Pod koniec 2010 r. zadzwonił do mnie Ryszard Kuciński i powiedział o świetnie zapowiadającej się spółce. Poszedłem na spotkanie, ale jak dowiedziałem się, kto w niej zasiada i czym ona się faktycznie zajmuje, to zrezygnowałem z zajmowania się tym tematem, chociaż w grę wchodziły spore pieniądze” — relacjonował tuż po śmierci Leppera jeden ze specjalistów z branży reklamy. To właśnie u Ryszarda Kucińskiego lider Samoobrony miał zdeponować dokumenty obciążające znanych polityków i biznesmenów. Czy tak było rzeczywiście? Na to pytanie nikt już dzisiaj nie odpowie. Ryszard Kuciński zmarł w maju 2011 r.

Najczęstsze kontakty zagraniczne Andrzej Lepper utrzymywał z Białorusią. Nasiliły się one w 2011 r. Założył wówczas Fundację Polsko-Białoruskie Pojednanie, był także zaangażowany w

organizowanie Izby Przemysłowo-Handlowej na Białorusi oraz w tworzenie tam własnej firmy. Wielokrotnie spotykał się m.in. z przedstawicielami białoruskich służb specjalnych, z merem Grodna oraz radcą handlowym ambasady Białorusi w Polsce Mikhailem Trotsinskim. Mężczyzna ten — jak zeznał jeden ze świadków — 5 sierpnia miał przekazać Andrzejowi Lepperowi blisko 100 tysięcy zł. Radca handlowy białoruskiej ambasady towarzyszył Lepperowi w wyjazdach na Białoruś, był także obecny podczas spotkań, m.in. w Grodnie i Mińsku, podczas których Lepper prowadził rozmowy w sprawach biznesowych.

Jakie interesy łączyły Andrzeja Leppera i Mikhaila Trotsinskiego — nie wiadomo, ponieważ polskim śledczym nie udało się przesłuchać radcy handlowego białoruskiej ambasady. Jako dyplomacie przysługiwało mu prawo nieskładania zeznań, z czego skorzystał. Pisma polskiej prokuratury, by wyraził zgodę na przesłuchanie go w charakterze świadka, pozostały bez odpowiedzi.

O tym, jak ważnym politykiem był Andrzej Lepper dla Aleksandra Łukaszenki, świadczy obecność na pogrzebie lidera Samoobrony ambasadora Białorusi w Polsce Wiktara Hajsionaka. W przemówieniu pożegnalnym nazwał Leppera „wybitnym synem polskiego narodu, wielkim politykiem, który zawsze miał prawdę za podstawową zasadę i zawsze bronił ludzi pracy”. Mówił także o szacunku, jakim zmarłego darzył prezydent Białorusi Aleksander Łukaszenka. Na pogrzeb Andrzeja Leppera chcieli także przyjechać białoruscy politycy „pierwszej ligi”: Michaił Orda oraz Mikołaj Czerhinic, ale wydział konsularny Ambasady Polski w Mińsku odmówił im wydania wiz ze względu na fakt, że obydwaj znaleźli się na liście osób z zakazem wjazdu na teren Unii Europejskiej.

Wschodni kierunek zainteresowań nie był dla Andrzeja Leppera niczym nowym. Przez całe lata polityk utrzymywał bliskie kontakty z przedstawicielami władz krajów, które powstały po upadku Związku Radzieckiego. W lutym 2007 r. został honorowym

profesorem prywatnej Międzyregionalnej Akademii Zarządzania Personalem (MAZP) w Kijowie, natomiast Janusz Maksymiuk, partyjny partner Leppera, otrzymał tytuł doktora honoris causa. Odebranie tytułu profesorskiego tej uczelni przez ówczesnego wicepremiera miało posmak skandalu. Prywatna akademia była krytykowana za antysemityzm, m.in. w 2005 r. ówczesny prezydent Ukrainy Wiktor Juszczenko oskarżył władze uczelni o rozpowszechnianie publikacji noszących charakter antysemicki. Protest wystosowały także władze Izraela: w oficjalnej nocy dyplomatycznej poprosiły rząd w Kijowie o zamknięcie uczelni, która miała podżegać do nienawiści wobec Żydów.

W lutym 2010 r., po zwycięstwie Wiktora Janukowycza w wyborach na Ukrainie, a jeszcze przed jego zaprzysiężeniem na urząd prezydenta, Andrzej Lepper był pierwszym zagranicznym gościem, który złożył mu wizytę. Były szef Samoobrony przebywał na Ukrainie na zaproszenie Organizacji Monitoringu Wyborów Wspólnoty Niepodległych Państw, w skład których wchodziły Armenia, Azerbejdżan, Białoruś, Kazachstan, Kirgistan, Mołdawia, Rosja, Tadżykistan, Turkmenistan, Ukraina i Uzbekistan.

Andrzeja Leppera ceniono także w Rosji: w 2007 r. odebrał on dyplom doktora honoris causa Moskiewskiej Państwowej Akademii Precyzyjnej Techniki Chemicznej im. Michaiła Łomonosowa „w uznaniu jego wkładu we wspieranie współpracy między Rosją i Polską”.

Zza wschodniej granicy Andrzej Lepper przywiózł zamiłowanie do wróżb i czarów. W gronie jego doradców był jasnowidz Krzysztof Jackowski, z którego rad korzystał lider Samoobrony od momentu, gdy jasnowidz dokładnie określił procent głosów, które partia Andrzeja Leppera zdobędzie w wyborach parlamentarnych w 2001 r. Rok później Jackowski został członkiem honorowym tego ugrupowania, a w 2006 r. kandydował (bez powodzenia) z listy Samoobrony w wyborach samorządowych do sejmiku pomorskiego. Andrzej Lepper wierzył w przepowiednie Jackowskiego. Publicznie komentował na początku 2007 r. wypowiedź jasnowidza, że

koalicja PiS-Samoobrona-LPR nie dotrwa do jesieni.

Andrzej Lepper korzystał także z usług wróżki Hanny Podwójci, „wizjonerki, która — jak czytamy w Internecie — odnalazła wiele zaginionych osób i pomaga w rozwiązywaniu życiowych problemów”, prowadzącej „gabinet terapii i poradnictwa rodzinnego”. Jakie wykształcenie ma Hanna Podwójci — nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że ma bliskie kontakty ze Wschodem. Lider Samoobrony jeździł do niej wspólnie z partyjnymi koleżankami, które razem z nim chodziły m.in. na seanse spirytystyczne. W sumie u wróżki odbył około 100 seansów. Podwójci w jednym z wywiadów powiedziała, że Lepper skarżył się jej, iż jest inwigilowany. To samo zeznali w prokuraturze jego najbliżsi współpracownicy. Chcąc omówić ważne sprawy, często wychodził poza warszawską siedzibę Samoobrony z obawy przed podsłuchami.

W trakcie przeszukania siedziby Samoobrony śledczy znaleźli m.in. dwanaście kartek z magicznymi zaklęciami, na odwrocie których Andrzej Lepper robił odręcznie adnotacje pochodzące ze stawianych mu horoskopów oraz wróżb: „II połowa roku, obserwować ludzi”, „Spółka, ktoś miesza, błędne decyzje, kredyt do 2 miesięcy”, „Syn, wszystko przeczekać w tym roku”. Przy części zapisków były postawione daty: 2010 i 2011 r. Co ciekawe, podobne odręczne adnotacje pochodzące z wróżb i horoskopów były w kalendarzu Andrzeja Leppera użytkowanego w 2011 r. Faktycznie był to kalendarz na 2010 r., ale Andrzej Lepper „przerobił” go na 2011 r. w miejsce „zera” wpisując „jedynekę”. W kalendarzu były wpisy każdego dnia — do 31 lipca 2011 r., kiedy to Andrzej Lepper skrupulatnie zapisywał, co będzie robić w danym dniu. Dlaczego zapisy urwały się z dniem 1 sierpnia? Na to pytanie nikt nie potrafił odpowiedzieć.

W 2007 r., gdy Samoobrona nie miała jeszcze w Sejmie swoich posłów, wśród doradców Leppera znaleźli się byli żołnierze z komunistycznych wojskowych służb specjalnych.

Liderem grupy wojskowych był generał Zenon Poznański, absolwent Akademii Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR. „On i jego przyjaciele od lat doradzają Samoobronie. Wykonują bieżące analizy” — mówił w 2007 r. senator Henryk Dzido. Jedną z ważniejszych osób w grupie wojskowych doradców Leppera był pułkownik rezerwy Marek Mackiewicz, były funkcjonariusz Wojskowych Służb Informacyjnych, absolwent kursów sowieckiego wywiadu GRU, były członek oddziału Y wojskowych służb specjalnych PRL. W latach 90. był zamieszany w nielegalny handel bronią; tamtej sprawy do dziś nie wyjaśniono.

Z rekomendacji Samoobrony Mackiewicz doradzał już posłom sejmowej komisji ds. służb specjalnych. Razem z nim doradzał też inny oficer WSI, pułkownik Lech Szymański, podobnie jak Mackiewicz, w latach 80. oficer oddziału Y. Mężczyźni recenzowali raport z likwidacji WSI, który otrzymała speckomisja — nietrudno się domyślić, że była ona bardzo krytyczna. Z grupą wojskowych doradców Leppera współpracował Zdzisław Kazimierski, były dowódca Warszawskiej Dywizji Zmechanizowanej w Legionowie, absolwent kursów w ZSRR. Także pułkownik Ryszard Jakubczak, były wiceszef WSI, który jako nieliczny z grupy nie był szkolony w ZSRR, lecz w NRD. Mimo klęski wyborczej w 2007 r. nie wszyscy doradcy odeszli od Leppera — zostali głównie ci, którzy z Lepperem współpracowali od początku lat 90., gdy Lepper był nieznanym rolnikiem spod Darłowa, jeszcze przed zawiązaniem Związku Zawodowego „Samoobrona”, który został zarejestrowany w styczniu 1991 r. Na jego czele stanął Lepper: rolnik, właściciel 120-hektarowego gospodarstwa.

Do związku zapisywali się zadłużeni rolnicy, którzy uwierzyli w obietnice Leppera, że wspólnie mogą wywalczyć m.in. niskoprocentowe kredyty. Pierwszy raz Samoobrona dała o sobie znać w 1992 r. W kwietniu jej członkowie okupywali gmach ministerstwa rolnictwa. Po zażegnaniu konfliktu wydawało się, że zapanuje spokój. Jednak już w lipcu 1992 r. Andrzej Lepper urządził „marsz na Warszawę”. Od tego momentu marsze i blokady

(urządzane głównie w czasie, gdy władzę przejmowały ugrupowania postsolidarnościowe) stały się bronią Leppera, która go wyniosła do władzy w 2001 r., kiedy to Samoobrona wygrała wybory do Sejmu i stała się trzecią siłą polityczną w polskim parlamencie z poparciem przekraczającym 10 procent. Następne wybory w 2005 r. wzmocniły pozycję Leppera. Jego partia bez problemu zdobyła miejsca w Sejmie, a sam Lepper został wicepremierem i ministrem rolnictwa.

Kariere Leppera przerwała afera gruntowa, która okazała się także fatalna w skutkach dla partii. Samoobrona nie weszła do Sejmu. Tym samym utraciła subwencję budżetową. To stało się przyczyną potężnych kłopotów finansowych Leppera, które — zdaniem najbliższych znajomych lidera Samoobrony — nie były jednak tak duże, by go doprowadzić do samobójstwa. Tym bardziej, że Andrzej Lepper był bardzo silnie związany ze swoją rodziną, a zwłaszcza z ciężko chorym synem. Robił wszystko, by rodzina nie dowiedziała się o jego kłopotach i chronił syna przed informacjami o kłopotach finansowych, które mogłyby się przyczynić do pogorszenia jego stanu zdrowia.

W końcu września 2011 r. roku Andrzej Lepper, poprzez wspólnego znajomego, poprosił Tomasza Sakiewicza, redaktora naczelnego „Gazety Polskiej” o spotkanie.

„Usłyszałem, że Andrzej Lepper boi się o swoje życie, że chce podać, kto powiedział mu o akcji CBA, kto był źródłem przecieku. Chciał, żebym zorganizował mu spotkanie z Jarosławem Kaczyńskim. Zaproponowałem, żeby na razie spotkał się tylko ze mną, a po rozmowie zadecyduje, co dalej” — stwierdził Sakiewicz.

Lider Samoobrony i redaktor naczelny „Gazety Polskiej” spotkali się 1 października 2010 r. w Łazienkach przy Pałacyku Myśliwskim. Tomasz Sakiewicz był już w parku, gdy na ul. Myśliwiecką przyjechał Andrzej Lepper, który sprawiał wrażenie, że się czegoś obawia. „Przywiózł go jeden z działaczy Samoobrony, ale rozmawialiśmy tylko we dwóch. Andrzej Lepper był

zdenierwowany. Całe spotkanie zostało nagrane” — podkreślił Tomasz Sakiewicz.

Po śmierci Andrzeja Leppera redaktor naczelny „Gazety Polskiej” przekazał nagranie prokuraturze. Tomasz Sakiewicz wyjaśnił, że w związku ze śmiercią szefa Samoobrony uznał, że musi nagranie rozmowy przekazać śledczym. W trakcie rozmowy Lepper nalegał na spotkanie z prezesem PiS Jarosławem Kaczyńskim, któremu chciał przekazać informację, że został wprowadzony w błąd, że został oszukany. Lider samoobrony powiedział także nazwisko urzędnika państwowego, który był źródłem „przecieku” w tzw. aferze gruntowej. Sakiewicz powiedział, że zapyta się osób, które mają kontakt z szefem PiS, czy taki kontakt jest w ogóle możliwy. Naczelny „Gazety Polskiej” mówił, że to może być bardzo trudne ze względu na brak zaufania Kaczyńskiego do Leppera oraz ze względu na sytuację polityczną w Polsce. Zaproponował natomiast publikację w „Gazecie Polskiej” na temat afery gruntowej, o której rozmawiali. Lepper stwierdził, że się nad tym zastanowi, ale już więcej się nie odezwał.

Tomasz Sakiewicz miał natomiast kontakt z osobą, która umówiła spotkanie z Lepperem. Mówiła ona, że Andrzej Lepper ma zapisane informacje, m.in. na temat afery gruntowej, dane kompromitujące niektórych polityków. Zapiski te miały się znajdować w biurze Samoobrony. Prokurator prowadząca postępowanie w sprawie śmierci Leppera uznała, że zarówno zeznania złożone przez Sakiewicza, jak i załączone nagranie, mogą mieć istotne znaczenie dla postępowania dotyczącego „przecieku” w aferze gruntowej i przekazała je śledczym, którzy zajmowali się tą sprawą. Ci jednak stwierdzili, że mimo nowych dowodów śledztwo w sprawie „przecieku” nie zostanie wznowione.

Ostatnimi osobami, które rozmawiały z Andrzejem Lepperem przed śmiercią byli m.in. Janusz Maksymiuk, Mateusz Piskorski, były rzecznik prasowy Samoobrony, Piotr Tymochowicz, doradca medialny, a także Mieczysław Łysy z reżimowego Związku Polaków

na Białorusi oraz Czesław Kiernożek, z którym lider Samoobrony wieczorem 4 sierpnia omawiał wyjazd na Białoruś. Andrzej Lepper poprosił go o telefon następnego dnia około godziny 9.00, ale o wyznaczonej porze nie odbierał telefonu. Nie spotkał się także z dziennikarką TVN, z którą umówił się na wywiad 5 sierpnia około godziny 10.30.

Późnym popołudniem 4 sierpnia Andrzej Lepper spotkał się w biurze ze swoim wieloletnim doradcą Piotrem Tymochowiczem i Januszem Maksymiukiem. W trakcie rozmowy wieczorem 4 sierpnia 2011 r. była poruszana sprawa rejestracji zmian statutu partii Nasz Dom Polska — Samoobrona Andrzeja Leppera. Tymochowicz mówił Lepperowi, że powinien zająć się działalnością gospodarczą i namawiał go na przerwę w działalności politycznej. Już w tym czasie Tymochowicz prowadził rozmowy z Januszem Palikotem. Jak twierdzą niektórzy politolodzy to właśnie Ruch Poparcia Palikota zajął miejsce Samoobrony na scenie politycznej. Oficjalnie swoją współpracę Palikot z Tymochowiczem ogłosili na początku listopada 2011 r. już po wyborach parlamentarnych, w których Ruch Palikota uzyskał poparcie przekraczające 10 procent, zajmując trzecie miejsce w Sejmie. Partia Nasz Dom Polska — Samoobrona nie zdobyła żadnego mandatu. Z listy tej partii startował Janusz Maksymiuk, który — co ciekawe — w kampanii wyborczej poparł Janusza Palikota.

Wieczorem 4 sierpnia Janusz Maksymiuk spotkał Andrzeja Leppera wracającego do biura Samoobrony, gdzie lider ugrupowania miał swój pokój, w którym mieszkał, gdy zatrzymywał się w Warszawie. Lepper powiedział mu, że jeszcze tego samego dnia wieczorem „ma odbyć ciekawe spotkanie”. Odbyło się ono poza siedzibą partii, o czym świadczy logowanie telefonu komórkowego Leppera do różnych stacji BTS — pomiędzy 19.24 a 22.36 telefon zalogował się 77 razy do kilku stacji BTS.

Janusz Maksymiuk należał do najbliższych współpracowników Leppera. Miał związki z firmami handlującymi bronią, z ludźmi z wojskowego wywiadu PRL i rozliczne kontakty w Rosji, na Białorusi

i Ukrainie. Jego biznesową działalnością na Wschodzie interesowały się służby specjalne i prokuratura, co nie przeszkodziło mu uczestniczyć w życiu politycznym kraju. W latach 80. Maksymiuk był działaczem Krajowego Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych. Tuż przed obradami Okrągłego Stołu stanął na czele Rady Głównej KZRKiOR i zaraz potem zasiadł w podzespołe ds. rolnictwa. Niemal w tym samym czasie powstała nikomu nieznana spółka Cenrex. Udziałowcami było Ministerstwo Współpracy Gospodarczej z Zagranicą oraz Wojewódzki Związek Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych w Warszawie. Dyrektorem Cenrexu został były oficer II Zarządu Sztabu Generalnego, Jerzy Dembowski. Jego zastępcami byli Marek Cisek i Janusz Grądział. Spółka miała koncesję na obrót sprzętem specjalnym, czyli na handel bronią.

Według raportu z weryfikacji WSI do Cenrexu trafiło mienie wyprowadzone z państwowej firmy, Centralnego Zarządu Inżynierii. Do 1989 r. monopol na handel bronią miał właśnie Centralny Zarząd Inżynierii usytuowany w Ministerstwie Handlu Zagranicznego, a następnie w Ministerstwie Współpracy Gospodarczej z Zagranicą. Po wejściu w życie ustawy o działalności gospodarczej w 1989 r. zmieniono zakres kompetencji Centralnego Zarządu Inżynierii i działalność handlową związaną z międzynarodowym obrotem bronią podjęły spółki prawa handlowego Cenxin oraz Cenrex, w którym 20 procent udziałów miał WZRKiOR nadzorowany przez Maksymiuka.

W czerwcu 2009 r. Maksymiuk został uznany przez wrocławski Sąd Okręgowy za kłamcę lustracyjnego. Według dokumentów znajdujących się w IPN został on zarejestrowany jako tajny współpracownik Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie Roman. Wyrok ten został 25 listopada 2009 r. uchylony przez Sąd Apelacyjny, a sprawę skierowano do ponownego rozpoznania.

5 sierpnia o godzinie 8.39 zadzwonił do Andrzeja Leppera jeden z jego znajomych, który prosił o pomoc, ponieważ czuł się oszukany

przez grupę biznesmenów. Rozmowa trwała kilka minut: Lepper stwierdził jedynie, że jego rozmówca powinien przyjechać do niego do Warszawy, by omówić szczegóły sprawy, z którą się zwraca. Lepper nie chciał zajmować się tą sprawą, ponieważ — jak zeznali jego znajomi — uważał, że „może to być kolejna prowokacja służb”.

Tego dnia byli w biurze Samoobrony współpracownicy Leppera, ale — jak zeznali — ani go nie widzieli, ani też z nim nie rozmawiali przez telefon. Ponieważ nie zadzwonił do rodziny, jak robił to każdego dnia, gdy był poza domem, jego syn po bezskutecznych próbach kontaktu z ojcem zadzwonił do jego współpracowników. Ci stwierdzili, że nie wiedzą, co się dzieje z Andrzejem Lepperem. Wówczas syn zadzwonił do szwagra, Adriana B., który pracował w pobliżu biura Samoobrony, z prośbą, by sprawdził, co się dzieje z ojcem.

Około godziny 16.20 Adrian B. wszedł do biura, które mieściło się na trzecim piętrze. Gabinet był pusty, podobnie jak prywatny pokój zajmowany przez Andrzeja Leppera. Przez otwarte drzwi do łazienki zobaczył ciało teścia. Wisiało na sznurze przymocowanym do worka boksterskiego. Drzwi do pokoju zajmowanego przez lidera Samoobrony były otwarte, a okno uchylone. Na zewnętrznej ścianie budynku trwały prace remontowe, stały rusztowania, jednak śledczy stwierdzili, że nikt nie wszedł przez okno, ponieważ na parapecie stały przedmioty, które w przypadku wejścia kogoś z zewnątrz musiałyby zostać strącone.

W łazience śledczy znaleźli ślady butów. Nie ustalono jednak, do kogo one należały. Tak samo nie ustalono osoby, do której należało DNA pobrane ze szklanki stojącej w pokoju Andrzeja Leppera. Zidentyfikowano natomiast DNA z pozostałych szklanek. Jedno należało do zmarłego, a drugie do Janusza Maksymiuka. W pokoju nie było widać śladów walki. W telewizorze był zatrzymany kadr z konferencji prasowej premiera Donalda Tuska i Ministra Obrony Narodowej transmitowanej przez Polsat News, a na pasku informacyjnym widniał napis: „Kampanię czas zacząć. Dymisja Anatola Czabana — byłego szefa szkolenia Sił Powietrznych”. Na

ekranie była także podana godzina: 13.14. Prokuratura uznała, że zatrzymanie obrazu nastąpiło z powodu zacinającego się dekodera.

Biegli z zakresu daktyloskopii ujawnili ślady linii papilarnych, które nie nadawały się do badań. „Na pętli wisielczej, kawałku sznurka zabezpieczonego w koszu na śmieci przy biurku Andrzeja Leppera oraz krześle w bezpośrednim sąsiedztwie zwłok Andrzeja Leppera nie ujawniono śladów linii papilarnych. Nadto na zabezpieczonych z pokoju prywatnego Andrzeja Leppera pudełku z napisem »Jewel Lines«, butelce z etykietą Spirytus Rektyfikowany, butelkach po wodzie mineralnej, jednym kieliszku oraz opakowaniach lakierów do włosów biegli ujawnili ślady linii papilarnych pochodzące od nieustalonych osób”.

Natomiast biegli z zakresu badań biologicznych znaleźli na krześle, na którym nie było odcisków palców Andrzeja Leppera, jego materiał biologiczny. Podobnie jak na kawałku sznurka z pętlą, który był w koszu na śmieci. Pozostaje bez odpowiedzi pytanie, jak to możliwe, że były ślady biologiczne, a nie było odcisków palców, zwłaszcza na sznurze, którego — jeżeli to rzeczywiście było samobójstwo — musiał dotykać Andrzej Lepper. Nie wiadomo też, kim były osoby, które zostawiły ślady butów w łazience i dotykały przedmiotów w pokoju Andrzeja Leppera.

Współpracownicy i znajomi Andrzeja Leppera do dziś nie wierzą w jego samobójstwo. W rozmowie z mediami podkreślali, że miał silną osobowość i twardy charakter.

„Samobójstwo to była ostatnia rzecz, której mógłbym się po nim spodziewać” — stwierdził Artur Balazs, były minister rolnictwa, przyjaciel lidera Samoobrony. „Miał plany, chciał wprowadzić partię do Sejmu, miał dla kogo żyć. Nie wierzę w samobójstwo” — mówiła Danuta Hojarska, była posłanka partii Andrzeja Leppera.

Jeszcze w piątek pracował nad listami wyborczymi Samoobrony, która miała startować w najbliższych wyborach do Sejmu, o czym świadczą znalezione dokumenty.

W czwartek 4 sierpnia, dzień przed tragedią, do Ryszarda Czarneckiego, europosła PiS, zadzwonił Janusz Maksymiuk. „Byłem

ogromnie zaskoczony tym telefonem. Nie rozmawiałem z nim parę lat i nagle on do mnie dzwoni. Mówił bardzo ogólnie, chciał się ze mną natychmiast spotkać. Odpowiedziałem, że jest to teraz niemożliwe, może w przyszłym tygodniu. »To może być już za późno« usłyszałem” — mówił Ryszard Czarnecki.

W piątek przed południem w siedzibie Samoobrony był Janusz Maksymiuk oraz trzech innych współpracowników. Spotkała ich dziennikarka TVN, która przyszła na umówiony wywiad. „Maksymiuk poprosił, by kobieta poczekała chwilę w gabinecie Leppera. A sam poszedł do niego dzwonić, na numer stacjonarny, na komórkę, by wywołać go przed kamerę” — pisał dziennikarz „Faktu”, który rozmawiał z dziennikarką. Ostatecznie do spotkania nie doszło. Janusz Maksymiuk miał obiecać, że zadzwoni w tej sprawie, ale tego nie zrobił.

Dlaczego Maksymiuk wyszedł, by zadzwonić do Leppera, a nie zrobił tego przy dziennikarce? Dlaczego, mimo obietnicy, nie odezwał się do niej? Gdzie był w tym czasie szef Samoobrony? Janusz Maksymiuk nie odpowiedział na te pytania.

Według śledczych zgon Leppera nastąpił około godziny 12.00. Przeprowadzona trzy dni po śmierci sekcja zwłok nie wykazała żadnych obrażeń na ciele lidera Samoobrony, a na specjalistyczne badania trzeba poczekać. Śledztwo zostało wszczęte dopiero w poniedziałek, podczas gdy zgon nastąpił w piątek.

Zdaniem biegłych im późniejsza sekcja zwłok, tym mniejsze szanse na wykrycie niektórych substancji, które mogły znajdować się w organizmie denata przed śmiercią. Przykładem może być Pavulon, który m.in. wpływa paraliżująco na mięśnie oddychania, czy chlorek potasu, który błyskawicznie wstrzymuje akcję serca. Zrobiona po 12 godzinach od momentu zgonu sekcja zwłok już nie da jednoznacznej odpowiedzi na pytania, czy te substancje zostały użyte czy też nie. We krwi Andrzeja Leppera nie wykryto alkoholu ani żadnych trucizn, wykryto natomiast niezagrażająca życiu dawkę leku, który przyjmował lider Samoobrony. Po co w takim razie zażył przed śmiercią lekarstwo ratujące życie, skoro

planował samobójstwo?

Andrzej Lepper nie zostawił żadnego listu pożegnalnego. Osoby, z którymi spotykał się na co dzień, nie miały żadnych sygnałów, że jest w depresji lub też, że planuje targnąć się na własne życie.

„Zamachu samobójczego dokonał on sam. Wobec powyższego nie doszło do popełnienia czynu polegającego na doprowadzeniu go pomocą lub namową do targnięcia się na własne życie. Tak więc [...] postępowanie należało umorzyć” — czytamy na końcu 71-stronicowego „Postanowienia o umorzeniu śledztwa w sprawie doprowadzenia Andrzeja Leppera w dniu 5 sierpnia w Warszawie przy. Al. Jerozolimskich 30 namową lub poprzez udzielenie pomocy do targnięcia się na własne życie”. Postanowienie zostało wydane 31 października 2012 r. Nikt się od niego nie odwołał.

POSTANOWIENIE O UMORZENIU ŚLEDZTWA W SPRAWIE ŚMIERCI ANDRZEJA LEPPERA, 31 PAŹDZIERNIKA 2012 R.

PROKURATURA OKRĘGOWA
w Warszawie
WYDZIAŁ ŚLEDczy
ul. Chałubińskiego 2B
00-701 W A R S Z A W A

Sygn. akt V Ds. 146/11

**POSTANOWIENIE
o umorzeniu śledztwa**

Warszawa, dnia 31 października 2012r.

Natalia Maszkiewicz – prokurator Prokuratury Rejonowej Warszawa-Mokotów
delegowana do Prokuratury Okręgowej w Warszawie

w sprawie doprowadzenia Andrzeja Leppera w dniu 5 sierpnia 2011r. w Warszawie
przy Al. Jerozolimskich 30 namową lub poprzez udzielenie pomocy do targnięcia się
na własne życie

tj. o czyn z art. 151 kk

na podstawie art. 11 § 1kpk, 17 § 1 pkt 1 i 10 kpk, art. 322 § 1, 2 kpk oraz
art. 192a § 1 kpk

postanowiła

I. umorzyć śledztwo w sprawie:

1. doprowadzenia Andrzeja Leppera w dniu 5 sierpnia 2011r. w Warszawie przy
Al. Jerozolimskich 30 namową lub poprzez udzielenie pomocy do targnięcia
się na własne życie tj. o czyn z art. 151 kk

**na zasadzie art. 17 § 1 pkt. 1 kpk wobec faktu, iż czynu tego nie
popelniono**

2. kierowania wobec Andrzeja Leppera w okresie od 1 stycznia 2001r. do 31
grudnia 2009r. w Warszawie, Wiedniu i innych miejscach na terenie Polski
przez ustaloną osobę - działającą w krótkich odstępach czasu w wykonaniu z
góry powziętego zamiaru - telefonicznie (w tym za pomocą smsów) oraz
listownie, wzbudzających uzasadnioną obawę, iż zostaną spełnione, gróźb
pozbawienia go życia tj. o czyn z art. 190 § 1 kk w zw. z art. 12 kk

12

Leszek Tobiasz

– Znak czerwonej
gwiazdy

Pułkownik Leszek Tobiasz zaczynał karierę zawodową w komunistycznych służbach specjalnych — w Wojskowej Służbie Wewnętrznej. Jego tajemnicza śmierć, a wcześniej uwikłanie w tzw. aferę marszałkową, której głównym bohaterem stał się ówczesny marszałek Sejmu Bronisław Komorowski — sprawiła, że cała historia znakomicie nadaje się na scenariusz szpiegowskiego filmu.

Na pogrzebie pułkownika Tobiasza pojawili się Rosjanie oraz polscy dyplomaci z naszej ambasady w Moskwie, a także cała plejada osób z byłych Wojskowych Służb Informacyjnych, na czele z generałem Markiem Dukaczewskim i Markiem Mackiewiczem, byłym funkcjonariuszem oddziału Y w WSI, który był absolwentem kursów GRU (sowieckiego wywiadu wojskowego). Mackiewicz był także doradcą Andrzeja Leppera oraz sejmowej komisji ds. służb specjalnych z rekomendacji Samoobrony. Taki skład żałobników nie dziwi, gdy weźmie się pod uwagę fakt, że Leszek Tobiasz jako żołnierz WSW po 1990 r. został żołnierzem WSI — nowej-starej specjalnej służby wojskowej. Do momentu rozwiązania WSI, czyli do 2006 r., żołnierze tej formacji nie przeszli żadnej weryfikacji. Władze III RP pozwoliły, by wojskową służbę specjalną stanowili ludzie Moskwy.

Wojskowa Służba Wewnętrzna była w rzeczywistości kontynuacją Głównego Zarządu Informacji Ministerstwa Obrony Narodowej, który został zlikwidowany w 1957 r. GZI należał do najbardziej zbrodniczych służb specjalnych PRL. Przeprowadzał masowe represje wśród żołnierzy Wojska Polskiego, Armii Krajowej, Wolności i Niezawisłości, Narodowych Sił Zbrojnych oraz ludności cywilnej. Żołnierze GZI, którzy trafili do WSW, nie przeszli żadnej weryfikacji — formacja po prostu zmieniła nazwę.

W latach 80. Leszek Tobiasz był podwładnym szefa kontrwywiadu WSW pułkownika Lucjana Jaworskiego. W tym czasie służba

podległa Jaworskiemu zabezpieczała obóz internowania w Jaworzu, gdzie trafił Bronisław Komorowski. Później, w latach 90., Komorowski jako wiceminister obrony narodowej w latach 1990-1993 (z przerwą w 1992 r.) zgodził się, żeby do WSI (które w rzeczywistości były kontynuacją WSW i Zarządu II Sztabu Generalnego) trafili ludzie z komunistycznych służb wojskowych.

Na ten temat pisze Sławomir Cenckiewicz w „Długim ramieniu Moskwy”: „W jednej z relacji o pracy w MON w 1990 r. B. Komorowski powiedział, że premier Mazowiecki polecił mu »zapropionować kandydata na szefa kontrwywiadu wojskowego«. Gen Siwicki [Florian, oskarżony o masakrę robotników na Wybrzeżu — red.] postawił mi wtedy warunek — kontynuuje Komorowski — że musi to być fachowy oficer. Znalazłem takiego”. Tym „fachowcem” był właśnie Jaworski.

Potwierdził to pułkownik Lucjan Jaworski, który zeznał przed Komisją Weryfikacyjną, że „min. Komorowski zgodził się, abym mógł dobierać sobie ludzi do kontrwywiadu”. Jednym z takich „dobrych” ludzi był właśnie pułkownik Tobiasz. „Gazeta Polska” ujawniła mało znany etap z życia pułkownika, a dotyczący jego pracy w Moskwie. W latach 1996-1999 był tam ekspertem w ataszacie wojskowym. Co ciekawe, w tym samym czasie w polskiej ambasadzie w Moskwie przebywał Tomasz Turowski, słynny szpieg cywilnego wywiadu. Na przyjęciach w ambasadzie często gościł wówczas Władimir Grinin, który w 2010 r., gdy przygotowywano wizytę prezydenta Kaczyńskiego w Katyniu, był ambasadorem Rosji w Polsce.

Pułkownik Tobiasz był delegowany przez WSI do wykonywania operacji o szczególnym znaczeniu. Jedną z nich była przeprowadzona w latach 2002-2003 nielegalna operacja WSI skierowana przeciwko księżom katolickim o kryptonimie „Anioł”, której jednym z głównych bohaterów był arcybiskup Juliusz Paetz.

Szczegóły operacji znalazły się w Teczce Nadzoru Szczególnego Kryptonim „Anioł”. Tobiasz, za pośrednictwem Jerzego Wójcickiego, ministra energetyki w okresie PRL, przekazał

jednemu z dziennikarzy dokładne wskazówki, gdzie szukać materiałów mających wskazywać na homoseksualne skłonności duchownego oraz informacji mogących obciążyć arcybiskupa.

We wtorek, 14 lutego 2012 r., portal Niezależna.pl podał informację, którą natychmiast podjęły inne media: nie żyje pułkownik Leszek Tobiasz, jeden z głównych bohaterów „afery marszałkowej”, jedyny świadek oskarżenia w sprawie rzekomej korupcji przy weryfikacji żołnierzy byłych Wojskowych Służb Informacyjnych. Za dwa tygodnie miał on po raz pierwszy złożyć zeznania przed sądem. Miało także dojść do konfrontacji Tobiasza z Bronisławem Komorowskim.

Leszek Tobiasz zmarł w Zwoleniu tuż po północy 11 lutego na imprezie integracyjnej pracowników Mazowieckiej Wojewódzkiej Komendy OHP, na którą przyjechał autokarem razem z kilkudziesięcioma osobami. Tobiasz, gdy WSI zostało rozwiązane, był zatrudniony w OHP jako fachowiec od obronności i spraw niejawnych. Po obiedzie uczestnicy imprezy pojechali do Kazimierza na wycieczkę. Wieczorem, po powrocie, rozpoczęła się zabawa karnawałowa, która trwała do późnej nocy.

Z oficjalnej wersji wynika, że około 23.40 Tobiasz podczas tańca z partnerką nagle upadł, uderzył głową o parkiet i stracił przytomność. Wezwano pogotowie. Lekarz stwierdził zgon, który nastąpił o godzinie 0.10. Ponieważ okoliczności śmierci były dla niego niejasne, zawiadomił policję i prokuraturę, która zarządziła sekcję zwłok.

Tyle można było się dowiedzieć z oficjalnego komunikatu prokuratury. Reporterzy „Gazety Polskiej”, którzy pojechali do Zwolenia, usłyszeli jednak inną wersję wydarzeń.

„Kiedy pogotowie przyjechało na miejsce, większość towarzystwa była już mocno wstawiona. Mówili, że w czasie wieczoru płk Tobiasz stał z jakimś mężczyzną przy oknie i nagle przewrócił się, uderzając głową w parapet. Niewykluczone, że został popchnięty” — relacjonowała jedna z osób przebywająca w

ośrodka, w którym odbywała się impreza OHP. Przeprowadzający sekcję zwłok anatomopatolog stwierdził „ranę w okolicach zausznych, która powstała przed śmiercią” i „rozległą niewydolność krążenia”. Nie są znane okoliczności powstania rany. Pracownicy ośrodka, w którym odbywała się impreza, dostali zakaz rozmowy z dziennikarzami i postronnymi osobami, które chciały się dowiedzieć, jaki był przebieg zdarzeń, w wyniku których poniósł śmierć pułkownik Tobiasz.

1 marca pułkownik Tobiasz po raz pierwszy miał zeznawać przed sądem w sprawie rzekomej korupcji przy weryfikacji żołnierzy WSI, miała się też odbyć jego konfrontacja z Bronisławem Komorowskim.

Pułkownik był najważniejszym świadkiem w całej sprawie — na podstawie jego zeznań doszło do przeszukania domów członków komisji weryfikacyjnej: Piotra Bączka i Leszka Pietrzaka. Od chwili wszczęcia śledztwa do momentu tego przeszukania ABW prowadziła działania operacyjne, podsłuchiwała rozmowy i stosowała obserwację, m.in. historyka Sławomira Cenckiewicza (z komisji weryfikacyjnej WSI) i politologa Piotra Wojciechowskiego (z komisji likwidacyjnej WSI).

Śledztwo zostało wszczęte „w sprawie ujawnienia pracownikom spółki akcyjnej Agora informacji stanowiących tajemnicę państwową w postaci treści aneksu do raportu w sprawie działalności Wojskowych Służb Informacyjnych”. Ten zapis zniknął jednak w późniejszej fazie śledztwa.

Afera marszałkowa zaczęła się jesienią 2007 r. od wizyty Leszka Tobiasza w gabinecie ówczesnego marszałka Sejmu Bronisława Komorowskiego. Żołnierza WSI miała skontaktować z parlamentarzystą PO posłanka Platformy Jadwiga Zakrzewska, która pytana o szczegóły pośrednictwa zasłaniała się niepamięcią. Kilka miesięcy później okazało się, że Tobiasz nagrywał swoich rozmówców. Część nagrań z afery marszałkowej trafiła do Prokuratury Apelacyjnej w Warszawie. W związku z rzekomą

korupcją oskarżono dziennikarza Wojciecha Sumlińskiego i pułkownika WSW Aleksandra L.

Ostatecznie okazało się, że wszczęte śledztwo było w rzeczywistości prowokacją wymierzoną w Komisję Weryfikacyjną i jej szefa Antoniego Macierewicza.

Rok przed śmiercią Tobiasza, 21 grudnia 2011 r., zmarł Marian Cypel — były dyplomata i rezydent wywiadu PRL w Wiedniu. Jego pogrzeb odbył się 27 grudnia w Warszawie.

To właśnie za pośrednictwem Cypla Leszek Tobiasz starał się dotrzeć do kościelnych hierarchów: bp. Antoniego Dydycza i bp. Sławoja Leszka Głódzia. Ci z kolei mieli mu ułatwić kontakt z Antonim Macierewiczem — likwidatorem Wojskowych Służb Informacyjnych.

„Gazeta Polska” opublikowała fragmenty złożonych w prokuraturze zeznań, m.in. Leszka Tobiasza — jedyne go świadka oskarżenia, Mariana Cypla — ówczesnego szefa ABW, Krzysztofa Bondaryka oraz Bronisława Komorowskiego, który był przesłuchiwany w czasie, kiedy pełnił funkcję marszałka Sejmu.

„Nie miałem pełnego zaufania do L. Tobiasza. Przez okres naszej znajomości spotkaliśmy się może 10-15 razy, i to zawsze z jego inicjatywy. [...] Było tak, że kiedyś prosił mnie o umożliwienie mu kontaktu z biskupem Dydyczem i biskupem Głodziem, zgodziłem się spytać o to biskupów. Tak mu powiedziałem, jednak w sumie nie pytałem o to obu biskupów, a L. Tobiaszowi powiedziałem, że po rozmowie z biskupami nie widziałem możliwości zorganizowania spotkania z nimi” — zeznał w prokuraturze 13 lutego 2009 r. pułkownik Cypel.

O znajomości z Cyplem Leszek Tobiasz zeznawał w kontekście przyjęcia, które zostało zorganizowane przez Cypla w okolicach Janowa Podlaskiego:

„Ja tego gospodarza poznałem przez L. [drugiego oskarżonego — red.]. Nie chciałbym mieszać tego gospodarza w tę sprawę, bo

nie ma z nią nic wspólnego, ale nazywa się Marian Cypel [...]” — zeznał Tobiasz. A prokurator nie zadał mu żadnych pytań dotyczących spotkania z biskupami.

Marszałek Sejmu Bronisław Komorowski zeznał w prokuraturze 24 lipca 2008 r.:

„Nie było dla mnie zaskoczeniem pojawienie się mojego nazwiska w aneksie. Wcześniej prasa sugerowała, że moja osoba ma być objęta treścią tego raportu. Ja wyraziłem wstępnie zainteresowanie jego propozycją [chodzi o Aleksandra L. — red.]. Umówiliśmy się, że on odezwie się, gdy będzie na pewno miał możliwość dotarcia do tych dokumentów. Miał się wtedy do mnie odezwać poprzez telefon mojego biura. Jednak po kilku dniach pani Jadwiga Zakrzewska, poseł PO, przekazała mi, że chce się ze mną spotkać pułkownik z WSI, który jest jej sąsiadem. Spotkanie odbyło się w moim biurze poselskim. Rozmówcą okazał się nieznany mi wcześniej płk Leszek Tobiasz. [...] Płk Tobiasz powiedział mi, że ma dowody na korupcyjną działalność Komisji Weryfikacyjnej. [...] Tobiasz parokrotnie odwiedzał mnie w biurze. Próbował mi dalej opowiadać, był zaniepokojony, że nie udzielono mu instrukcji, jak ma się zachowywać. Ja wiedząc, że jest już prowadzone postępowanie, odsyłałem go do ABW [...]”.

Z protokołów przesłuchań świadków afery wyłania się obraz „polowania” na Komisję Weryfikacyjną i niespotykany pośpiech, z jakim to robiono. Zaledwie tydzień po tym, jak p.o. szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego został Krzysztof Bondaryk (16 listopada 2007 r.), zadzwonił do niego Paweł Graś.

„Zaproponował spotkanie na terenie Sejmu w tym samym dniu. [...] Minister Graś poinformował mnie w skrócie, że istnieje potrzeba — prośba ze strony Marszałka Komorowskiego — abym się udał do jego biura poselskiego, ponieważ jest u niego w tym momencie ktoś, kto ma ważne informacje dla bezpieczeństwa kraju. Minister Graś powiedział, że jest to prawdopodobnie oficer, a sprawa dot. korupcji związanej z Komisją Weryfikacyjną. Minister Graś poinformował mnie, że Marszałek tam na mnie oczekuje i

żeby tam się udał i osobiście podjął czynności służbowe” — czytamy w protokole przesłuchania Krzysztofa Bondaryka z 28 listopada 2008 r.

W dalszej części przesłuchania były szef ABW opisuje, że 23 listopada 2007 r. razem z nim do biura marszałka Sejmu Bronisława Komorowskiego pojechało trzech oficerów ABW, którzy — co ciekawe — nie weszli razem z Bondarykiem do środka, lecz czekali na zewnątrz. Bez świadków Komorowski poinformował Bondaryka, że jest u niego oficer, który ma dowody na korupcję w Komisji Weryfikacyjnej oraz posiada informacje związane z bezpieczeństwem państwa. Komorowski przedstawił Bondarykowi Tobiasza, który opowiedział o rzekomej korupcji w Komisji Weryfikacyjnej i zgodził się złożyć zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa.

„Uznałem, że biuro Marszałka Sejmu nie jest właściwym miejscem do przyjmowania zawiadomienia o przestępstwie, że właściwym miejscem będą pomieszczenia urzędowe ABW. Zaproponowałem Leszkowi Tobiaszowi, żeby się udał ze mną do siedziby ABW i tam złożył zawiadomienie i przekazał dowody” — zeznał dalej Krzysztof Bondaryk, który osobiście zawiózł Tobiasza do siedziby Agencji, gdzie żołnierz WSI złożył zeznania.

Co ciekawe, z zeznania Komorowskiego wynika natomiast, że płk Tobiasz 3 grudnia (a więc już po wszczęciu śledztwa w sprawie rzekomej korupcji przy weryfikacji WSI) przyniósł mu dowody w postaci nagrań. Komorowski zeznał, że po wizycie Tobiasza zawiadomił ministra Grasia i ABW. Do dziś nie wiadomo, dlaczego Bronisław Komorowski skłamał podczas przesłuchania, twierdząc, że dopiero w grudniu zawiadomił służby specjalne, podczas gdy faktycznie, jak wynika z dokumentów, miało to miejsce w listopadzie.

Przesłuchiwany w prokuraturze 17 grudnia 2007 r. pułkownik Leszek Tobiasz nie wspomniał ani słowem o swojej wizycie u Bronisława Komorowskiego, mówił natomiast o swoich nagraniach:

„L. podczas rozmowy miał do mnie pretensje, że nie udzieliłem

mu informacji o osobach i rzekomych sprawach, którymi rzekomo miało się zajmować biuro wewnętrzne SKW. Było to nawiązanie do rozmowy wcześniej z 20 listopada 2007 r., którą nagrałem” — zeznał Tobiasz.

To właśnie wtedy Tobiasz i Aleksander L. rozmawiali o tym, że Lech Wałęsa wcale nie przeskoczył przez płot, lecz na strajk do stoczni przywiózł go szkolony w ZSRR admirał marynarki wojennej Romuald Waga (zmarły w 2008 r.).



Już po udziale pułkownika Tobiasza w aferze marszałkowej Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego miała zaproponować, by Tobiasz objął jeden z wojskowych ataszatów. W grę wchodziły Turkmenistan i Uzbekistan, czyli kraje leżące blisko Gruzji, których atutem jest potencjał energetyczny. Wyjazd nie doszedł jednak do skutku. Nie zgodził się na niego ówczesny szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego, Grzegorz Reszka, kiedy zapoznał się z teczką ochrony kontrwywiadowczej Tobiasza z czasów, gdy był on ekspertem ataszatu wojskowego w Moskwie. Grzegorz Reszka z funkcji szefa SKW został odwołany 20 lutego 2008 r., gdy trwała afera marszałkowa.

10 kwietnia 2010 r., kilka godzin po katastrofie smoleńskiej, w której zginął śp. prezydent RP prof. Lech Kaczyński, marszałek Sejmu Bronisław Komorowski został p.o. prezydenta RP.

Jedną z jego pierwszych decyzji było mianowanie na p.o. Biura Bezpieczeństwa Narodowego (szef BBN, Aleksander Szczygło, także zginął w katastrofie) generała Stanisława Kozieja. Koziej w latach 80. przeszedł przeszkolenie w Moskwie. Aneks do raportu z weryfikacji WSI, który znajdował się w BBN, a do którego tak bardzo chciał dotrzeć Bronisław Komorowski, przestał być dla p.o. prezydenta tajemnicą.

Leszek Tobiasz zmarł dwa lata później. „Aneks” nie został ujawniony.

PIERWSZA STRONA ZAWIADOMIENIA ZŁOŻONEGO PRZEZ PŁK. LESZKA TOBIASZA 31 GRUDNIA 2007 R.
W SPRAWIE SŁYNNIEJ „AFERY MARSZAŁKOWEJ”.

<small>(nazwa i numer rejestru, znak sprawy)</small> Departament Zwalczania Przestępczości Zorganizowanej ABW <small>(nazwa jednostki ABW przyjmującej zawiadomienie)</small> Warszawa <small>(miejsce dokonywania czynności)</small>																																																	
PROTOKÓŁ PRZYJĘCIA USTNEGO ZAWIADOMIENIA O PRZESTĘPSTWIE I PRZESŁUCHANIA W CHARAKTERZE ŚWIADKA OSOBY ZAWIADAMIAJĄCEJ PRZYJĘCIA WNIOSKU O ŚCIGANIE																																																	
LESZEK TOBIASZ <small>(imię i nazwisko osoby zawiadamiającej)</small>																																																	
<table border="1" style="border-collapse: collapse;"><tr><td colspan="12">1. Czas rozpoczęcia czynności</td></tr><tr><td>1</td><td>8</td><td>0</td><td>0</td><td>2</td><td>3</td><td>1</td><td>1</td><td>2</td><td>0</td><td>0</td><td>7</td></tr><tr><td colspan="2">g</td><td colspan="2">g</td><td colspan="2">m</td><td colspan="2">m</td><td colspan="2">d</td><td colspan="2">d</td></tr><tr><td colspan="2">r</td><td colspan="2">r</td><td colspan="2">r</td><td colspan="2">r</td><td colspan="2">r</td><td colspan="2">r</td></tr></table>		1. Czas rozpoczęcia czynności												1	8	0	0	2	3	1	1	2	0	0	7	g		g		m		m		d		d		r		r		r		r		r		r	
1. Czas rozpoczęcia czynności																																																	
1	8	0	0	2	3	1	1	2	0	0	7																																						
g		g		m		m		d		d																																							
r		r		r		r		r		r																																							
Na podstawie art. 304 k.p.k. i 304 a k.p.k.																																																	
2. Prowadzący czynność	Kpt. ██████████ Departamentu Zwalczania Przestępczości Zorganizowanej ABW																																																
3. Protokolant	Osobiście																																																
4. Inni uczestnicy, charakter uczestnictwa w czynności	bez udziału innych osób																																																
5. Czynność utrwalona <input type="checkbox"/> Tak <input type="checkbox"/> Nie, za pomocą urządzenia rejestr. obraz/dźwięk* o czym uprzedzono uczestników																																																	
6. Rodzaj i cechy identyfikujące urządzenie, nośnik, techniczne warunki rejestracji	Nie rejestrowano																																																
7. Dane osoby obsługującej urządzenie	Nie dotyczy																																																
8. Tożsamość osoby ustalono na podstawie (nazwa, seria, numer dokumentu oraz nazwa organu wydającego i data wydania) albo zapis „w/o oświadczenia ustnego” w przypadku braku dokumentu	Dowód osobisty ██████████ Prezydent Miasta Stołecznego Warszawy																																																
9. Numer PESEL	██████████																																																
Oświadczam, że zostałem(am) uprzedzony(a) o: <ul style="list-style-type: none"><input type="checkbox"/> odpowiedzialności karnej / możliwości zastosowania środków przewidzianych w przepisach o postępowaniu w sprawach nieletnich za zawiadomienie organu o niepopelnionym przestępstwie (art. 236 kk) lub fałszywe oskarżenie (art. 234 kk);<input type="checkbox"/> odpowiedzialności karnej za zeznanie nieprawdy lub zatajenie prawdy (art. 233 § 1 kk) – dotyczy świadków powyżej 17 lat;<input type="checkbox"/> możliwości zastosowania środków przewidzianych w przepisach o postępowaniu w sprawach nieletnich za zeznanie nieprawdy lub zatajenie prawdy (art. 233 § 1 kk) – dot. świadków poniżej 17 lat;<input type="checkbox"/> treści art. 182 kpk oraz poinformowany o okolicznościach uzasadniających odmowę zeznań lub uchylenia się od odpowiedzi na pytanie określonych w art. 179, 180, 183, 185 kpk oraz o obowiązkach określonych w art. 177 § 1, 192 i 192a kpk a także uprawnieniu określonym w art. 191 § 3 kpk;<input type="checkbox"/> skutkach niepodania adresata dla doręczeń w kraju (art. 138 kpk) - dotyczy przebywających za granicą: świadka będącego pokrzywdzonym oraz osoby niebędącej stroną, której prawa zostały naruszone.																																																	
	 <small>(podpis świadka)</small>																																																

13

Sławomir Petelicki

**– W samobójstwo
nikt nie uwierzył**

Mecz Polska-Czechy zgromadził przed telewizorami miliony widzów. Niemal wszyscy Polacy emocjonowali się rozgrywkami Euro 2012. Dlatego informacja o śmierci generała Sławomira Petelickiego nie stała się główną wiadomością w mediach. Dopiero dzień później trafiła na czołówki. Co ciekawe, niemal natychmiast większość dziennikarzy jednoznacznie wskazywała na samobójstwo, chociaż w pierwszych godzinach jego bliscy znajomi temu zaprzeczali.

Gromosław Czempiński, który był razem ze Sławomirem Petelickim w Służbie Bezpieczeństwa, początkowo mówił, że jest „nieprawdopodobne, by Sławek sam się zabił”. Ale już dzień później powtarzał tezę większości mediów o samobójczej śmierci generała Petelickiego.

Generał Sławomir Petelicki zginął 16 czerwca 2012 r. około godziny 16.00 w garażu apartamentowca, w którym mieszkał. Ciało znalazła żona, która zaniepokojona przedłużającą się nieobecnością męża, zeszła na dół.

Zamontowany w budynku monitoring zarejestrował ostatnie minuty z życia generała: widać na nim jedynie, jak generał Petelicki w jasnej koszuli i w dżinsach znika za załomem podziemnego korytarza.

Garaż, do którego praktycznie każdy może wejść, był właściwie jedynym miejscem, w którym Sławomir Petelicki nie był bezpieczny. Wystarczyło przejść przez otwartą bramę, kiedy wjeżdżał nią samochód któregoś z lokatorów. Bez użycia specjalnego kodu i karty nie można natomiast dostać się do części mieszkalnej, gdzie znajdują się apartamenty.

Prokuratura wstępnie przyjęła wersję samobójstwa, chociaż nie wierzył w to nikt z jego znajomych.

„To był cholernie twardy facet. Potrafił odizolować się od wielu

spraw i iść wytyczoną drogą wbrew wszystkiemu. Poza tym kochał nade wszystko swoją rodzinę, żonę, dzieci” — podkreślał w publicznych wypowiedziach Janusz Wójcik, były trener reprezentacji Polski w piłce nożnej i były poseł Samoobrony, przyjaciel Petelickiego.

Jego znajomi i dawni podwładni zwracali uwagę na to, że Petelicki wiele mówił o honorze żołnierza polskiego, o mundurze. Epatował tymi pojęciami, często ich nadużywając. Podkreślali, że gdyby rzeczywiście sam, z własnej woli popełnił samobójstwo, to zrobiłby to w mundurze, z listem pożegnalnym, w którym wskazałby przyczyny tak desperackiego kroku.

Prokuratura kilka razy przedłużała śledztwo w sprawie śmierci Petelickiego. Badania wykazały, że w chwili śmierci nie był on pod wpływem alkoholu, leków, ani środków odurzających. Pistolet, z którego oddano strzał, był bez tłumika, ale nikt nie słyszał odgłosu wystrzału. Wiele śladów utracono jednak bezpowrotnie, np. sekcja zwłok została wykonana dopiero w poniedziałek, dwa dni po śmierci Sławomira Petelickiego.

Przesłuchano kilkadziesiąt osób, sprawdzono bilingi telefonicznie i kontakty biznesowe. Śledczy badali udział osób trzecich: czy ktoś mógł nakłonić generała do samobójstwa lub też czy ktoś mógł upozorować taką właśnie wersję zdarzeń.

Kilka dni przed śmiercią Petelicki brał udział w przyjęciu w znanej restauracji w Warszawie, na którym było kilku biznesmenów z listy najbogatszych oraz ludzie zajmujący się handlem bronią. Petelicki nie sprawiał wrażenia załamane czy też przybitego — wręcz przeciwnie — był w doskonałym humorze.

Ze znajdujących się w IPN dokumentów wywiadu PRL dotyczących Sławomira Petelickiego wynika, że przed przyjęciem do pracy w wywiadzie Petelicki intensywnie działał w Komisji Kultury Zrzeszenia Studentów Polskich, gdzie zajmował się m.in. pracą w STS (Studenckim Teatrze Satyryków).

„Po wykazaniu dużych zdolności organizacyjnych został

powołany na stanowisko wiceprzewodniczącego Środowiskowej Sekcji Teatrów i Kabaretów, którą to funkcję pełni do dziś” — pisali 16 czerwca 1969 r. szefowie Komisji Kultury ZSP.

Jego przeszłość była owiana tajemnicą do momentu, gdy w Instytucie Pamięci Narodowej odtajniono dokumenty wywiadu PRL. Było to możliwe dzięki decyzjom szefa IPN profesora Janusza Kurtyki (zginął w katastrofie smoleńskiej 10 kwietnia 2010 r.).

Z dokumentów wywiadu PRL wynika, że Petelicki złożył podanie o przyjęcie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych 13 czerwca 1969 r., tuż przed zdaniem końcowego egzaminu na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Mieszkał wówczas z rodzicami w luksusowej dzielnicy Warszawy przy ul. Parkowej, tuż obok Łazienek Królewskich.

„Urodziłem się 13 września 1946 r. w Warszawie w rodzinie wojskowej. Mój ojciec Mirosław od 1943 do 1945 r. walczył w szeregach Armii Ludowej i był skoczkiem spadochronowym brygady »Grunwald« w woj. kieleckim. Od 1945 r. jest oficerem zawodowym i pracuje obecnie w Ministerstwie Obrony Narodowej w stopniu pułkownika” — pisał Sławomir Petelicki w swoim życiorysie załączonym do podania o przyjęcie do MSW.

Petelicki mówiąc o ojcu w wywiadach wspominał, że był on wielokrotnym mistrzem Polski w strzelectwie sportowym. I że jako jeden z dowódców Polskiego Samodzielnego Batalionu Specjalnego dowodził akcją, w której 26 polskich spadochroniarzy zabiło w zasadzce ponad stu esesmanów.

Pomijał natomiast milczeniem prawdziwą historię brygady „Grunwald”, która była oddziałem sowieckiej partyzantki, jednostki dywersyjnej. Sformowano ją zgodnie z decyzją KC KP Ukrainy z 14 marca 1944 r. i przerzucono z Kijowa przez linię frontu na podstawie rozkazu szefa Ukraińskiego Sztabu Ruchu Partyzanckiego, generała majora Timofieja Strokacza, „celem niesienia pomocy nacierającym oddziałom Armii Czerwonej” — jak pisał dowódca brygady, komunistyczny partyzant Józef Sobiesiak, we wspomnieniach pt. „Brygada Grunwald”. Sobiesiak opisywał

również walki z „podstępnym wrogiem kryjącym się w faszystowskim gnieździe” — chodziło oczywiście o żołnierzy niepodległościowych Narodowych Sił Zbrojnych.

W momencie składania przez Sławomira Petelickiego podania o przyjęcie do pracy w MSW jego ojciec pracował w II Zarządzie Sztabu Generalnego, z którego później powstały Wojskowe Służby Informacyjne. Kariera zawodowa ojca bardzo pomogła Sławomirowi Petelickiemu w jego pracy w wywiadzie PRL. W MSW kluczowe stanowiska zajmowali wówczas ludzie, którzy zanim trafili do pracy w resorcie, byli w LWP i walczyli z podziemiem niepodległościowym, jak np. Mirosław Milewski, wiceminister spraw wewnętrznych, który osobiście skierował Sławomira Petelickiego do pracy wywiadowczej w USA.

W I Departamencie MSW (wywiad) Sławomir Petelicki zrobił błyskawiczną karierę. Najpierw przeszedł kurs indywidualny na oficera I Departamentu, a już w 1973 r., mimo niewystarczającej znajomości języka angielskiego, został wysłany do pracy w Nowym Jorku.

„Proszę o delegowanie ppor. Sławomira Petelickiego, st. oficera Wydziału III Dep. I MSW, do pracy w rezydenturze nowojorskiej. [...] Zadania wywiadowcze będzie realizował pod przykryciem attaché konsularnego w Konsulacie Generalnym w Nowym Jorku. Przestrzega należycie tajemnicy służbowej. Ma ugruntowany światopogląd marksistowski. Od lat jest aktywistą społecznym i młodzieżowym. W marcu 1972 r. został kandydatem PZRP” — pisał 3 lutego 1973 r. naczelnik Wydziału III Departamentu I, pułkownik J. Słowikowski, w raporcie skierowanym do gen. Mirosława Milewskiego, ówczesnego wiceministra spraw wewnętrznych.

Po dwuletniej działalności w Nowym Jorku przełożeni Petelickiego ocenili go pozytywnie. „Pion informacyjny b. pozytywnie ocenia opracowania por. Petelickiego z zakresu operacji ogólnoooperacyjnej, niektórych rejonów kraju pobytu, co miało szczególne znaczenie w związku z państwową wizytą Towarzysza Edwarda Gierka. Por. Petelicki dokonał kilku innych

opracowań z zakresu sytuacji wywiadowczej, które okazały się przydatne i pożyteczne w systemie naszej pracy” — czytamy w „Charakterystyce polityczno-zawodowej za okres pracy w rezydenturze od maja 1973 r. do czerwca 1975 r.” opracowanej 25 lipca 1975 r.

Rozpracowanie środowisk patriotycznych na terenie USA przez Sławomira Petelickiego było na tyle dobre, że jego przełożeni zdecydowali się na przedłużenie jego pobytu do roku 1979. Na terenie Stanów Zjednoczonych Petelicki używał pseudonimu Wan. W 1976 r. w Wydziale XI Departamentu I, specjalizującym się w rozpracowywaniu wychodźstwa, założył m.in. sprawę o kryptonimie „Tyrmand”, zamkniętą dopiero w 1981 r. Dotyczyła ona Leopolda Tyrmanda, polskiego pisarza znanego z antykomunistycznych poglądów.

Po powrocie do kraju Petelicki najpierw został zastępcą naczelnika Wydziału VIII Departamentu I MSW, który to wydział prowadził sprawy ekonomiczne. W lutym 1980 r. powołano go zaś na zastępcę Wydziału XI, który zajmował się dywersją ideologiczną. Rok później Petelicki otrzymał od przełożonych premię specjalną za skuteczne realizowanie przedsięwzięć inspiracyjno-propagandowych.

Szefowie MSW mieli tak duże zaufanie do Petelickiego, że w lutym 1983 r. skierowali go do pracy w charakterze rezydenta w ambasadzie polskiej w Londynie, gdzie oficjalnie miał być I sekretarzem ds. politycznych. Zgodę na jego wyjazd wydał ówczesny szef wywiadu MSW generał Stanisław Pożoga.

Petelicki miał kierować w Londynie pracą rezydentury, ponieważ — jak napisali jego przełożeni w raporcie — znał doskonale problematykę dywersji ideologicznej.

Petelickiego Wielka Brytania jednak spaliła na panewce: nie przyznano mu wizy. „Fakt nieudzielenia wizy przez władze brytyjskie wskazuje, że może on być znany zachodnim służbom jako oficer wywiadu” — pisał w notatce służbowej dyrektor Departamentu I MSW pułkownik Fabian Dmowski.

Po odmowie wjazdu do Wielkiej Brytanii Sławomir Petelicki został skierowany do pracy w rezydenturze w ambasadzie polskiej w Sztokholmie, gdzie używał pseudonimu Raja. Do kraju wrócił 1 lipca 1988 r., jak czytamy w notatce służbowej pułkownika Wiesława Mickiewicza, naczelnika Wydziału XVI Departamentu I MSW. Powodem powrotu Petelickiego do kraju była dekonspiracja.

„W wyniku dezercji i zdrady Ryszarda Noska został zdekonspirowany mjr Sławomir Petelicki, który może być znany Noskowi z pracy w Centrali” — pisał w czerwcu 1988 r. pułkownik Mickiewicz. Rok później, gdy w kraju odbywały się obrady okrągłego stołu, major Sławomir Petelicki został skierowany na wyjazd do Austrii do pracy operacyjnej.

Oficjalnie wyjechał jako Andrzej Malicki, pracownik Pagartu (działającej w czasach PRL-u polskiej agencji artystycznej, zajmującej się m.in. promowaniem polskich artystów). Kolejną służbową podróż Petelicki odbył w listopadzie 1989 r., tym razem do Paryża i Strasburga. Była to jego ostatnia podróż jako funkcjonariusza Departamentu I MSW PRL. Resort o takiej nazwie przestał istnieć kilka miesięcy później.

W 1990 r. Sławomir Petelicki zadeklarował swoje poparcie dla USA. Był w wąskiej grupie komunistycznych funkcjonariuszy, którzy w wywiadzie PRL zajmowali wysokie stanowiska i którzy ze służby dla Sowietów przeszli do Amerykanów.

To właśnie wtedy — według oficjalnych źródeł — miała powstać jednostka wojskowa GROM. Istnieje kilka wersji pochodzenia nazwy jednostki, nigdzie jednak nie ma jednoznacznego dowodu na wiarygodność tych informacji. Oficjalnie jest to skrót od Grupa Reagowania Operacyjno-Manewrowego. Według innej, niepotwierdzonej wersji, nazwa ma nawiązywać do imienia Gromosława Czempińskiego, funkcjonariusza wywiadu PRL, a później Urzędu Ochrony Państwa, który odpowiadał za organizację tzw. Operacji Samum (chodzi o operację polskiego wywiadu, podczas której z Iraku w 1990 r. wywieziono sześciu oficerów

CIA). Wdzięczni za jej sukces Amerykanie sfinansowali stworzenie jednostki 2305. Jeszcze inna wersja mówi, że nazwa GROM wywodzi się od Grupy Realizacyjnej Operacji „MOST”, w skład której wchodził m.in. funkcjonariusze Departamentu I MSW: Gromosław Czempiński i Sławomir Petelicki, zajmujący się na początku 1990 r. ochroną transportu dużej liczby Żydów z ZSRR przez Polskę do Izraela.

GROM początkowo podlegał Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i w rzeczywistości był kontynuacją specjalnej jednostki antyterrorystycznej utworzonej przez generała Edwina Rozłubirskiego, twórcę wojsk powietrzno-desantowych w LWP.

Co ciekawe, jednostka stworzona przez Rozłubirskiego powstała nie w strukturach MON, lecz również w MSW. Powodem powstania formacji były wydarzenia, które miały miejsce 6 września 1982 r. w ambasadzie PRL w Bernie: „Uzbrojona w broń maszynową grupa Polaków — m.in. Florian Kruszyk, Krzysztof Wasilewski i Mirosław Plewiński — występująca jako oddział Polskiej Powstańczej Armii Krajowej, dokonała napadu na ambasadę PRL w Bernie, podczas którego przy całkowitej bierności i błędach personelu zajęła attachat wojskowy, przejmując dokumentację operacyjną Zarządu II. Napastnicy zażądali od władz PRL zniesienia stanu wojennego, uwolnienia Lecha Wałęsy, zwolnienia wszystkich internowanych i aresztowanych oraz zakończenia represji. Okupacja placówki trwała kilka dni (do 9 września). Nikomu nic się nie stało, ale wywiad poniósł olbrzymie straty” — czytamy w dokumentach Departamentu I MSW (przytoczone są w książce Cenckiewicza „Długie ramie Moskwy”).

Po tych wydarzeniach generał Edwin Rozłubirski w 1982 r. został oddelegowany z MON do dyspozycji generała Czesława Kiszczaka, gdzie opracował m.in. koncepcję centralnego ośrodka szkolenia antyterrorystycznego, który później przekształcił się w GROM. Co ciekawe, nazwa ta funkcjonowała już w latach 80., po ataku na ambasadę w Bernie. Kryptonim GROM miał być użyty w razie ataku na zagraniczne placówki PRL.

W 1990 r. Sławomir Petelicki faktycznie przejął struktury stworzone przez generała Rozłubirskiego, jednak publicznie o tym nie mówił.

Pierwszy raz odszedł z GROM w 1995 r. W 1996 r. na krótko został pełnomocnikiem rządu Włodzimierza Cimoszewicza ds. zwalczania przestępczości zorganizowanej. Rok później, w 1997 r., wrócił do jednostki, z której został odwołany przez ówczesnego koordynatora do spraw służb specjalnych Janusza Pałubickiego.

Tuż przed odejściem Sławomir Petelicki udostępnił część należących do GROM budynków Wojskowym Służbom Informacyjnym, co spotkało się z krytyką części żołnierzy.

Po odejściu z GROM Sławomir Petelicki zaczął funkcjonować w biznesie: pracował w polskim oddziale firmy doradczej Ernst & Young, z której odszedł ponad rok temu. Zasiadał m.in. w Radzie Nadzorczej Biotonu, firmy należącej do Ryszarda Krauzego, i w Radzie Nadzorczej Pol-Aqua S.A., w której znaleźli posady m.in. byli żołnierze Wojskowych Służb Informacyjnych.

Był także we władzach Fundacji Byłych Żołnierzy GROM oraz w Grupie GROM, które przynosiły spory dochód. Media ujawniły, że byli żołnierze GROM szkolili m.in. ochroniarzy Muammara Kaddafiego. Według nieoficjalnych informacji w drugiej połowie czerwca Sławomir Petelicki miał podpisać duży kontrakt na szkolenie antyterrorystów w jednym z krajów arabskich.

Współpracował także z amerykańskimi firmami zajmującymi się wydobywaniem gazu łupkowego. Jego znajomi podkreślali, że Petelicki miał doskonałe kontakty z ambasadą USA w Warszawie. Gdy jeden z biznesmenów miał ogromne problemy z dotarciem do Amerykanów, telefon Petelickiego sprawił, że od razu przed biznesmenem otworzyły się zamknięte dotąd drzwi ambasady amerykańskiej.

Generał miał wielu znajomych w kręgach każdej władzy. Znał doskonale m.in. Włodzimierza Cimoszewicza, Jerzego Szmajdzińskiego (obydwaj z SLD), Janusza Wójcika (posła z

Samoobrony) czy Pawła Grasia (PO), z którym łączyły go wspólne interesy do czasu, gdy publicznie nazwał go „cieciem na usługach Niemców”. Przyjaźnił się z Radosławem Sikorskim, co wielokrotnie podkreślał w wywiadach. Petelicki krytykował rozwiązanie Wojskowych Służb Informacyjnych i chwalił Sikorskiego jako ministra obrony narodowej.

Sławomir Petelicki miał też ambicje polityczne, dlatego zaangażował się w tworzenie Polska Jest Najważniejsza. Po katastrofie smoleńskiej Petelicki ujawnił, że politycy PO rozsyłali SMS-y, by winą za katastrofę obciążyć pilotów. Atakował rząd PO, a w szczególności Donalda Tuska, że nic nie robi w sprawie Smoleńska. Powtarzał, że wiele można uzyskać od Amerykanów. Jednocześnie publicznie atakował prezydenta Lecha Kaczyńskiego, m.in. podczas rozmów w studiu telewizyjnym.

W związku ze sprawą Nangar Khel, w której oskarżono polskich żołnierzy o zastrzelenie bezbronnych afgańskich cywilów, broniąc żołnierzy, atakował śp. Aleksandra Szczygłę, szefa MON, który na tym stanowisku zastąpił Radosława Sikorskiego.

Sławomir Petelicki miał też rozległe kontakty w biznesie. Znajomi — w większości jego rówieśnicy — zaczynali swoją działalność w czasach PRL. Niektórzy z nich figurują w archiwach IPN jako tajni współpracownicy I Departamentu MSW. Petelicki wiedział o nich — część dokumentów do dziś nie została odtajnionych i znajduje się w zbiorze zastrzeżonym IPN.

Jedna z hipotez zakładała, że śmierć gen. Petelickiego może mieć związek z jego przeszłością, że właśnie tam należy szukać odpowiedzi na pytanie, co było przyczyną wydarzeń, które rozegrały się w garażu domu na warszawskim Mokotowie w sobotnie popołudnie 16 czerwca 2012 r.

PISMO DO MINISTRA SPRAW WEWNĘTRZNYCH GEN. MIROSŁAWA MILEWSKIEGO Z 26 LUTEGO 1973 R. W SPRAWIE DELEGOWANIA PRACOWNIKA I DEPARTAMENTU SŁAWOMIRA PETELICKIEGO DO PRACY W REZYDENTURZE NOWOJORSKIEJ.

IPN BU 00 3175/002

Warszawa, dnia " 26 " lutego 1973 roku

*Wnieśli 28.11.73
Uwaga mi zgłoszoną
Czyli 28.11.73*

T A J N E 88
Egz. pojed.

WICEMINISTER SPRAW WEWNĘTRZNYCH
OST. BRYG. INŻ. M. M I L E W S K I

R E P O R T

Proszę o zaszewienie na delegowanie ppor.
Sławomira PETELICKIEGO - st. oficera Wydziału III Dep. I
MSW - do pracy w rezydenturze nowojorskiej.

Ppor. Sławomir PETELICKI po ukończeniu studiów
na Wydziale Prawa UW w 1969 roku rozpoczął pracę w Depar-
tamencie I. Przez okres trzech lat nabył niezbędną praktykę
operacyjną i pewne doświadczenie zawodowe.
Jest zdolny, pracowity i zdyscyplinowany. Zdał państwowy
egzamin z języka angielskiego.

Zadania wywiadowcze będzie realizował pod
przykryciem attaché konsularnego w Konsulacie Generalnym
w Nowym Jorku.

W załączeniu charakterystyka partyjna i zawodowa.

DYREKTOR DEPARTAMENTU I MSW
J. Osek
PIK J. O S E K

Biuro i Archiwum Departamentów

PISMO DO DEPARTAMENTU DZIAŁU KADR MSW INFORMUJĄCE, ŻE REZYDENT WYWIADU MS SŁAWOMIR PETELICKI, PS. WAN, ZOSTAŁ ZATRUDNIONY POD PRZYKRYCIEM JAKO ATTACHE KONSULARNY W KONSULACIE PRL W NOWYM JORKU.

MINISTERSTWO SPRAW ZAGRANICZNYCH
000-0848/43

IPN BU 00 3173062
95 93

Warszawa, dnia 5. maja 1973 roku.

T a j n e

Egz. Nr 1

Kierownik Samodzielnej Sekcji Kadr
Departamentu Kadr MSW
płk P. K a r d a s z .

Uprzejmię informuję, że ppor. PETELICKI Sławomir, ps.
" W a n ", wyjechał w dniu 7 maja 1973 r. do Nowego Jorku
jako pracownik operacyjny rezydentury pod przykryciem
Attaché Konsularnego w Konsulacie Generalnym PRL w NJ.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych mianowało ppor. Sł.
PETELICKIEGO na powyższe stanowisko z dniem 1 kwietnia 1973 r.
ustalając jego uposażenie według grupy "E" oraz 10% ryczałtu
na reprezentację.

Dyrektor Departamentu I MSW przyznał wymienionemu
grupę "D" z dniem wyjazdu.

Sł. Inspektor Kierownictwa
Departamentu I MSW
płk W. Krzemiński.

Wykonano w 3 egz.

Egz. nr 1-adresat
Egz. nr 2-Wydz.Og.Dep.I
Egz. nr 3- a/a

oprac. i druk. ZJ

127 x 101

14

Śmierć w cieniu Smoleńska

Po katastrofie rządowego samolotu Tu-154M na lotnisku Smoleńsk-Północny miały miejsce śmiertelne wypadki, których w większości nie można jednoznacznie zakwalifikować jako zbieg okoliczności lub czysty przypadek. Ludzie, którzy w nich zginęli, byli bezpośrednio związani z tragedią — tak jak Remigiusz Muś, technik pokładowy z Jaka-40, który wylądował w Smoleńsku pół godziny przed tragedią, czy też Krzysztof Zalewski, ekspert lotniczy, który został zamordowany przez swojego współnika.

Katastrofa smoleńska, w której zginął prezydent RP profesor Lech Kaczyński, jego małżonka Maria oraz przedstawiciele elity polskiego narodu, była największą tragedią w historii Polski po 1945 r. Wśród ofiar byli wojskowi kapelani: Kościoła katolickiego — bp gen. Tadeusz Płoski, prawosławnego — abp gen. Miron Chodakowski oraz protestanckiego — ks. gen. Adam Pilch.

„Przyglądałem się sprawie śmierci biskupa Mieczysława Cieślara, którego nazwisko pada w tym kontekście. Zginął on w nocy z 18 na 19 kwietnia 2010 r. w wypadku samochodowym. Jego śmierć miała taki związek ze sprawą smoleńską, że po śmierci ks. gen. Adama Pilcha, który zginął w katastrofie, objął po nim obowiązki proboszcza ewangelickiej parafii Wniebowstąpienia Pańskiego. Biskup zginął, wracając do siebie do domu, do Łodzi, z nabożeństwa ekumenicznego poświęconego pamięci ofiar 10 kwietnia 2010 r. Dopiero jakiś rok później pojawiła się pogłoska, że miał zginąć, bo zaraz po katastrofie miał odebrać telefon od osoby, która przeżyła. Nie udało mi się potwierdzić, by takie coś miało miejsce. Byłem natomiast na miejscu wypadku. Dowiedziałem się, że podobne zdarzenia miały już miejsce na tym odcinku drogi, bo szosa jest tak sprofilowana, że w nocy dopiero w ostatniej chwili można dostrzec światła nadjeżdżającego z przeciwka samochodu. Jeśli dodamy do tego, że sprawca wypadku, który zabił biskupa, był pijany, to mamy obraz, jakich niestety wiele na naszych drogach” — pisał w „Gazecie Polskiej Codziennie” Cezary Gmyz, członek

Kościoła ewangelicko-augsburskiego.

Być może był to rzeczywiście zwykły wypadek drogowy, ale ta śmierć zapoczątkowała tragiczną serię zgonów osób, które miały kluczowe znaczenie w kontekście dochodzenia do prawdy o smoleńskiej tragedii.

Kolejną osobą, która zginęła po katastrofie, był Marek Dulinicz — wybitny polski archeolog, szef grupy archeologicznej, która miała jechać do Smoleńska. Był pomysłodawcą wyjazdu na miejsce tragedii i jego organizatorem. Zginął w wypadku samochodowym 6 czerwca 2010 r. Cztery dni później odszedł Krzysztof Knyż, operator „Faktów” TVN, który miał sfilmować podchodzenie do lądowania rządowego samolotu na lotnisku w Smoleńsku 10 kwietnia 2010 r. Operator zmarł 10 czerwca 2010 r. w Moskwie. Według oficjalnych informacji przyczyną jego zgonu była sepsa (zespół ogólnoustrojowej reakcji zapalnej wywołany zakażeniem). Śmierć Krzysztofa Knyża została praktycznie przemilczana. TVN poświęcił swojemu operatorowi zaledwie kilka kurtuazyjnych zdań. Co ciekawe, zachodnia prasa pisała, że zamordowano go we własnym mieszkaniu w Moskwie. Tych informacji nigdy nie zdementowano.

W październiku 2010 r. został zamordowany Eugeniusz Wróbel, wybitny naukowiec, były wiceminister transportu, kandydat Prawa i Sprawiedliwości do Parlamentu Europejskiego. Jako jeden z najwybitniejszych w Polsce znawców komputerowych systemów sterowania lotem mógł wejść w skład ekipy biegłych polskiej prokuratury oceniających rosyjski raport MAK. Eugeniusz Wróbel wykładał na Wydziale Automatyki, Elektroniki i Informatyki Politechniki Śląskiej w Gliwicach, angażował się m.in. w tworzenie Centrum Kształcenia Kadr Lotnictwa Cywilnego Europy Środkowo-Wschodniej przy Politechnice Śląskiej. Był specjalistą od programowania w assemblerze, współautorem publikacji o zastosowaniu odbiornika PolaRx3 firmy Sentrino w nawigacji samolotów. Kwestie związane z katastrofą z 10 kwietnia żywo go

interesowały.

„Znałem Eugeniusza i jestem przekonany, że gdyby był w administracji rządowej po 10 kwietnia 2010 r., to wyjaśnienie katastrofy smoleńskiej zupełnie inaczej by się potoczyło. Był specjalistą m.in. w zakresie ruchu lotniczego, miał też doskonałe kontakty za granicą. Po tragedii smoleńskiej wielokrotnie wypowiadał się na temat katastrofy, krytykując oficjalną wersję jej przebiegu” — wspominał Jerzy Polaczek, minister transportu w rządzie PiS, przełożony Eugeniusza Wróbla.

Prokuratura uznała, że naukowiec został zamordowany przez własnego syna, który ostatecznie został zamknięty w zakładzie psychiatrycznym. Śledztwo w sprawie zabójstwa Eugeniusza Wróbla zostało umorzone z powodu niepoczytalności sprawcy. Znajomi zgodnie twierdzili, że rodzina Eugeniusza Wróbla była bardzo spokojna, zżyta i nie dochodziło w niej do konfliktów.

Chorąży Remigiusz Muś, technik pokładowy Jaka-40, który 10 kwietnia wylądował na lotnisku Siewiernyj, był jednym z najważniejszych świadków w sprawie katastrofy smoleńskiej, a jego zeznania podważały dotychczasową wersję śledztwa. Od dnia tragedii wielokrotnie zapewniał, że doskonale słyszał komendy wydawane przez kontrolerów z wieży w Smoleńsku, gdy ci sprowadzali tupolewa na ziemię.

Zeznania Musia były rozbieżne z oficjalną wersją podaną przez Rosjan w stenogramach. Chorąży twierdził bowiem, że na magnetofonie pokładowym Jaka-40 zarejestrowano dyspozycję zejścia załozie tutaj do wysokości 50 m. W stenogramach i zeznaniach kontrolerów powtarza się natomiast 100 m i wskazuje nie błąd wieży, lecz pilota, który sam miał zejść za nisko i w ten sposób doprowadzić do katastrofy.

„Żandarmeria zajęła materiał z naszego magnetofonu pokładowego od razu, gdy przyjechała 10 kwietnia 2010 r. do Smoleńska” — czytamy w zeznaniach Musia. Co najciekawsze, taśmy od blisko trzech lat były odsłuchiwane przez biegłych z

krakowskiego instytutu im. Sehna. Do dziś nie sporządzili oni w tej sprawie ekspertyzy.

Podczas przesłuchań w Wojskowej Prokuraturze Okręgowej w Warszawie świadek mówił też o dwóch eksplozjach, które nastąpiły przed zgaśnięciem silników Tu-154M. Godzinę po katastrofie poszedł tam, gdzie leżały szczątki samolotu i ciała ofiar.

„Nikt się nimi [ciałami — przyp. red.] nie interesował, tzn. nikt ich nie przykrywał, nie zabierał. W trakcie pobytu tam zauważyłem, że do poszczególnych stanowisk utworzonych przez służby [rosyjskie — przyp. red.] znoszono części samolotu. Takich stanowisk już wtedy było kilka. Stanowiska wyglądały w ten sposób, że był to stolik, na nim dokumentacja, laptop itp. Na stanowiskach znajdowali się ludzie” — zeznał tuż po katastrofie Remigiusz Muś.

W sobotę 28 października 2012 r. chorążego Musia znaleziono powieszonego w piwnicy jego domu w Piasecznie. Prokurator po wstępnych oględzinach uznał, że nie miało miejsca działanie osób trzecich i zarządził przeprowadzenie sekcji zwłok dopiero w poniedziałek, podobnie jak w przypadku generała Sławomira Petelickiego.

Remigiusz Muś krytycznie wypowiadał się o pracy rosyjskich służb. W tygodniu poprzedzającym jego śmierć umawiał się z kolegami na spotkania, miał mnóstwo planów na przyszłość. Chciał też uczestniczyć w konferencji naukowej dotyczącej katastrofy, ale nie pozwoliły mu na to obowiązki.

W podobny sposób jak chorąży Muś, zginął rok wcześniej Dariusz Szpineta, ekspert i prezes spółki lotniczej. Został on znaleziony martwy w hotelowej łazience w Indiach. Przyczyną śmierci było powieszenie. Znajomi z 13-osobowej grupy, z którą pojechał do Indii, zeznawali, że przed śmiercią był w bardzo dobrym nastroju.

Dariusz Szpineta był zawodowym pilotem i instruktorem pilotażu oraz wielkim miłośnikiem lotnictwa. W mediach kilkakrotnie wypowiadał się na temat katastrofy rządowego

samolotu w Smoleńsku. Wbrew oficjalnej wersji jednoznacznie dowodził, że lot Tu-154M był lotem wojskowym.

W tekście zatytułowanym „Operacja »Kłamstwo smoleńskie«”, który został opublikowany na portalu Niezależna.pl w styczniu 2012 r., pojawiła się analiza autorstwa Szpinety dotycząca dokumentów lotu rządowego tupolewa. „Plan lotu jest to depesza, którą musi nadać każdy statek powietrzny, żeby mógł wykonać lot w przestrzeni kontrolowanej. [...] Według przepisów wykonywania lotu, według instrumentów był to lot wojskowy” — podkreślał Szpineta. Dodał, że to właśnie litera „M” (od ang. military), znajdująca się na końcu numeru lotu, oznacza jego militarny charakter. Należy przypomnieć, że uznanie tego lotu za cywilny umożliwiło prowadzenie śledztwa przez komisję MAK i Komisję Millera, które — gdyby uznać lot za wojskowy — nie mogłyby się tą sprawą w ogóle zajmować.

W lipcu 2011 r. wyszło na jaw, że MSZ wiedziało, iż 8 kwietnia 2010 r. lotnisko Smoleńsk-Północny nie miało jeszcze numeru zgody na przelot i lądowanie. Szpineta wskazywał w rozmowie z „Rzeczpospolitą”, że brak takiego numeru to poważne zaniedbanie logistyczne.

Krzysztof Zalewski, członek Prawa i Sprawiedliwości, redaktor naczelny miesięcznika „Technika Wojskowa Historia”, ekspert lotniczy, który m.in. badał przyczyny katastrofy smoleńskiej, został zamordowany 10 grudnia 2012 r.

Policja powiadomiła o tragedii jego żonę dopiero o godzinie 19.00, chociaż do zabójstwa doszło około 14.00. Kilka dni przed śmiercią Krzysztof Zalewski odkrył, że jego wspólnik Cezary S. stoi za powołaniem kilku spółek, w których władzach zasiadają m.in. obywatele Ukrainy i Rosji. To właśnie do tych firm miały być transferowane pieniądze z firmy Magnum-X, w zarządzie której byli Krzysztof Zalewski oraz Cezary S. Prokuratura i policja, poza oficjalnym komunikatem, nie chciała udzielać informacji na temat śledztwa w sprawie zabójstwa Krzysztofa Zalewskiego. A znaków

zapytania jest coraz więcej.

Wątpliwości budzi np. wiadomość dotycząca przebiegu zdarzeń podana przez prokuraturę. Mariusz Piłat, zastępca szefa Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga, poinformował jedynie, że Cezary S. wkroczył do wydawnictwa, zdetonował ładunek wybuchowy, wskutek czego ranni zostali wszyscy uczestnicy spotkania, a następnie zaatakował Krzysztofa Zalewskiego, wiceprezesa wydawnictwa. Zadał mu kilka ciosów nożem w okolice klatki piersiowej, brzucha i pleców. Ciosy okazały się śmiertelne. Jednocześnie wiadomo, że na skutek eksplozji Cezary S. został ciężko ranny i w stanie krytycznym przewieziono go do szpitala. Wybuch uszkodził mu dłoń i trzeba było ją amputować. Cezary S. został też poważnie ranny w brzuch. Jak to możliwe, że w takim stanie mógł jeszcze zamordować współnika? Na to pytanie śledczy nie znaleźli odpowiedzi.

Według zeznań naocznych świadków przebieg zdarzeń wyglądał następująco:

Krzysztof Zalewski zorientował się w działaniach współnika, które odczytywał jako działanie na niekorzyść spółki, postanowił więc się z nim rozmówić. Rozmowa miała dotyczyć spółek, które stworzył S., a przez które miały być wyprowadzane pieniądze z Magnum-X. We władzach tych firm, za których powstaniem stał S., byli m.in. Ukraińcy i Rosjanie. Przed południem w siedzibie firmy przy ul. Grochowskiej w Warszawie doszło do spotkania Krzysztofa Zalewskiego, Cezarego S. i Janusza U.

W pewnym momencie Cezary S. wyjął butelkę whisky i zaproponował „po kieliszku”. Krzysztof Zalewski odmówił, podobnie jak Janusz U. Mimo to Cezary S. odkręcił butelkę i w tym momencie nastąpiła eksplozja. Krzysztof Zalewski wybiegł na korytarz, a za nim Cezary S., który rzucił się z nożem na szefa Magnum-X. Ciężko ranny Janusz U. schował się w łazience. Później w szpitalu stwierdził: „Oni chcieli nas zabić”. Dlaczego użył liczby mnogiej, skoro napastnik był tylko jeden? Nie wiadomo, ponieważ po przejściu operacji nie pamiętał dokładnego przebiegu zdarzeń.

Krzysztof Zalewski, w latach 80. działacz opozycji (był członkiem KPN), w III RP zajął się biznesem. Interesował się lotnictwem, głównie japońskim — był jego prawdziwym pasjonatem. Partnerem biznesowym Krzysztofa Zalewskiego został Cezary S. Poznali się na początku lat 90. Znajomi podkreślali, że S. jest spokojnym, zrównoważonym człowiekiem i trudno uwierzyć, żeby był zdolny do zabójstwa. W siedzibie Magnum-X policja znalazła duże ilości broni, amunicji, materiałów wybuchowych, m.in. granatów. Pracownika, który był właścicielem tego arsenału, policja po przedstawieniu zarzutów zwolniła do domu. Z kolei w mieszkaniu Cezarego S. policja znalazła m.in. wyrzutnie RPG, duże ilości amunicji, granatów i broni krótkiej.

Krzysztof Zalewski wielokrotnie publicznie podważał oficjalne ustalenia w sprawie przyczyn katastrofy, zarówno te komisji Millera, jak i z raportu MAK. Podsumowując pod koniec 2011 r. w „Gazecie Polskiej” wydarzenia mijających 12 miesięcy, Krzysztof Zalewski stwierdził:

„Najgorszym chyba w tym roku wydarzeniem związanym z tragedią smoleńską było wprowadzenie w błąd światowej opinii publicznej przez Rosjan. Choć od początku wiadomo było, że w świadomości ludzi na świecie najbardziej utrwali się pierwszy oficjalny komunikat dotyczący katastrofy, to prasę międzynarodową obiegł tylko przekaz rosyjski, a oficjalnej, natychmiastowej i zdecydowanej reakcji polskich władz zabrakło. Jest to nie do naprawienia”.

Przypisy

[1] We wszystkich cytowanych dokumentach zachowana została pisownia oryginalna.